

**KALENDARZ POLSKI
1921 - W BRAZYLIJI - 1921**



Nakładem Franciszka Derginta — Drukiem Księgarni Polskiej, B. Dergint i S-ka — KURYTYBA

WYDAWNICTWO KSIĄŻEK SZKOLNYCH
DLA BRAZYLJI.

TRZECIA KSIĄŻKA

DO CZYTANIA

DLA SZKÓŁ POLSKICH W BRAZYLJI

Opracował S. S.



KURYTYBA

Nakładem i drukiem Księgarni Polskiej B. Dergint & Ska.
1920.

Cena z przesyłką 2\$500.

Casa

Photo-Amador

Chyla & Comp.

Wykonujemy wszelkie zamówienia w zakres fotograficzny wchodzące

Uczymy i dajemy wyjaśnienia w sztuce fotograficznej, początkującym.

Ciemnia optyczna do rozporządzenia dla wszystkich bezpłatnie.

Importujemy aparaty, przyrządy, jakoteż produkty chemiczne do fotografii

Klisze i papier — Wielki wybór pocztówek i albumów dla eksportu.

Casa Leão

P. Federmann

Kupuję i sprzedaję używane rzeczy jak:

Meble, książki, porcelany, odzież, biżuterje i t. d. i pośredniczę w tym interesie.

Wynajmuję i fabrykuję meble we wszystkich stylach i jakościach.

Avenida Luiz Xavier n. 18 —
Curityba — Paraná.

Kto chce tanio kupić a drogo sprzedać jakikolwiek przedmiot nowy czy używany niech się zgłosi do

„Compradory“

a nie będzie żałował.

ULICA 15 de NOVEMBRO N 7 — TELEFON 508

TINTURARIA PAULISTA

Avenida Luiz Xavier n° 13.

CURITYBA — PARANÁ.

Wykonuje wszelkie roboty w zakres farbierski wchodzące. Kolory stałe — farby pierwszego rzędu.

Pierze się, farbuje, prasuje, starannie i z dokładnością. Specyalność w ubraniach dla pań.

Januario Belucci.

NAJLEPSZA SPOSOBNOŚĆ!

W zakupnie mebli, porcelany, szkła, naczyń kuchennych i jakichkolwiek przedmiotów nowych i używanych, ofiaruje po najniższych cenach tylko

Casa Esperança
ALBERTO FEDERMANN
AVENIDA LUIZ XAVIEZ N. 3 — CURITYBA — PARANA.

CASA BICHELS

Rua 15 de Novembro No 70.
Curityba — Paraná.

Bezpośredni import kapeluszy dla pań
i dzieci.

Nici, wełna, jedwabie i taminy do haftu.

Wielki wybór zabawek dla dzieci.

Bicyklety, automobile, pociągi kolejowe, wózki, loteryjka
domina, lalki, harmonijki do ust i harmonie z 12 basami,
paski higieniczne dla pań, pończochy dla panów, pań
i dzieci, gózik z drzewa i t. d.
Artykuły na Boże Narodzenie do ubrania jodełki i t. d.

Fabryka pieczętek stalowych
i gumowych.

Drukarnia — Zakład introliga-
torski — Księgi handlowe.

Cezar Schulz

Ul. Barão do Serro Azul N. 12 — Curityba - Paraná.

Przybory szkolne zeszyty, książki, pióra ołówki i t. d.
po niskich cenach możesz nabyć

w Księgarni Polskiej

B. DERGINT & SKA.

Curityba — Caixa H.



DRUKI

Wykonuje się wszelkie aksy-
densowe i artystyczne roboty
drukarskie.

Przyjmuje się

w Księgarni Polskiej

B. DERGINT & Cia. — Curityba Caixa H.

zamówienia na firmowe druki, listy, koperty, bilety wizytowe, memoran-
dum kartonowe i papierowe, gije, kwity, weksle, faktury w blokach
i pojedyncze, stosownie do żądania, statuty towarzystw, broszurki,
książki, pisma ilustrowane, ogłoszenia, plakaty i t. p.

Druki mogą być jedno lub kilka kolorowe.

ZODJAKI.

Wskutek obiegu kuli ziemskiej naokoło
słońca w ciągu jednego roku, słońce nam
się wydaje wschodzącem (i zachodzącem)
co dzień w nowej części niebieskiej prze-
strzeni.

Chaldejczycy w Mezopotamji, pierwsi
astronomowie podzielili przestrzeń nieba
czyli drogę, po której słońce chodzi, na
12 równych części, (odpowiednią do dwu
tęstu z górą księżycowych miesięcy w
roku). Gromady gwiazd, w tych działach,
zwali zodiakami, rysując na mapach astro-
nomicznych, dla ułatwienia pamięci, roz-
maite figury.

Oto są nazwy zodiaków odpowiadają-
cych naszym miesiącom:

Styczeń - - -	<i>Wodnik</i>
Luty - - -	<i>Ryby</i>
Marzec - - -	<i>Baran</i>
Kwiecień - -	<i>Byk</i>
Maj - - -	<i>Bliźnięta</i>
Czerwiec - -	<i>Rak</i>
Lipiec - - -	<i>Lew</i>
Sierpień - -	<i>Panna</i>
Wrzesień - -	<i>Waga</i>
Październik -	<i>Niedźwiadek</i>
Listopad - -	<i>Strzelec</i>
Grudzień - -	<i>Koziorożec</i>

Przed kilku set latami, nim jeszcze nasz
wielki astronom Kopernik odkrył, że zie-
mia krąży na około słońca (w XVI w.),
najuczeńsi ludzie mniemali, iż gwiazdy,
planety i księżyc są nie bardzo wysoko
i wywierają wielki wpływ na wszystko,
co żyje na ziemi. Z czasem nauka ta —
(Astrologja) — została zamienioną przez
ściśłą i prawdziwą Astronomję. Uczeni
zaczęli sobie kpić z astrologicznych za-

bobonów co do wpływu ciał niebieskich
na życie zwierząt i roślin.

W ostatnich latach przekonujemy się
jednak, że nauka jest nieomylną tylko
w rzeczach ściśle zbadanych. Im dalej
pracują w nauce, tem więcej przekonują
się, że wszechświat jest bardzo mało,
bardzo niedokładnie zbadany a wiele
jest zjawisk zupełnie nie zbadanych i
niezrozumiałych. Przekonano się, między
innymi, że gwiazdy i prawdopodobnie
planety nie oddziałują na życie orga-
niczne ziemi, wówczas gdy księżyc sta-
nowczo wpływa na rośliny, zwierzęta i
ludzi, działając rozmaicie, zależnie od sy-
tuacji swojej względem słońca, czyli ina-
czej mówiąc, zależnie od fazy (nów i peł-
nia). Sianie, sadzenie, rąbanie lasu, lecze-
nie pewnych chorób ogromnie zależą od
fazy księżycowej, o czem w każdym kra-
ju są liczne spostrzeżenia i tradycje, któ-
re pożytecznem jest zachowywać każde-
mu koloniście i wogóle gospodarzowi.

Zgodnie z tutejszym zwyczajem w ni-
niejszym kalendarzu są pomieszczone zo-
diaki księżycowe, czyli tak tu nazywane
«robaki».

Żwracamy jednak uwagę czytelników,
że księżyc, krążąc naokoło ziemi 12 (i pół)
razy na rok, przechodzi wszystkimi swo-
jemi fazami tyleż razy każdy zodiak.
Otóż daleko praktyczniej jest stosować
się w czynności gospodarczej do faz księ-
życowych, będących w bardro zawikła-
nym stosunku do zodiaków.

F. D.

DLA PAMIĘCI

STYCZEŃ

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 S.	☽ <i>Nowy Rok *</i>			Niedz.	23.45 12.3
2 N.	Inię Jezus Ew. „Jezus wraca do Nazaretu“			„	— — 12.54
3 P.	Genowefy	5.22	18.57	0.23	13.49
4 W.	Tytusa		Strzelec	1.5	14.45
5 Śr.	Telesfora		Kozior	1.53	15.43
6 C.	<i>Trzech Króli</i>		„	2.47	16.41
7 P.	Walentego		Wodnik	3.46	17.38
8 S.	☿ Seweryna		„	4.49	18.30
9 N.	I. N. po Trz. Kr. Ew. „Jezus 12-letni w kościele“.		Ryby	5.54	19.19
10 P.	Agatona	5.26	18.54	6.59	20.5
11 W.	Hyginusa		Baran	8.3	20.47
12 Śr.	Ernesta		„	9.6	21.27
13 C.	Weroniki		„	10.7	22.8
14 P.	Feliksa z N.		Býk	11.8	22.49
15 S.	☾ Pawła pustelnika		„	12.10	23.33
16 N.	2. N. po Trz. Kr. Ew. Gody w Kanie Galilejskiej.		„	13.10	—
17 P.	Antoniego op.	5.31	18.52	14.11	0.2
18 W.	Katedry Św. Piotra		Blizu.	15.9	1.11
19 Śr.	Kanuta		„	16.4	2.4
20 C.	Fabiana i Sebast.		„	16.55	2.59
21 P.	Agnieszki		Rak	17.41	3.55
22 S.	Wincentego i Anast.		„	18.22	4.52
23 N.	☽ N. Starozap. Św. Rod. Ew. o robotnikach w winnicy.		Lew	19.0	5.45
24 P.	Tymoteusza.	5.36	18.50	19.34	6.37
25 W.	Nawróc. św. Pawła		Panna	20.7	7.28
26 Śr.	Polikarpa		„	20.39	8.17
27 C.	Jana Złotoustego		Waga	21.11	9.6
28 P.	Walerego		„	21.44	9.56
29 S.	Franciszka Salezego		Niedz.	22.20	10.46
30 N.	N. Mięso-pustna Ew. o rozmaitej roli.		„	22.59	11.39
31 P.	☽ Piotra z Nolaska	5.41	18.46	23.43	12.32

KALENDARZ PIASTA. Jest to krótki rys historyczny Kultury Polskiej, treściwy obraz przebiegu wypadków wojennych i powstania niepodległości Ojczyzny, zawierający 250 PRZESLICZNYCH ILUSTRACJI. Cena z przesyłką 6\$, do nabycia w Księgarni Polskiej Curityba caixą postal H.

DLA PAMIĘCI

LUTY

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 W.	Ignacego M.		Strzelec	—	13.28
2 Śr.	N. M. P. Gromn.**		"	0.32	14.25
3 C.	Błażeja		Kozior	1.28	15.21
4 P.	Andrzeja		"	2.28	16.15
5 S.	Agady		Wodnik	3.32	17.6
6 N.	N. Zapustna Ew. Jezus przepowiada swą mekę.		"	4.37	17.54
7 P.	⊕ Romualdy	5.46	18.42	5.43	18.38
8 W.	Apolonii		Ryby	6.48	19.21
9 Śr.	†† Popielec		"	7.52	20.3
10 C.	Scholastyki		"	8.56	20.46
11 P.	†† Objaw. się N. M.P.		Baran	9.59	21.31
12 S.	Eulalii		"	11.2	22.17
13 N.	I. N. Postu Ew. o kuszeniu Chry- stusa.		Byk	12.4	23.8
14 P.	Walentego Jacka	5.60	18.38	13.0	23.58
15 W.	⊕ Faustyna		Bliźn.	13.54	—
16 Śr.	† Julianny (Suche dni)		"	14.44	0.40
17 C.	Donajusza		"	15.28	1.21
18 P.	†† Szymona (S. dni)		Rak	16.16	1.58
19 S.	† Zuzan., Konr. (S. dni)		"	16.49	2.37
20 N.	II. N. Postu Ew. o przemienieniu pań- skim.		Lew	17.28	3.30
21 P.	Eleonory	5.54	18.21	17.50	4.25
22 W.	⊕ St. Św. P. w Antyoch		Panna	18.8	5.25
23 Śr.	† Piotra Dam.		"	18.40	6.12
24 C.	Macieja Ap. **		Waga	19.12	7.2
25 P.	†† Terezyusza		"	19.45	7.51
26 S.	Matyldy		Niedz.	20.20	8.48
27 N.	III. N. Postu Ew. P. J. wypędza dyabła.		"	20.58	9.32
28 P.	Romana	5.57	18.23	21.39	10.25

** Święto nie obowiązkowe.

** Feriado. Ogłoszenie Konstytucji.

†† Post (raz na dzień do sytości) i abstynencja (bez mięsa).

† Tylko post. (Od popielca aż do W. Nocy trwa „Czas za-
kazany" t. j. wszelkie wesela i tańce są zakazane).

OBRAZ MATKI BOSKIEJ BRONOWSKIEJ Pędzła naszego wiel-
kiego malarza W. Tetmajera. U dołu z herbami polskimi i z pod-
pisem: „Podnieś rączkę Boże dziecko, Błogostaw Ojczyznę miłą“.
Cena z przesyłką 6\$, do nabycia w księgarni Polskiej — Guri-
tyba — Caixa postal 8.

DLA PAMIĘCI

MARZEC

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 W.	☽ Albina		Kozior.	22.55	11.28
2 Śr.	† Symplicyusza		„	23.55	12.13
3 C.	Kunegundy		Wodnik	—	12.55
4 P.	†† Kazimierza		„	0.55	13.36
5 S.	Fryderyka		Ryby	1.51	14.17
6 N.	IV. N. Postu Ew. P. Jezus karmi 5000 osób.		„	2.58	14.59
7 P.	Tomasza		Baran	4.2	15.45
8 W.	Jana Bożego	6.02	18.14	5.7	16.32
9 Śr.	☾ † Franc. Rz.		Byk	6.13	17.24
10 C.	40 Męczenników		„	7.18	18.21
11 P.	†† Róży		„	8.20	19.20
12 S.	Grzegorza Wielk.		Blizn.	9.17	20.19
13 N.	V. Niedz. Pasyjna Ew. Żydzi chcą P. Je- zusa ukamienować.		„	10.8	21.17
14 P.	Matyldy Królowej		Rak	10.53	22.14
15 W.	Longina	6.05	18.10	11.33	23.7
16 Śr.	† Heriberta		Lew	12.10	23.54
17 C.	☾ Gertrudy		„	12.43	—
18 P.	†† 7-iu boleści M. B.		„	13.36	0.48
19 S.	Św. Józefa *		Panna	13.48	1.37
20 N.	N. Palmowa Ew. O wyjeździe P. Jez. do Jeruzalem.		„	14.21	2.27
21 P.	Benedykta		Waga	14.57	3.17
22 W.	Oktawiana	6.09	18.05	15.35	4.9
23 Śr.	☾ † Wiktora		Niedz.	16.18	5.2
24 C.	Wielki Czwartek †		„	17.15	5.56
25 P.	Wielki Piątek ††		„	17.56	6.51
26 S.	Wielka Sobota *		„	18.52	7.45
27 N.	Wielkanoc Ew. O zmartwychwstaniu Pańskim.		Strzel.	19.50	8.38
28 P.	Poniedz. Wielk.**		„	20.50	9.26
29 W.	Celestyną		Kozior.	21.49	10.12
30 Śr.	Kwiryna		„	22.49	10.55
31 C.	☽ Balbin	6.27	17.25	23.48	11.36

* Post tylko aż do południa.

„**QUO VADIS**“ powieść z czasów Nerona w Rzymie—
przez Henryka Sienkiewicza. 6 tomów — cena z przesył-
ką 4\$000, do nabycia w Księgarni Polskiej — Curityba—
Caixa Postal H.

DLA PAMIĘCI

KWIECIEŃ

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1P.	Hugona		Wodnik	—	12.55
2S.	Franciszka de Paulo		„	0.57	13.36
3N.	1. N. po W. Nocy E. O niewiernym To- maszu.		Rybv	1.0	14.17
4P.	<i>Zwiast. N. M. P. *</i>		„	2.10	14.59
5W.	Wincentego Fer.		Baran	3.28	15.44
6Śr.	Celestyna I.		„	5.2	16.32
7C.	Hermana **		Byk	6.22	17.24
8P.	Dyonizego		„	7.29	18.21
9S.	Maryi Egipcjanki	6.36	17.21	8.35	19.20
10N.	2. N. po W. N. Ew. O dobrym pasterzu.		Blizn.	9.38	20.19
11P.	Leona I. p.		„	10.37	21.18
12W.	Juliusza		„	11.30	22.13
13Śr.	Hermenegilda		Rak	12.17	23.6
14C.	Tyburcego		„	12.59	23.57
15P.	Krescentego		Lew	13.36	—
16S.	Urbana	6.45	17.17	14.11	0.49
17N.	3. N. po W. N. Ew. Opieka ś. Józefa.		Panna	14.44	1.38
18P.	Andrzeja		„	15.16	2.28
19W.	Hermogenesa		„	15.48	3.18
20Śr.	Antonina		Waga	16.22	4.9
21C.	Anzelma — Feriado		„	16.58	5.1
22P.	Sotera i Kajusa		Niedz.	17.38	5.54
23S.	Wojciecha	6.54	17.15	18.21	6.50
24N.	4. N. po W. N. Ew. o odejściu do ojca		Strzel.	19.10	7.42
25P.	Marka ewang.		„	20.2	8.17
26W.	Kleta i Marcelego		Kozior.	20.57	9.25
27Śr.	B. Peregr.		„	21.55	10.11
28C.	Pawła		Wodnik	22.55	10.54
29P.	Feliksa		„	23.55	11.35
30S.	Katarzyny Seneń	6.43	17.20	—	12.14

* Święto nie obowiązkowe odł żone z dnia 25 marca.
** Feriado tylko w Paranie.

Zaćmienia:

Coroczne słońca o godzinie 6 rano 8 kwietnia
Całkowite księżycyca „ 4,30 „ 22 „

DLA PAMIĘCI

MAJ

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 N.	5. N. po W. Nocy N. M. P. Królow. Kor. Pol.		Ryby	0.1	12.55
2 P.	Atanazego		"	1.2	13.36
3 W.	Z. Krzy. św.—feriado		Baran	2.4	14.17
4 Śr.	Moniki	6.27	17.25	3.6	14.52
5 C.	Wniebowstąpienie		Byk	4.7	15.44
6 P.	Jana w Oleju		"	5.7	16.32
7 S.	Stanisława		"	6.13	17.24
8 N.	6. Niedz. po W. Nocy Ew. O obietnicy zesła- nia Ducha Św.		Blizna	7.18	18.21
9 P.	Grzegorza z Naz.		Rak	8.20	14.20
10 W.	Antonina		"	9.17	28.19
11 Śr.	N. M. P. w Lourdes	6.30	17.18	10.8	21.17
12 C.	Pankracego		"	10.53	22.14
13 P.	Serwacego—feriado		Lew	11.33	23.7
14 S.	Bonifacego **		"	12.10	23.58
15 N.	Zielone Świątki Ew. O zesłaniu Ducha Świętego.		Panna	12.43	—
16 P.	Pon. Ziel. Świąt *		"	13.16	0.48
17 W.	Paschalisa		Waga	13.48	1.37
18 Śr.	Wenantego (suche)	6.32	17.19	14.21	2.27
19 C.	Piotra Celestyna		Niedz.	14.57	3.17
20 P.	Bernardyna (suche)		"	15.35	4.9
21 S.	Feliksa (suche)		"	16.18	5.2
22 N.	1. N. Trójcy Przen. E.: Dana mi jest wszelka władza.		Strzelec	17.15	5.56
23 P.	Jana de R.		Kozior	17.56	6.51
24 W.	N. M. P. Wspomoż.		"	18.52	7.45
25 Śr.	Grzegorza VII.	6.33	17.20	19.50	8.31
26 C.	Boże Ciało		Wodnik	20.50	9.26
27 P.	Jana I.		"	21.49	10.12
28 S.	Augustyna		Ryby	22.49	10.55
29 N.	2. N. po Świątkach Ew. O wezwaniu na wie- czerzę.		"	23.48	11.36
30 P.	Feliksa I. p.		"	—	12.51
31 W.	Anieli		"	0.48	12.55

*Święto nie obowiązkowe — ** Wigilja — abstynencja.

Książki do Nabożeństwa „Jezu bądź ze Mną”,
Modlitewnik Katolicki — cena z przesyłką 2\$500
do nabycia w KSIĘGARNI POLSKIEJ — CURITY-
BA — Caixa H.

DLA PAMIĘCI

OZEWIEC

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 Śr.	Juvenecusza	6.43	17.3	1.4	13.7
2 C.	Marcelina		Baran	2.52	13.57
3 P.	Serce P. Jexusa		Byk	3.56	14.52
4 S.	Serce N. M. P.		„	5.0	15.50
5 N.	3. N. po Świątkach Ew. O zgubionej oncie i groszu.		„	6.3	16.49
6 P.	Norberta		Blizn.	7.3	17.47
7 W.	Roberta		Rak	7.57	18.44
8 Śr.	Medarda	6.46	17.14	8.45	19.39
9 C.	Prim. i Felicyana		„	9.28	20.31
10 P.	Małgorzaty		„	10.6	21.22
11 S.	Barnaby apost.		Lew	10.42	22.12
12 N.	4. N. po Świątkach Ew. O obfitym po- wie ryb.		„	11.15	23.1
13 P.	Antoniego		Panna	11.45	33.41
14 W.	Bazylego		„	12.20	—
15 Śr.	Wita i Modesta	6.48	17.14	12.55	0.42
16 C.	Benona		Waga	13.31	1.35
17 P.	Adolfa		„	14.12	2.29
18 S.	Marka		Niedz.	14.57	3.24
19 N.	5. N. po Świątkach Ew. O sprawiedl. taryz.		„	15.47	4.19
20 P.	Sylwerego p.		Strzelec	16.42	5.11
21 W.	Aloizego		„	17.41	6.1
22 Śr.	Paulina	6.49	17.15	18.41	6.48
23 C.	Edeltrudy		Kozior	19.42	7.33
24 P.	Jana Chrzyciela *		„	20.43	8.14
25 S.	Wilhelma		„	21.43	8.55
26 N.	6. P. po Świątkach Ew. O nakarmieniu 4000 osób.		Wodnik	22.43	9.35
27 P.	Władysława		Ryby	23.43	10.20
28 W.	Leona II.		„	—	11.5
29 Śr.	Piotra i Paw. ap.	6.49	17.15	0.44	11.54
30 C.	Wsp. Św. Pawła		Baran	1.46	12.47

* Święto nie obowiązkowe.

Mapa Parany — ROMARIA MARTINS — NO-
WE WYDANIE — Cena z przesyłką 15\$000 do nabycia
w KSIĘGARNI POLSKIEJ — CURITYBA — CAIXA H.

DLA PAMIĘCI

LIPIEC

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 P.	Najśl. Krwi P. Jez.		Byk	2.43	13.57
2 S.	Nawiedzenie N. M. P.		"	3.51	14.52
3 N.	7 N. po Świątkach Ew. O fałszywych pro- rokach.		"	4.51	15.50
4 P.	Prokopa		Blizn.	5.46	16.49
5 W.	☉ Cyryla i Metodego		Rak	6.37	17.46
6 Śr.	Izajasza pr.	6.50	17.18	7.22	18.44
7 C.	Wilibalda		"	8.2	19.39
8 P.	Elżbiety kr.		Lew	8.39	20.31
9 S.	Jana z Dukli		"	9.13	21.22
10 N.	8. N. po Świątkach Ew. O niesprawiedliwym szafarzu.		Panna	9.46	22.12
11 P.	Piusa I.		"	10.19	23.1
12 W.	☾ Jana Gualberta		"	10.53	23.51
13 Śr.	Małgorzaty	6.49	17.21	11.25	—
14 C.	Bonawentury — fer.		Waga	12.27	0.42
15 P.	Henryka Króla		Niedz.	12.49	1.45
16 S.	N. M. P. Szkaplerznej		"	13.37	2.29
17 N.	9. N. po Świątkach Ew. O zburzeniu Jero- zolimy		Strzelec	14.29	3.24
18 P.	Kamila		Kozior	15.26	4.19
19 W.	☉ Wincentego a Paula		"	16.26	5.11
20 Śr.	Czesława	6.47	17.25	17.28	6.1
21 C.	Praksedy		Wodnik	18.31	6.48
22 P.	Maryi Magdaleny		"	19.33	7.33
23 S.	Apolinaryusza		Ryby	20.35	8.14
24 N.	10. N. po Świątkach Ew. o faryzeuszu i celniku.		"	21.36	8.55
25 P.	Jakóba apost.		Baran	22.38	9.37
26 W.	Anny, Matki N. M. P.		"	23.40	10.20
27 Śr.	☽ Pontaleona	6.44	17.28	—	11.5
28 C.	Nazaryusza		Byk	0.42	11.54
29 P.	Marty		"	1.44	12.45
30 S.	Kunegundy		Blizn.	2.44	13.43
31 N.	11. N. po Świątkach Ew. O głuchoniemym.		"	3.44	14.40

Poruszamy z Posad Ziemię — Maurycego Jokaja 4 to-
my — Zajmująca powieść — na tle stosunków węgier-
skich — cena z przesyłką 4\$000 do nabycia w KSIĘ-
GARNI POLSKIEJ — CURITYBA — CAIXA H.

DLA PAMIĘCI

SIERPIEŃ

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 P.	Piotra w okowach			Blizn.	4.31 15.38
2 W.	N. M. P. Anielskiej			Rak	5.18 16.35
3 Śr.	Znal. św. Szczepana	6.40	17.32	6.0	17.30
4 C.	Dominika			Lew	6.36 18.23
5 P.	N. M. P. Śnieżnej			"	7.13 10.14
6 S.	Przemien. Pańskie			"	7.46 20.4
7 N.	12. N. po Świątkach Ew. O miłosiernym Sa- marytanie.				8.19 20.54
8 P.	Cyryaka			Panna	8.52 21.34
9 W.	Romana			"	9.27 22.34
10 Śr.	Wawrzyńca	6.36	17.36	10.4	23.26
11 C.	Tyburcego i Zuzan.			Niedz.	10.44 — —
12 P.	Klary			"	11.28 0.18
13 S.	Jana Berchmannsa*			Strzelec	12.18 1.12
14 N.	13. N. po Świątkach Ew. O 10-ciu trędowatych.			"	13.11 2.6
15 P.	<i>Wniebow. N. M. P.</i>			Kozior	14.9 2.58
16 W.	Rocha			"	15.10 3.49
17 Śr.	Maksymiliana	6.30	17.39	16.13	4.38
18 C.	Heleny Królowej			Wodnik	17.16 5.24
19 P.	Jacka			Ryby	18.20 6.8
20 S.	Bernarda			"	19.23 6.50
21 N.	14. N. po Świątkach Ew. O służeniu Bogu i mamonie.			"	20.27 7.33
22 P.	Tymot. i Symfor.			Baran	21.31 8.17
23 W.	Filipa B.			"	22.35 9.3
24 Śr.	Bartłomieja apost.			Byk	23.38 9.52
25 C.	Ludwika króla	6.29	17.32	—	— 10.44
26 P.	Zefiryna p.			Blizn.	0.39 11.39
27 S.	Józefa Kalazan			"	1.36 12.36
28 N.	15. N. po Świątkach Ew. O wskrzeszeniu mło- dzieńca.			"	2.28 13.33
29 P.	Ścięcie św. Jana			Rak	3.16 14.29
30 W.	Róży Lim			"	3.58 15.24
31 Śr.	Rajmunda			"	4.37 16.17

* Abstynencja.

Państwo Interesu — A. Carnegie. — Cena z prze-
syłką 1\$200. — Światy nieznane — K. Flamarion — Ce-
na z przesyłką 1\$200. Do nabycia w KSIĘGARNI
POLSKIEJ — CURITYBA — CAIXA H.

DLA PAMIĘCI

WRZESIEŃ

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 C.	Egidiusza	6.16	17.44	5.13	17.8
2 P.	☉ Aniołów Stróżów		Lew	5.47	17.59
3 S.	Serafiny		"	6.20	18.48
4 N.	16. N. po Świątkach Ew. O uzdrowieniu opuchłego.		Panna	6.53	19.38
5 P.	Wawrzyńca Justyn.		"	7.27	20.28
6 W.	Maryana		Waga	8.3	21.19
7 Śr.	Reginy — feriado		"	8.42	22.11
8 C.	<i>Narodz. N. M. P.</i> *	6.10	17.46	9.24	23.2
9 P.	☾ Gorgoniusza		Niedzw.	10.10	23.56
10 S.	Mikołaja z Toledo		"	11.1	—
11 N.	17. N. po Świątkach Ew. O najprzedniejszym przykazaniu.		Strzelec	11.56	0.48
12 P.	Imię N. M. P.		"	12.54	1.38
13 W.	Tobiasza		Kozior	13.54	2.26
14 Śr.	Podwyż. Krzyża Św.		"	14.55	3.12
15 C.	<i>7-em bol. N. M. P.</i>	6.8	17.49	15.58	3.57
16 P.	☉ Ludmiły		Wodnik	17.2	4.40
17 S.	Piętna Św. Franc.		Ryby	18.7	5.23
18 N.	18. N. po Świątkach Ew. O uzdrowieniu po- wietrzem ruszonego.		"	19.12	6.7
19 P.	Januariusza		Baran	20.19	6.54
20 W.	Eustachiusza		"	21.25	7.43
21 Śr.	Mateu. ap. (Suche dni)		"	22.29	8.36
22 C.	Tomasza z Wilanowo	5.54	17.52	23.29	9.36
23 P.	Tekli (Suche dni)		Byk	—	10.30
24 S.	☾ Władysława		Blizn.	0.24	11.28
25 N.	19. N. po Świątkach Ew. O szacie godowej.		"	1.13	12.25
26 P.	Cypryana I Justyny		Rak	1.58	13.20
27 W.	Kosmy i Damiana		"	2.38	14.40
28 Śr.	Wacława		"	3.14	15.5
29 C.	Michała Archan.		Lew	3.48	15.55
30 P.	Hieronima		"	4.22	16.45

* Święto nie obowiązkowe.

Wojna i pokój — Stadjum nad kwestją między-
narodowego sądu rozjemczego — Karol Richet. —
Cena z przesyłką 1\$200 — do nabycia w KSIĘGAR-
NI POLSKIEJ — CURITYBA — CAIXA H.

DLA PAMIĘCI

PAŹDZIERNIK

		Słońce.		Księżyc	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 S.	☉ Remigiusza		Lew	4.55	17.34
2 N.	☽ 20. N. p. Św. <i>Róż. Św.</i> Ew. O uzdrowieniu syna królewskiego.		Panna	5.28	18.24
3 P.	Kandydy		"	6.4	19.15
4 W.	Franciszka z Asyżu		Waga	6.42	20.6
5 Śr.	Placyda	5.39	18.0	7.23	20.58
6 C.	Brunona		Niedz.	8.8	21.50
7 P.	Marka I. p.		"	8.56	22.41
8 S.	☾ Brygidy		"	9.38	23.31
9 N.	☽ 21. N. po Świątkach Ew. O złośliwym studze.		Strzelec	10.43	—
10 P.	Franciszka Borg.		"	11.41	0.19
11 W.	Emilii		Kozior	12.39	1.4
12 Śr.	Maksymiliana — fer.	5.32	18.2	13.39	1.47
13 C.	Edwarda		Wodnik	14.41	2.30
14 P.	Kalistusa I. p.		"	15.44	3.12
15 S.	Jadwigi		Ryby	16.49	3.55
16 N.	☽ 22. N. po Świątkach Ew. O monecie czynszowej.		"	17.55	4.40
17 P.	Wiktora		Baran	19.3	5.24
18 W.	Łukasza Ewang.		"	20.10	6.22
19 Śr.	Piotra z Alkandry	5.25	18.5	21.15	7.18
20 C.	Jana Kantego		Byk	22.14	8.18
21 P.	Urszuli		"	23.7	9.18
22 S.	Korduli		Blizn.	23.55	10.17
23 N.	☽ 23. N. po Świątkach Ew. O córeczce Jairy.		"	—	11.14
24 P.	Rafała Archan.		Rak	0.37	12.9
25 W.	Kryspina		"	1.15	13.1
26 Śr.	Ewarysta	5.20	18.9	1.50	13.52
27 C.	Sabiny		Lew	2.23	14.41
28 P.	Szymona i Judy, ap.		"	2.56	15.31
29 S.	Narcyza		"	3.30	16.21
30 N.	☽ 24. N. po Świątkach Ew. O tredowatym.		Panna	4.5	17.11
31 P.	☾ † Wolfganga		"	4.42	18.2

ZACMIENIA.

Całkowite słońca o godzinie 9,14 rano 1 października.
Prawie całkowite księżycyca o godzinie 7,42 wieczorem 16 października.

DLA PAMIĘCI

LISTOPAD

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1 W.	<i>Wszyst. Świętych</i>				
2 Śr.	Dzień Zaduszny. fer.	5.15	18.13	5.22	18.54
3 C.	Huberba			6.6	19.46
4 P.	Karola			6.54	20.38
5 S.	Zacharyasza			7.45	21.28
6 N.	N. 25 po Świątkach Ew. O burzy na morzu.			8.38	22.16
7 P.	Ⓢ Opieka N. M. P.			9.34	23.1
8 W.	Gotfryda			10.31	23.44
9 Śr.	Teodora	5.12	18.17	11.29	—
10 C.	Andrzeja			12.27	0.25
11 P.	Marcina			13.27	1.5
12 S.	5-ciu braci Polaków			14.28	1.46
13 N.	26. N. po Świątkach Ew. Św. Stanisława Kostki.			15.32	2.29
14 P.	Ⓢ Józefata Kuncewicza			16.38	3.14
15 W.	Gertrudy — feriado			17.45	4.4
16 Śr.	Edmunda	5.10	18.20	18.52	4.59
17 C.	Grzegorza			19.56	5.58
18 P.	Pośw. K. św. Piotra			20.54	6.59
19 S.	Elżbiety — feriado			21.46	8.1
20 N.	Ostat. N. po Świąt. Ew. O okropnem spusto- szeniu.			22.31	9.2
21 P.	Ofiarowanie N. M. P.			23.12	9.59
22 W.	Ⓢ Cecylii			23.49	10.54
23 Śr.	Klemensa	5.8	18.26	—	11.46
24 C.	Jana od Krzyża			0.23	12.36
25 P.	Katarzyny			0.57	13.26
26 S.	Konrada			1.30	14.15
27 N.	1. N. Adwentu Ew. O znakach w dniu sądu.			2.4	15.6
28 P.	Zdzisława			2.40	15.56
29 W.	Ⓢ Saturnina			3.20	16.48
30 Śr.	Andrzeja apost.			4.3	17.41
				4.49	18.33



Wizje przyszłości — o wpływie rozwoju wiedzy i mechaniki na życie ludzkie. — Cena z przesyłką 1\$200 — do nabycia w KSIĘGARNI POLKIEJ — CURITYBA — CAIXA H.

DLA PAMIĘCI

GRUDZIEŃ

		Słońce.		Księżyc.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.
1C.	Elegiusza	5.5	18.33	5.40	19.24
2P.	Bibiany		Waga	6.34	20.14
3S.	Franciszka Ksawer.		"	7.30	21.0
4N.	2. N. Adwentu Ew. O Janie w więzieniu.		Niedz.	8.27	21.43
5P.	Saby		"	9.24	22.25
6W.	Mikołaja		Strzeleo	10.21	23.4
7Śr. C	† Ambroż. Abstyn.	5.6	18.33	11.19	23.44
8C.	<i>Niep. Pocz. N.M.P.</i>		Kozior	12.17	—
9P.	Leokadyi		"	13.18	0.24
10S.	N. M. P. Lauretań.		Wodnik	14.20	1.7
11N.	3. N. Adwentu Ew. O świadectwie Jana.		"	15.25	1.53
12P.	Synezyusza		Ryby	16.30	2.44
13W.	Lucyi		"	17.35	3.39
14Śr. D	Spiridiona (suche)	5.8	18.42	18.36	4.39
15C.	Krystyny		Baran	16.32	5.41
16P.	Adelajdy (suche)		"	20.21	6.43
17S.	Łazarza (suche)		Byk	21.5	7.43
18N.	4. N. Adwentu Ew. O rządach Ty- beryusza.		"	21.45	8.41
19P.	Nemezyusza *		Blizn.	22.21	9.35
20W.	Pelagii		"	22.56	10.27
21Śr. C	Tomasza	5.11	18.47	23.29	11.18
22C.	Demetryusza		Rak	—	12.8
23P.	Wiktoryi		"	0.3	12.58
24S.	† Wig. Ad. i Ewy **		Lew	0.39	13.49
25N.	<i>Boże Narodzenie</i> Ew. O narodz. Pańskim.		"	1.16	14.40
26P.	<i>Św. Szczepana F</i>		"	1.58	15.32
27W.	Jana Ap. i Ew.		Panna	2.43	16.25
28Śr.	Młodzianków		"	3.32	17.17
29C. D	Tomasza		Waga	4.49	18.30
30P.	Dawida Króla		"	5.54	19.19
31S.	Sylwestra		"	6.59	20.5

* Feriado Tylko w Paranie. ** Abstynencya. F Święto nie obowiązkowe.

HISTORIA POWSZECHNA.

DZIEJE STAROŻYTNE. — Cena z przesyłką 2\$800
 " NOWOŻYTNE " " 4\$500
 do nabycia w KSIĘGARNI POLSKIEJ—CURITYBA—CAIXA H.

DLA PAMIĘCI

WIECZÓR WIGILIJNY



CAŁY dzień węszał się Szarski po mieście, stawał przed wystawami sklepów, co się wysilały jedne przed drugimi, by olśnić przechodnia przepychem barw, bogactwem pomysłów i światła.

Zimno było.

Miał na sobie letnią pelerynę. Wprawdzie nosił ją z dumą hiszpańskiego granda, nie dodawała mu jednak przez to ani isierki południowego żaru.

Czuł głód, ale do takiego stanu żołądek jego był przyzwyczajony. Wczoraj zjadł na obiad za ostatnie jedenaście kopiejek trzy czterogroszowe parki i ćwierć funta salcesonu, popiwszy to herbatą. Dziś nie jadł.

Głupstwo — zje jutro. Zawsze stanie się coś takiego, że gdy bywa głodny, nie trwa to dłużej — nad dwadzieścia cztery godzin. Można wytrzymać... Tylko że to dziś wigilja, a jutro Boże Narodzenie.

— No, ale przez jutro, to już stanowczo nie wytrzymam.

W końcach nóg poczuł nagle przykrą, zimną wilgoć. Pochylił się, spojrział.

— Do licha! Śnieg mi się pcha do butów. Nie chcą się trzymać, a tak je dobrze zeszyłem. Podłe musiały być nici.

Wyprostował się i ruszył rażno naprzód, nucąc półgłosem:

«Eviva Partel!»

Dziury mam w butach i spodnie podarte etc.

— Jakże mi się jeść chce...

Wydało mu się iż, padnie.

Opanowało go ogromne znużenie: ledwie się włókł zaśnieżonym chodnikiem.

— Dodatek świąteczny pięć kopiejek! — zapiszczał mu w samo ucho cienki dyszkancik,

Szarski się obejrzał.
Coś brzękło cicho.

— Ej panie, panie z peleryną! Co pan tak sieje rublami!

Staął.

Obok niego podskakiwał wymizerywany mały chłopak, z paczką gazet pod pachą, i wyciągnął chudą, brudną dłoń, na której błyszczał srebrny rubel.

— Co to?

— Wypadło panu...

Szarski zamyślił się. Rubel? Skądżeby się wziął u niego?

— Może pan ma dziurę w kieszeni? — wtrącił chłopak.

Szarski rozpiął pelerynę, wsunął rękę w dolną kieszeń marynarki.

Prawda, dziura jest.

Odwinął kurtkę; podszewka w dole była całkiem przedarta i przez rozrzedzone nitki coś się świeciło.

— O, widzi pan, stąd wypadło, jeszcze tam coś jest.

Szarski wytrząsnął na dłoń miedzianą kopiejkę dwa blaszane guziki.

Spojrzał na chłopca. Był nędzny, mały, z drobną twarzyczką. Dziurawe spodniaki wisiały jak worek na chudych biodrach, tworząc niby frendzlę dokoła cienkich łydek. Gole stopy tkwiły w damskich kaloszach, za dużych i podartych. Nieokreślonej barwy kurtka, złożona z samych prawie rozlatujących się łał, ściągnięta była pod szyją sznurkiem, zaczepionym o dwa jedyne guziki. Na głowie miał czapkę bez daszka, a z oczu wyzierał spryt i humor warszawskiego ulicznika.

— Gdzie ty mieszkasz?

Chłopak królewskim gestem powiodł ręką w obu kierunkach ulicy.

— Tu.

— Na ulicy?

— Tak, w dzień; a w nocy różnie, gdzie się zdarzy. W przeszłym tygodniu nosiłem obrok jednemu panu, co jeździ

na dorożce, to mi pozwolił spać w stajni. Królewskie ci spanie, ciepło, tylko że szczury.

— A wiesz ty, że dziś wigilia Bożego Narodzenia?

— Nie wiedziałbym? Aż bucha z każdej piekarni.

— A gdzie będziesz jadł?

Chłopak zmrużył lewe oko.

— Chciałbym w Bristolu, tylko, że mnie nie puszcza, bo nie mam fraka. Zapomniałem odebrać od krawca. A zresztą, nie starczy.

Wysypał na rękę kilkanaście miedziaków.

— Zaniósłem jednej pani waliskę na stację i dostałem dwadzieścia groszy. Za pięć zjadłem bułek, a za resztę kupiłem w hali u żydówki świeczek na choinkę. Sprzedałem po kopiejce — to już rychtyk miałem złotówkę. Wziąłem z redakcji pięć dodatków po trzy kopiejki, ale nie zrobiłem interesu na literaturze, choceim sprzedawał po pięć bo ino trzy kupili. Dwa mi zostały. A może pan kupi?

— Słuchaj, pójdziesz ty do [mnie?

— Ojoj?!

— Mam tylko tego rubla. Połowa tobie się należy. Wyprawimy sobie za to święta.

Chłopak podskoczył.

— To ci frajda!

— Tylko, że już chyba wszystko pozamykane...

— Panie, ja znam taki jeden handel delikatesów na Bednarskiej, co w nim wszystkiego dostanie: i bułek, i śledzi, i czekolady, i nafty, i cukru, trucizny na szczury — wszystkiego — trzepał chłopak. — Z godzinę jeszcze będzie otwarty.

— To bierz rubla i wal, bom głodny.

— I ja też. To za całego rubla?

— Za całego. Herbaty [nie przynos, bo jest, ale trochę węgla.

— Już wiem, krzyknął chłopak, pędem się oddalając. — Ale panie, panie! Gdzie pan mieszka?

— Wielka 41, mieszkani^e 39.

— Dobra! Szarski, ożywiony niespodzianem znalezieniem rubla i nadzieją zaspokojenia piekącego głodu, wrócił do domu. Zapalił świecę i rzucił się na siennik, oczekując chłopca.

Nie upłynęła godzina, gdy chłopak wszedł obciążony. Na plecach miał worek związany pod brodą, w rękach niósł ogromną wypchaną papierową torbę.

— Zabawiłem trochę — rzekł na progu — bom poleciał do jednej znajomej śmieciarki po worek na węgle.

Złożył ciężar na ziemi, odsapnął, rozejrzał się po pokoju.

— To pan malarz? O znam, wiem... Bywałem po pracowniach. Malarze już mnie malowali, ale dawno. Raz to dwa dni siedziałem u malarza i zarobiłem cztery złote, za nic, inom sobie na krzesle siedział. Teraz to mnie już nie biorą, musiał człowiek zbrzydnąć.

Chłopak rozwijał worek, i majstrować począł koło żelaznego piecyka.

— Nasampierw trza napalić.

Napełnił piecyk węglem, ułożył stos drzewek, podpalił. Płomień buchnął — pojaśniało w pracowni.

— Ostatni raz — będzie temu trzy miesiące — tom siedział jednemu, co, malował ludzi, co z głodu zdychają. Że to niby chudy jestem i ziebra mi można policzyć. To chodził ze mną razem jeden dziadek proszący, okrutnie zmizerywany, i dziewucha, cienka jak ten patyk, i insze jeszcze. To mi się bez pół kazał rozebrać голуśko. Ciepło tam było napalone. A ma pan czajnik?

Poszukaj, gdzieś w kącie stoi. Chłopak pokręcił się po pokoju.

— Teraz gdzie maszynka? No, dobrze.

Kupiłem nafty. Czajnik postawię na maszynce — a kartofle w piecyku się zagotują. Lepszeby były w popiele, ale długoby trzeba czekać.

Wynałazł ronderek, napełnił wodą, wstawił do pieca.

— Słuchaj, ile masz lat, ty... jakże ci tam?

— Jędre, proszę pana. A no Antoniowa mówi, że bez mała jedenaście.

— A kto to Antoniowa?

— Ee, jenda znajoma stróżka z Tamki.

— Jedenaście, a taki pędrak z ciebie?

— Nie urosłem. Antoniowa mówi, że z głodu.

Chłopak szperać począł po kątach, a usta mu się nie zamykały.

— Stolik je — ino mu nogi brak.

Przysunął go do samego pieca.

— Ciepło nam będzie.

Wyjął ze stolika szufladę, podparł nią bok pozbawiony nogi, co brakowało, dosztukował poniewierającymi się książkami; wyciągnął z kąta rulon brystolu, i rozłożył na stole.

— Galanto, co?

Pod papierem rozesał kępkę siana.

— Zwędziłem szkapie od pyska. Sa-laciarz wlaż pod budę, to nie widział.

I jakby się usprawiedliwiając:

— Dla Pana Jezusa, to nie grzech.

Teraz z torby wyjmować zaczął zakupy, i układać na stole.

— Ale ci wilja będzie, że to ha! Za cały rubel piętnaście kopiejek.

— Toś wydał swoją złotówkę?

— A ino.

— Poco!

— Jak spółka, to spółka. Dał pan rubla, mogę ja dać złotówkę. O, widzi pan, com to nakupował! Jaka ci strucla, zwyczajna, bez maku, ale świeżuska, za całą złotówkę; chciała złotych sześć — alem wytargował. Bochen

chleba 20 kop., duży, bo człowiek najlepiej się chlebem naję, będzie na całe święta. Trzy śledzie marynowane — dwanaście; garniec kartofli — sześć, sól kopiejkę, masła za pięć, cukru funt — miałkiego bo tańszy — dwanaście. A teraz na jutro, co byśmy jedli. O, widzi pan — mówił z tryumfem, odwijając paczkę — pół funta ślicznego salcesonu włoskiego za dziesięć i funt kaszanki za dwadzieścia kop., ale przeważało kom mówił, żeby dobrze naważyła, że to dla jednego hrabiego, co majątek stracił.

— Toś zgadł.

— A widzi pan... Cóżem to ja jeszcze? Ale przecie węgiel i podpałka — dziesięć, nafty za siedem. Jeszczem tu coś dla pana przyniosł, o, papierosy, za pięć kop. całe dziesięć sztuk. A to — wyjął garść orzechów, cztery greszowe pierniki, jabłko i duże kolorowe świeczki — to mi dodała. Bo mówię: co to proszę pani, za rubla przeszło zrobiłem sprawunków, a nic mi pani na gwiazdkę nie da? To sklepikarka ino się roześmiała i mówi: ty łobuzie jakiś — ale dała. Porządna kobieta. I jeszcze coś u niej wyprosiłem. Oplątek, o!

Szarski śmiał się.

— Spiesz się Jędrak, bom głodny.

— O, już się woda gotuje, w rondelku też kipi. Gdzie to ta 'herbata'? Naparzę.

Wsypał do rondelka połowę kartofli nakrył talerzem.

— Zara będą. Reszta na jutro na obiad. Kartofle w mandurach z solą i masłem — to ci ba!

Wyciągnął z kotła pustą butelkę, wetknął w nią parę gałązek jodłowych.

— Koło Kopernika pozbierałem.

Przekrajał świeczki na połowę, przy-mocował, zawiesił pierniki, jabłko postawił na stoliku.

— I choinka jest. A teraz trzeba się oporządzić. Nie ma pan kawałka mydła? Także ci łapy mam brudne.

Wybiegł na korytarz, po chwili wrócił umyty, z czystymi rękami. Postawił talerze, wsypał dymiące kartofle, zdjął ze ściany ręcznik, i wsunawszy go pod pachę, rzekł podbiegając do Szarskiego.

— Proszę jaśnie pana, kolacja na stole.

Przełamali się oplątkiem.

— Niech tam panu Bóg da zdrowie. Myślałem, że znów dzisiaj będę pod schodami...

Jedli szybko. Wkrótce zostały na stole tylko trzy szkielety śledziowe i góra łupin od kartofli.

— Rodziców nie masz?

— Ojca to bo ja wiem... Razem, pamiętam, spytał — matki: «Gdzie tato?» — to jak mnie bez kark lunie mokra szmata. Praczką była. Prała mnie, bo prała za byle co, ale po dobroci to mnie i kochała. Póki żyła, tom nigdy w takich łachach nie chodził, i spałem se, jak chrabia, na sienniku, i jeść miałem co. Zawsze co matka, to matka.

— Dawnoś już na swoim chlebie?

— Dawno. Niosła matka kosz bielizny na strych po drabinie, kosz się chybnął, nie dała rady — kosz zleciał, matka za nim. Okrutnie się potłukła i przygibła jakosik w krzyżu. Chorzała od tego czasu i prała, ino aby-aby, siedzący. Ale potem i tak nie mogła. mieszkaliśmy kątem u jednych ludzi na Tamce, tam właśnie, gdzie Antoniowa. Już nas trzymać nie chcieli — tyle tylko, co ją do śmierci dotrzymali. Jak umarła, wygnali mnie. Ino Antoniowa, dobra baba, i że matkę nieboszczkę bardzo lubiła. Jak miarkuję w tygodniu, że Antoniowa będzie prała, a starego niema, lecę do niej, a ona mi zawdy

od ręki koszulę upierze, wysuszy a jak ma czas, to i polata, i jest galancie, i robactwa nijakiego nie mam. Bobym to sobie inaczej nie dał rady! O, widzi pan, i to mam od niej.

Wyjął z zanadza tani grzebyk o grubych zębach.

— A czytać umiesz?

— Ojej!

— Kto cię nauczył?

— Ktoby tam. A tak sam na ulicach, na szyldach

Westchnął.

— Żeby to człowiek miała za co garnitur sobie zafundować, toby jeszcze nie tak źle było na świecie. Moznaby prędzej co zarobić — ale takiego obdartusa nie wszędzie puszcza.

Zamyślił się, znów westchnął.

— Panie — rzekł — zapalę choinkę. Szarski skinął głową.

— A pozwoli pan kolędę zaśpiewać?

— Zaśpiewamy razem.

Po chwili rozlegał się już w pustej pracowni czysty, młodzieńczy głos Szar-

skiego, a wtórował mu cienki dyszkancik ulicznika:

«W żłobie leży»...

I może jedyne to były ściany, co słyszały tego wieczoru starą pieśń, śpiewaną złączonymi głosami tych dwóch, dziwnym wypadkiem losu zbliżonych, nędzarzy: artyści i dziecka proletariatu.

Ciepło i wieczera rozmarzyły Jędrka.

Szarski przysunął siennik do pieca.

— Połóż się Jędrak, z miejscimy się obaj.

Podał mu derkę. Sam nie zdejmując ubrania, owinął się peleryną. Zgasił świecę.

Jędrak popatrzył na okno w suficie, przez które sączyło się blade światło zimowej nocy, rozjaśnionej miliardem iskrzących gwiazd i refleksami śniegu, którym się otuliło miasto.

— Tyli szmat nieba widać tu od Pana!..

A nad miastem rozkołysały się dzwony przeciągłą radośną pieśnią:

... Bóg się rodzi...

W. STANISŁAWSKA.



W PIWNICZEJ IZBIE.

W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada,

Wilgotny a ponury.

Mętnemi szyby drobne okienko

Na brudne patrzy mury.

W piwnicznej izbie głos dziecka słyhać:

To westchnie, to zagada...

Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,

Przy igle matka blada.

— «Moja mateńko! Moja rodzona!

Jak też tam na wsi onej?

Czy też tam dzieci chodzą w słoneczku,

Po trawce, po zielonej?

I nie mieszkają, jak my w piwnicy?

I widzą het... obłoki?»

— «Oj widzą, synku, wszyściuśko widzą,

Caluśki świat szeroki!

Oj widzą one pola i lasy,
I łąki, i zagaje,
Widzą, jak słonko idzie do morza,
I jak znów rankiem wstaje...

Widzą, jak plugi rzną wiosną skiby,
Jak siewacz rzuca ziarna,
Jak woły ciągną zębata brona,
Jak rodzi ziemia czarna...

Oj widzą one, jak źródła biją,
Jak modre rzeki płyną,
Jak dzikie gęsi na górę lecą,
Jak staw zarasta trzcina...

— «A niema takich murów dokola,
Ze aż się przegiąć trzeba,
Żeby choć skrawek, choć odrobinkę
Zobaczyć czasem nieba?»

— «Niebo-tam, synku wszystkim otwarte
Z wschodu na zachód wolne,
Czy zorza świeci, czy gwiazdy wchodzą,
Jako te kwiaty polne».

— «To i Pan Jezus bliżej być musi,
I patrzy na te dzieci,
A od nas tutaj do Pana Boga
I pacierz nie doleci...

W piwnicznej izbie jęk zabrzmiał cichy,
Matka się po niej krząta...
W gęstym mroku głos dziecka słaby
Z ciemnego słychać kąta.

— «Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tem polu?»
— «W polu to, synku, zboża a zboża,
Przetkane w kwiat kąkolu...

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Ze się w nich człowiek schowa!
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkóło woń chlebową.

Spojrzyz na lewo, spojryz na prawo
To kłosa aż się garną,
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tą ziemię czarną.

A wierzchem takie ci idą szumy,
Takie w powietrzu granie,
Jak kiedy, na ten przykład w kościele
Zagrają na organie...

Od spodu słoma jak trzcina stoi,
O! gdzie tam do niej tobie!
A takie ziarnem pełniuszkie kłosa,
Aż kładą się po sobie.

A jęczmień to ci taki wąsaty!
A gryka taka miódna!
A łoś—jak niebo... a grochy w strąkach—
Ze ich nie przejrzysz do dna.

A tu ci zajac z pod miedzy smyrgnie
Przepiórka w głos zadzwoni...
A z łąki kędys po rosie słyhać
Spętanych rzenie koni.

W piwnicznej izbie zmrok coraz gęstnieje
Wilgotne ściany płaczą...
Dziecko w ciemności oczy otwiera,
Czy czego nie zobaczą...

— «Moja mateńko! Moja rodzona!
A jak tam na tej łące?»
— «Na łące, synku, to trawy rosna,
W srebrzystej mgle stojące...

A w trawach kwiecie żółte i białe,
A bokiem modra struga,
A słonko sobie po niebie chodzi
I złotem okiem mruga...

A po mokradłach bocian szcudłuje,
I żaby dziobem bierze,
A skowroneczek do Boga leci,
I śpiewa swe pacierze.

A dziewczę idzie i krówkę pędzi —
Chuścina i zapaska.
A krówka ryczy, a porykuje,
A pastuch z bicza trzaska.

Brzeżkiem, nad rowem, złoceniec rośnie
I wierzba na fujarki...
A siwy kaczor w trzcinach się zrywa,
Sznurkuje derkacz szparki.]

A po przydróżku, pod leśną ścianą,
Kosiarze idą z kosą.
A te dziewczątka, jak gąski białe,
W dwojakach jeść im niosą...»

W piwnicznej izbie głos dziecka gwałtowny
Z wilgotnej, brudnej pleśni...
A oczy jego patrzą w okienko,
Czy mu się czasam nie śni...

— «Moja mateńko! Moja rodzona,
A jak tam jest w tym lesie?»
— «W lesie to, synku, szum się okrutny
Po wielkich sosnach niesie

wielkie jakieś dziwy powiada
O starych onych czasach,
Co to już o nich wieść tylko lata
Po ciemnych, cichych lasach...

A taki zmrok tam zielony, świeży,
Ze—gdzie!... i ksiądz sam nie ma,
Na Boże ciało, na procesyi,
Takiego baldachima!

Dęby a jodły, jako te wieże,
Pod niebo się dźwigają,
A królowie w złotych pałacach
Piękniejszych wież nie mają.

sosny śmigle szumią a szumią,
A brzozy liściem trzęsą,
dzień się przez nie, jak sitem, sieje]
I patrzy złotą rzęsą.

Czasem gdzieś gołąb dziki zagrucha,
Czasem w ewiórka świśnie,
A jarzębiny w kolorach stoja,
I pachną leśne wiśnie.

A jakie to tam gniazda są ptasie,
Furkania a szczebioty!
A gaszcz ci taki, że słońce ledwo
Przeciśnie smużek złoty.

A co tam żuczków, a muszek brzęku
A co tam jagód krasnych,
A co machów tkanych jak aksamity,
A co dzwoneczków jasnych!

A owczarz sobie pod lasem stoi,
Siwe owieczki pasie,
A Kurta szczeka, a naszczekuje!
A nawróć się! A zasię!...

A z bożą męką krzyż w macierzankach
Starej mogiły strzeże,
A kto tam przejdzie, to sobie westchnie
I szepce swe pacierze...

A dech ci taki słodki a mocny,
Gdzie stąpisz dookoła —
Bo smółki topną i mirrę sączą,
I zdrowiem tchną tam zioła...»

— «A—to i jabym może, mateńko,
Ozdrowiał w onym lesie?
A w tej piwnicy, tom, jak żdźbło ono,
Co się za wiatrem niesie».

— «Oj ozdrowiałbyś, synku, nieboże,
Mój ty świerszczyku cichy!
A tak mi zamrzesz jeszcze przed zimą,
Jak ten wróbelek lichy...

Oj ozdrowiałbyś, synku rodzony,
Mój ty robaczku marny!
A tak mi przyjdzie twoją głowękę
Zakopać w dołek czarny!»

— «Nie płaczcie, matuś, nie płaczcie ino!
Możec się jeszcze uda...
A teraz precz mi rozpowiadajcie,
Jakie to tam są cuda?»

— «Oj są tam cuda, dzieciątko moje
Serdeczne a rodzone!
Złociste łany, srebrzyste zdroje
I sady rozkwieczone...

Oj są tam takie cuda na niebie
I na tej bożej ziemi,
Że człowiek nie wie, na co ma pierwej
Oczami patrzeć swemi!»

W piwnicznej izbie zmierzch zapadł czarny,
Jako ta czarna dola...
Któż dziecku temu da trochę słońca
Pokaże lasy, pola?

MARYA KONOPNICKA.

WOJENKA, WIELKA PANI.

Świat cały śpi spokojnie
i wcale o tem nie wie,
że nie jest tak na wojnie,
jak jest w żołnierskim śpiewie.

Z piosenki nasze życie
wesołym śmiechem tryska,
lecz kaźden łęskni skrycie,
gdy przyjrzeć się nam z blizka.

Wojenka, dumna Pani,
Żołnierzy swych nie pieści,
gdy kulą w pierś nie rani,
to zgubi ich bez wieści.

Wojenka, piękna Pani,
tak życie nam umiła,
że krew swą mamy dla niej,
a piosnkę — dla cywila.

A piosnka brzmi tak ładnie,
a tak się rzadko skarży,
choć śpiewak w polu padnie,
choć zginie w polu, w szarży.

I różą na koszuli
szkarlatną krew zakwitnie,
a ziemia go przytuli,
gdy zamrze, jak żył, bitnie.

Bo my tej Wielkiej Pani,
co leje krew obficie,
jesteśmy ślubowani
na śmierć, na twarde życie...

Świat, zaśię, śni spokojnie
i wcale o tem nie wie,
że nie jest tak na wojnie,
jak jest w żołnierskim śpiewie.
Eugenjusz Korwin-Mataczew.

— «A jaż, mateńko, zobacze kiedy
Wszyściuśko, co mówicie?
One to ptaki w lasach grające,
One zajaczki w życie?»

A jaż mateńko, nie taki samy,
Jako te insze dzieci,
Co to się dla nich zieleni łąka
I jasne słońko świeci?»

W piwnicznej izbie ciężkie westchnienia
Z ciemnego słyhać kąta...
Ucichło dziecic na swym barłogu,
Matka się we łzach krząta.



WIDZENIE

I.

WZIMOWY wieczór, około dziewiątej, doktor Czerski, pochylony nad stołem, siedzi w swoim gabinecie. Jest to pokój wysoki o dwu oknach. Całą podłogę pokrywa gruby dywan. Wzdłuż jednej ściany stoi odrębna szafa biblioteczna, pod drugą — szafa z chirurgicznymi narzędziami. W jednym kącie stoi dębowe biurko, lewą stroną zwrócone do światła, w drugim stalugi, a na nich kosztowny atlas anatomiczny. Na środku gabinecie, pod wiszącą lampą, znajduje się stół, przy którym pracuje doktor. Resztę pokoju zajmują ciężkie fotele i krzesła, obite skórą.

Doktor jest chirurgiem. Jutro ma operować złośliwy guz na szyi, więc dziś, dla wprawy, przerysowuje z atlasu tę niebezpieczną część ciała lekarzy i chorych, z jej poklaną siecią nerwów i naczyń krwionośnych.

Doktor jest średniego wzrostu, odznacza się spokojem. Znajomi mówią o nim, że ma kamienną fizygnomię i stalowe spojrzenie. Należy do najzdolniejszych chirurgów. Nie może się widzieć wnętrza ciała chorego, a jednak skalpele prawie posiadają czucie, dzięki czemu podobno nigdy jeszcze nie popełnił ważniejszego błędu w operacji.

W zasadniczym rysem jego charakteru nieufność wola. Był synem niegdyś zamożnej rodziny, ale gdy ojciec stracił majątek i umarł,

chłopiec od piątej klasy zaczął pracować na chleb i utrzymywał nie tylko siebie, lecz i matkę. Pomimo ciężkich przeszkód, ukończył uniwersytet, był kilka lat za granicą, po powrocie do kraju szybko zdobył sławę i praktykę i ożenił się z panną, którą pokochał jeszcze jako student i już wówczas postanowił, że ona będzie jego żoną.

Drugą cechą znakomitego doktora stanowił głęboki pesymizm, którego źródłem należało szukać prawie w dzieciennych latach. Wspólnik ojca wydarł mu majątek i samego wpędził do grobu, a gdy matka poszła do obdziercy, ażeby wyblagać chociaż część pieniędzy na wychowanie syna, rabus dał jej taką odpowiedź:

— Kto nie ma na ukończenie szkół, niech idzie do rzemiosła... Społeczeństwo nie potrzebuje pretensjonalnych niedouczków, lecz dobrych robotników.

Po tej odprawie biedna matka zwracała się z prośbą o pomoc już to do swojej rodziny, już to do dawniejszych przyjaciół. Ale wszyscy zgodnie odpowiadali, że Karolek nie powinien myśleć o nauce, lecz o popłatnej pracy.

Takie zachowanie się osób najbliższych, niegdyś życzliwych, krwawymi śladami zapisało się w duszy lekarza i odbiło na dalszym życiu. Niechętni mówili, że doktor Czerski jest znakomitym chirurgiem, ponieważ ze swego słownika wykreślił wyraz: «współczucie».

co w pewnym stopniu potwierdzał on sam, odzywając się niejednokrotnie:

— Gdybym rozczułał się nad każdą łzą, jaką widzę, nie mógłbym być nietylko chirurgiem, ale nawet Siostrą Miłosierdzia...

Mimo to był człowiekiem uczciwym i nie tylko leczył darmo ubogich, lecz jego dom służył jako ognisko, w którym znajdowało pomoc bardzo wiele jednostek, rodzin i instytucji. Sprawczynią tego była żona.

Gdy kto z bliższych znajomych zapytał doktora: w jaki sposób można pogodzić jego wielką ofiarność z szorstkimi aforyzmami? — odpowiadał:

— Filantropia jest wydziałem mojej żony. Niech się bawi kobieta, jeżeli robi jej to przyjemność!..

— Nie oczerniajże doktor samego siebie...

— Wcale nie oczerniam. W dobroczynnych dziełach mojej małżonki ja nie odgrywam żadnej roli. Tylko tyle, że staram się nie robić zła: nie kradnę, nie zabijam, nie jeżdżę kolejami bez biletów... Takie mam upodobania...

Doktor harmonizował ze swoim gabinetem, który wyglądał prawie ponuro, jakby każdy z badanych pacjentów zostawiał tutaj cząstkę smutku i niepokoju.

II.

W tej chwili skrzypnęły drzwi i na dywanie rozległ się szelest jedwabnej sukni.

— To ty, Zosiu?... — spytał doktor, podnosząc głowę od swego rysunku.

— Już jadę do mamy — mówiła pani zniżonym głosem — a z nią pojedziemy do Wiktorostwa. Przeszkodziłam ci?... Przepraszam...

Objęła go za szyję i okryła twarz pocałunkami. W jasnej sukni wyglądała przy nim, jak kwiat, tulący się do posągu. Była to kobieta wysoka, szykowna, z grubymi, ale ładnymi rysami, które upiękniał wyraz słodczy. Mąż, którego ubóstwiała, synek, za którego w każdej chwili gotowa była oddać życie, i rozmaita cierpiąca i wydziedziczona biedota —

oto królestwo, gdzie rozwijała się jej działalność.

— Kiedy przyjedziesz po mnie?... — mówiła. — A może wcale nie przyjedziesz, bo wiedz, że jesteś bardzo zajęty?... Do Wiktorostwa wybiera się dziś kilka osób, w tym ja, dynie celu, ażeby ciebie poznać...

— Czy myślą, że, gdy się z nimi poznam, to lepiej i taniej będę im robił operacje?... — Nie mów tak, bo to brzydko, Karolu!..

A może chcesz, ażeby zostawała w domu, a będziesz wolny?..

— Jedź, moje dziecko, i baw się wesoło. Jeżeli nic się nie zdarzy, przyjadę po ciebie około dwunastej.

— Dobrze. Więc tylko ucałuj Kazia, bo chce tatusiowi powiedzieć dobranoc.

— O tej porze chłopak nie śpi?... — zadzwonił się doktor. — Zaraz tam pójde.

Żona znowu uściskała go, mówiąc: — Do prędkiego widzenia... Polecam w Bogu...

— I to niezła protekcya... — mruknął doktor.

Żona zasłoniła mu usta ręką.

— Jeżeli choć trochę mnie kochasz, nigdy nie mów nic podobnego, Karolu!.. — zawołała strwożona. — Nikiedy odzywaj się tak, jakbyś wątpił...

— A wcale nie trudno byłoby usunąć wszelkie wątpliwości ze światła!.. — uśmiechnął się doktor. — Jeden znak, jeden ma dowód istnienia!.. Co to szkodziło Panu Bogu?

— O nie mów tak!.. — znowu przerwał mu żona z rosnącą trwogą. — Znaki Boże straszne, więc nie trzeba ich wywoływać.

— Idź, duszo moja! — przerwał jej doktor. — Idź i baw się dobrze po naszych klasztorach nudaach...

Uściskał ją, odprowadził do drzwi, a potem wrócił do swego stołu. Znowu schylił głowę nad rysunkiem, ale wnet podniósł ją, zbudzony jakimś szelestem.

To na dworze padał suchy śnieg i bil okna. Niekiedy zdawało się, że figlarne dzwoniły na skale, zarosłej kwiatami; za nim, ci sypią piasek na szyby, to znowu, że

chicho puka do okien, jakby chciał wywołać doktora, albo zawiadomić, że sam do niego przyjdzie...

Doktorowi zdawało się, że poza tym szelestem śniegu widzi drobne różowe paluszki, które bębnią w szyby. Wspomniał o synu, uśmiechnął się i opuścił gabinet.

W dużym pokoju, przy świetle blade-niebiskiej lampy, spał Kazio w białym łódeczku pod opieką bony freblówki.

— Kazio tak czekał na tatusia, tak czekał... wcale nie chciał się rozbierać i jeszcze nakazywał mi, żebym go zbudziła, gdyby zasnął... — szeptała bona z uśmiechem. — Chciał tatusiowi powiedzieć dobranoc i pokazać nowego pajacyka, którego dziś przysłała mu babcia... I jeszcze mówił, że jeżeli tatus zechce, to on tatusiowi podaruje pajacyka, bo to jest najpiękniejsza zabawka, jaką Kazio dostał.. U niego każda nowa zabawka jest najpiękniejsza!..

Po tem sprawozdaniu bona wyszła, a doktor wpatrywał się w śpiącego syna.

— Co się dzieje z temi dziećmi! — myślał doktor. — Kiedy to biedactwo przyszło na świat, było zupełnie brzydkie, tak, że wątpiłem, czy będę je kiedy mógł pokochać... Potem trochę wyładniał i zaczął mnie interesować, a dziś jest piękny, jak cherubin, mój en skarb najmilszy... Nic dziwnego... ma ziemne oczy matki i jej uśmiech.

Przyszło doktorowi na myśl, że to dziecko jest jedyną istotą, która kocha go bez cienia goizmu. Jak on się żegna z wychodzącym tatusiem!... Jak on się każe sadzać na oknie, żeby prędzej zobaczyć powracającego tatusia!.. Jak on strasznie tęsknił, kiedy raz tatus musiał na kilka dni wyjechać!..

Nigdy nie myślałem, że dziecko może dać tyle szczęścia!.. — szepnął głęboko wzruszony doktor.

Wtem spojrzenie jego padło na obraz, wiszący nad łódeczką Kazia.

Był to dar babki, pyszny, angielski miedzioryt, wyobrażający Chrystusa. Odkupiciel siedział na skale, zarosłej kwiatami; za nim,

z daleka ciągnęło się pasmo gór i droga, której początek zasłaniała szata Zbawcy.

Twarz Chrystusa była niezwykle piękna; miała wyraz smutny i nakazujący, który dziwnie dobrze harmonizował z podpisem, położonym na obrazie ręką babki:

„Miłujcie nieprzyjaciół wasze... czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i przesła-dują!..“

— Szczególne słowa!.. — mówił do siebie doktor. — Mógł je wypowiedzieć tylko ten oto mędrzec, którego oczy widzą jakiś inny świat, nie nasz świat.

Bo na tym naszym świecie pięknie wyglądałby człowiek, o którym dowiedzianoby się, że „miłuje nieprzyjaciół!..“ — rozmyślał dalej doktor. — Do jutra zostałyby tylko w jednej koszuli, a za tydzień wytoczonoby z niego wszystką krew.

— Nie synusiu!.. — szepnął, pochylając się nad łódeczką — nie miłuj nieprzyjaciół i nie czyń dobrze tym, którzy cię będą nienawidzili. Inaczej zabraknie ci sił i serca dla tych, którzy cię kochają!..

Nie rób tego, syneczku, nie, nie!..

W tej chwili elektryczny dzwonek w przedpokoju odezwał się w tak szczególny sposób, że zdziwiony doktor opuścił sypialnię dziecka i wrócił do gabinetu.

— Blizko dziesiąta... Cóż się tam komu stoło?... — rzekł do siebie.

III.

Do gabinetu wszedł człowiek stary, z długimi włosami, z nieprczadnie utrzymaną brodą. Miał na sobie wytarty paltot, popstrzony płatkami śniegu.

Na jego widok doktor cofnął się i zapytał tonem, w którym czuć było gniew i zdziwienie:

— Cóż sprowadziło do mnie... pana... i jeszcze o tej porze?..

— Krup... — szepnął starzec. — Mój wnuczek ma krup... dusi się!..

Doktor wzruszył ramionami. Starzec, wi-

dząc to, zalał ręce i począł mówić chraptliwym głosem:

— Panie, miej miłosierdzia!... Prawda... obdarciem was... Jeżeli zechcesz, wyznam to przed sądem... Ale i cóż mam z tego?... Nędzę... Moja córka, wdowa, utrzymuje się z szycia i w dodatku nie ma ani zdrowia, ani roboty, Jestem wobec ciebie zbrodniarzem, ale... co winno dziecko?... Ma dopiero sześć lat, panie... I czy może tak strasznie cierpieć za to, że dziadek zbrodniarz?... Uderz mnie... oddaj do więzienia, ale zlituj się nad niewinnymi... Wszakże Chrystus nawet na krzyżu przebaczył swoim katom...

— Posłuchaj mnie pan — rzekł doktor. — Jako lekarz nie mam prawa nikomu odmawiać pomocy, ale jako człowiek...

Zatchnął się i ciągnął dalej:

— Czy mógłbyś pan nawlec w tej chwili igłę?...

— Widzi pan, jak drzę... — szepnął starzec, patrząc mu w oczy z trwogą psa, którego mają obić.

— Zrozumiej mnie pan — mówił doktor. — Każdemu innemu dziecku zrobiłbym operację, wyjąwszy... memu własnemu i — pańskiemu... Przy pańskim dziecku nie byłbym pewny mojej ręki, bo zdaje mi się, że zamiast jednej trumny, mego ojca, między mną a panem znalazłaby się druga trumna, pańskiego wnuka... Czy pan to rozumie?...

— Rozumiem, że Bóg mnie przeklął!...

— Niech więc pan szuka innego doktora! Honorarium ja... mogę zapłacić...

— Czasu niema! — mówił starzec, składając ręce. — Mieszkamy tu, w drugim domu... Już nie jestem w stanie iść dalej... U tyłu byłem napróżno...

— Idź pan jeszcze do jednego... — odparł zimno doktor.

Starzec, jak obłąkany, zaczął trząść w powietrzu rękoma i bić się w głowę.

— Pójdę — rzekł — pójdę do mojego kochającego wnuka i modlić się będę, ażeby za grzechy starców nie karano dzieci... Boże, zmiłuj się... Boże... Boże, zmiłuj się! — krzyknął.

Zataczając się, wyszedł z pokoju, a chwili ciężkim krokiem zbiegał ze schodów.

— Wyborny sobie! — zawołał lekarz. Przed laty ograbił nas i zamordował mi ojca, a dziś chce zabić mi reputację... Tego pacjenta nie dotknąłbym za żadne skarby... przyniósłby mi nieszczęście, jak jego zacięty dziadek... Basta!... Basta!...

Znakomity chirurg był tak wzburzony, drżał.

IV.

Doktor zaczął chodzić po gabinecie i szeptał:

— Krup!... Głupia historia... I po co tu stary tu przyszedł?... Jestem pewny, że cała jego brudna odzież przenika zaraza... Oto porządek na świecie!... Zbrodniarz gdy ma siły, wydarł mi ojca i majątek, a dziś, gdy się zestarzał, zaraza się i napada mój dom...

Doktor zbliżył się do umywalni i umywał w słabym roztworze sublimatu. Potem w rozpryskiwacz, napełnił go mocno pachnącym płynem i, zawoławszy lokaja, kazał pokropić się od stóp do głowy.

Wyraz "krup" tak go zaniepokoił, że chętnie spojrzeć na Kazia, a jednocześnie lękał się, ażeby zaraza nie przeniosła się do jego syna...

Jeszcze raz umył ręce, zmienił surdut szepnąwszy: "Głupstwo!...", poszedł do pielni dziecka. Dziwilo go to, że choć dawsetki razy bezpośrednio stykał się z chorymi na zaraźliwe choroby, dopiero dziś przyszedł mu obawa, że syn jego może się zarazić!

Dziecko spokojnie spało, ale w podświadomej imaginacji doktora zaczęły budzić się określone podejrzenia. Czy Kazio nie zapomniał oddychać?... Nie bardzo, ale cokolwiek prędko... Czy jego buzia nie jest zbyt zaczerwieniona?... Czy w fizjognomji ma coś tego przykrego wyrazu, który zapowiada chorobę?...

Nie. Dziecko cicho śpi i nawet zdaje się uśmiechać...

Mimowoli doktor podniósł głowę i spojrzał na miedzioryt, wyobrażający Chrystusa...

gle zachwiał się... Przetarł oczy i przeczytał napis:

"Miłujcie nieprzyjaciół wasze... Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i przesła-dują..."

Skąła, porośnięta kwiatami... jest... W głębi pasmo wzgórz... jest... I widać drogę, całą drogę... Nawet tę jej część, którą zasłaniała szata Chrystusa... Nawet widać ten krzak na skale, którego dotychczas nikt z żyjących nie widział i nie mógł widzieć, ponieważ ten krzak na miedziorycie także był zasłonięty rękawem Zbawiciela...

Ale teraz widać i całą drogę i ów krzak, których już nie zasłania, ponieważ Chrystus zniknął!...

W pierwszej chwili doktor nie czuł nawet zdziwienia. Zdawało mu się, że właśnie tak być powinno, że Chrystus był tu niepotrzebny. Ale znówu przeczytał podpis: "Miłujcie nieprzyjaciół wasze..." — co przecież nie mogło stosować się do samego krajobrazu... A nareszcie i ten krajobraz bez człowieka, krajobraz, który doktor oglądał codzień od sześciu lat, i na którym zawsze był Chrystus, z fizjognomią nakazującą i smutną i z oczyma zapatrzonemi w inne światy...

Teraz doktor uczuł się w takim nastroju, jaki dotychczas nawet mu do myśli nie przychodził. Rodziło się w nim nowe, nie tylko nieznanne, ale nawet nieprzeczuwane uczucie. Zdjął miedzioryt ze ściany, dotykał jego ram, szkła... Przeniósł go do gabinetu i tam przy silnym świetle lampy, wpatrywał się...

Ale wszystko napróżno: Chrystusa nie było!...

Nagle błysnęła mu myśl okropna, że jest obłąkany... Chciał rzucić obraz na ziemię, zwołać służbę, posłać po doktorów, a nawet wybiedz na ulicę i wołać:

— Patrzcie, co się ze mną stało!... Przecież ja tracę rozum!...

Ale przypomniał sobie żonę, i to go oprzytomniło. Odzyskał, przynajmniej w części, panowanie nad sobą i postanowił hamować się w szaleństwie, ażeby żona nie spostrzegła te-

go od razu i stopniowo przygotowała się do nieszczęścia.

Żona!... Czyliż nie żona przed półgodziną gromiła go za niedowiarstwo, a gdy on wspominał o potrzebie jakiegoś znaku ze strony Boga, czyliż nie ona powiedziała, że znaki Boże są straszne i — nie trzeba ich wywoływać?...

Znaki?... Więc to może być znakiem? — powtórzył.

Strach jego powiększył się, choć już nie miał tej upadającej cechy, jaką posiada obawa możliwego szaleństwa.

— Znak Boży?... Znak Boży?... — szeptał zbielełymi ustami. — Czego znak?... Że... trzeba miłować nieprzyjaciół?... Że trzeba czynić dobrze tym, którzy nas pokrzywdzili?... Że... trzeba iść nawet do tego starca i ratować mu wnuka?...

Położył miedzioryt na stole, przykrył go papierami i, pobiegłszy do szafy, zaczął przędko wydobywać narzędzia i opatrunki, powtarzając machinalnie: "Sublimat... wata... igły... rurka... tasiemka... tak, tasiemka..."

— Muszę ratować to nieszczęśliwe dziecko, a może razem z niem ocalę i własny rozum!...

Było dopiero kwadrans po dziesiątej, kiedy doktor zadzwonił do najbliższego znajomego sobie felczera.

— Czy może pan asystować mi przy tracheotomji?... — zapytał felczera.

— Choćby pan doktor chciał komu głowę uciąć, a potem ją przyszyć, także będę asystował! zawołał felczera, odurzony rolą, do której powoływał go znakomity chirurg.

V.

Doktor i felczera łatwo znaleźli mieszkanie starca i jego córki, a zarazem dowiedzieli się, że poszukiwani przez nich lokatorowie są bardzo ubodzy. Stróż domu, otrzymawszy od doktora kilka złotych, otworzył upusty wymowy i objaśnił, że ci państwo zadłużyli się za węglem, za mąką, za chlebem... A ponieważ w dodatku nie płacą nawet za mieszkanie, więc

od najbliższego ósmego gospodarz wyrzuci ich z lokalu.

— Powiedz gospodarzowi i sklepikarzowi, że ci państwo wszystko zapłacą — rzekł doktor.

— A wiesz, kto poręcza? — zawołał do stróża felczer. — Największy doktor w Warszawie, któremu tacy, jak twój gospodarz, nie wari butów czyścić!...

— Niech-no kolega nie będzie taki gorliwy... — Upomniął go cierpkim tonem lekarz. — Jutro — zwrócił się do stróża — rachunki tych państwa będą zaspokojone, a tymczasem i wy służcie im, a będziecie wynagrodzeni!...

Mówiąc tak, doktor przysłuchiwał się własnym zdaniom, ażeby sprawdzić: o ile są logiczne?... Musiał przyznać, że jakkolwiek ich treść jest nowa, jednak niema w niej ani śladu szaleństwa.

Starzec i jego córka zajmowali jeden szczypliwy pokój na trzecim piętrze. Wszedłszy tam, doktor spostrzegł, że w mieszkaniu jest zimno, i że ani na kominku, ani na stole nie było widać nawet resztek jakiegokolwiek żywności.

Na jednym łóżku leżał starzec, zasłoniwszy głowę rękoma; na drugim siedziała niegdyś elegancka, dziś zmizerowana kobieta, z sześćdziesięcioletnim chłopczykiem na ręku. Dziecko miało twarz silnie zaczerwienioną, obrzękłą szyję, trudny oddech i kaszel, przypominający szczekanie. Niekiedy oddech zupełnie ustawał, a wówczas dziecko gwałtownymi ruchami wyciągało ręce do zrozpaczonej matki, lub szarpało na sobie stare ubranko. Można było myśleć, że już kona.

Kiedy doktor, a za nim felczer ukazali się w pokoju, kobieta krzyknęła z radości a starzec zerwał się, usiadł na łóżku i osłupiałym wzrokiem spoglądał na przybyłych.

— Ojciec... Boże miłosierny... Jaś będzie uratowany!... — mówiła kobieta.

Ale po chwili nowa opanowała ją trwoga:

— Proszę pana, czy koniecznie potrzebna jest operacja?... Bo...

— Leosiu — odezwał się starzec — przecież sama wiesz... sama żądałaś operacji. Widzisz, co się z nim dzieje!...

— W takim razie ja będę przy tem... Ja muszę być przy tem... Ja będę go trzymała! — zawołała z mocą.

— Za pozwoleniem — przerwał doktor, odzyskawszy właściwy mu spokój, który z taką niepokonaną siłą narzucał się chorym i ich otoczeniu. — Czy potrzebna będzie i jaka operacja, o tem dopiero dowiemy się. Tymczasem pani będzie łaskawa dostarczyć nam gorącego rumianku!...

— Nie mam wody gorącej, ani rumianku! — szepnęła kobieta.

— W takim razie uda się pani do stróża, i on tę sprawę ułatwi, a ja przez ten czas zbadam malca.

— Okropny stan!... Prawda, panie?...

— Dla matki — tak, dla lekarza — nie. Przypominam o gorącym rumianku!...

Kobieta wybiegła z pokoju a w tej chwili felczer otworzył wielkie pudło, które z sobą przyniósł, i zaczął z niego wydobywać narzędzia, opatrunki, a nawet butlę wody.

— Panie — rzekł doktor do starca — operacja jest konieczna, i zaraz ją zrobimy!...

— Nie zaczeka pan na córkę?...

— Nie sądzę, ażeby nam jej obecność pomogła.

Felczer rozpałił lampkę zaopatrzoną w reflektor i refraktor, rzucił na stolik koldrę, złożoną w kilkoro, na to poduszkę, a na nich ostrożnie położył ledwie dyszące dziecko. Widząc to, starzec upadł na swoją nędzną pościel i, szlochając, okręcił głowę paltotem.

Tymczasem jego córka zbiegła na dół do stróża, błagając nieśmiało, czy nie mógłby pożyczyć gorącego rumianku? — i ręką słowem, że, gdy jej synek wyzdrowieje, ona zaraz weźmie się do roboty i spłaci wszystkie długie, a najpierw to, co winna jemu, stróżowi.

Jakież jednak było jej zdziwienie, gdy stróż zdjął przed nią czapkę, poprosił, ażeby z łaski swojej usiadła, i oświadczył, że wszystko

zrobi dla niej bezinteresownie, ponieważ pan doktor powiedział, że ich długi w sklepiku i należność za mieszkanie już jutro będą zapłacone.

Mówiąc to, stróż rozdmuchał ogień w kuchence angielskiej i zagotował wodę pierwej, nim jego żona przyniosła z apteki rumianku.

Otrzymałszy gorący rumianek, biedna matka niosła go na górę. Lecz serce zamierało w niej na myśl, że teraz właśnie czeka ją najcięższa próba. Niby to już była zdecydowana na operację, ale w stanowczej chwili uczuła, że opuszcza ją odwaga!...

Co pocnie, jeżeli doktor powie, że operacja jest potrzebna?... Dziecko będą zarzynali w jej oczach... Boże liściowy!...

Stała na progu i przerażonym wzrokiem obróciła pokój. Felczer przy kominku mył ręce, doktor coś oglądał przy bardzo jasnej lampie, jej ojciec, siedząc na łóżku uśmiechał się bezmyślnie!...

A na drugim łóżku leżał Jaś. Zamiast czerwonej, miał twarz bledziutką i obandażowaną szyję, ale nie rzucał się, wyglądał spokojniej, a nadewszystko — nie dyszał tak strasznie, jak przed jej wyjściem.

— Już żadnej operacji nie będzie potrzeba — odezwał się doktor. — Niewielkie nacięcie zostało zrobione, i prawie mam pewność, że dziecko będzie zdrowe.

Kobieta słuchała odurzona, nie wierząc własnym uszom.

— Mój pomocnik — ciągnął doktor — zostanie tu na noc i on będzie robił opatrunki, nie zaś pani. A gdyby się zdarzyło coś ważnego, o czem wątpię, da mi znać. Jutro zaś pani z ojcem i z dzieckiem przeniesiecie się do lecznicy. Wszyscy potrzebujecie wygod i wypoczynku, jakich w tem mieszkaniu mieć nie można.

— My nie mamy na lecznicę!... — szepnęła kobieta z trwogą, na palcach zbliżając się do dziecka.

— Będziecie państwo mieli i — wszystko zapłacicie sami, z własnych zarobków, tak pani, jak i jej ojciec.

Powiedziawszy to, doktor włożył palto, wsunął czapkę na głowę i szybko wymknął się z pokoju. Ale na schodach ktoś zatrzymał go. Był to starzec. Ukłąkł przed lekarzem i, płacząc, ucałował mu rękę.

VI.

Czerski prawie wesoło wracał do domu. Nieleddie w ciągu godziny spotkało go kilka nadzwyczajnych zdarzeń, z których, o ile mu wolno sądzić, wyszedł, jeżeli nie zwycięsko, to przynajmniej nienagannie.

Jeżeli zadziwiający wypadek z miedziorytem był halucynacją, to jednak w żadnym razie doktorowi nie groziło obłąkanie. Nietylko bowiem ani na chwilę nie stracił świadomości, ani rozsądku, ale jeszcze wzniósł się na wyższy szczebel moralnego rozwoju, a to nie jest zapowiedzią obłąkania.

A jeżeli zniknięcie wizerunku Chrystusa było «znakiem», to i w tym razie nieby mu już grozić nie powinno. Wszakże spełnił rozkaz, czyniąc dobrze tym, którzy go pokrzywdzili!...

Mimo tak słusznym rozumowań, doktor w miarę, jak zbliżał się do swego mieszkania, doznawał rosnącego niepokoju.

A jeżeli postać Chrystusa zniknęła z miedziorytu, zniknęła naprawdę, zniknęła nieodwołalnie, to... co wówczas?... Ten straszny miedzioryt musi być ukryty przed żoną, która uważała go za jedną z najdroższych relikwii, musi być ukryty przed Kaziem, który codziennie rano i wieczór, odmawiał przed obrazem swoje krótkie paciorki. A w takim razie Chrystus zginąłby nietylko dla niego, lecz i dla tych, których najbardziej kochał!...

Doktor otworzył drzwi swego przedpokoju, oddał palto i czapkę służącemu i, zebrałszy całą odwagę, stanowczym krokiem wszedł do gabinetu. W tej chwili zdawało mu się, że idzie naprzeciw czegoś, co jest okropniejsze od samej śmierci, że gra niby w cetno i licho o — zbawienie albo o potępienie. Bo czyliż, pomimo wszelkich teorii i systemów filozoficznych, nie zasługiwałby na tytuł potę-

pieńca człowiek, z którego domu w tak niesłychany sposób usunął się Chrystus?...

Doktor zbliżył się do stołu, gorączkowym ruchem odrzucił papiery, okrywające miedzioryt, i spojrział...

Na skale, okrytej kwiatami, siedział Chrystus i patrzył na uczciwego niedowiarka mą-

dremi a smutnemi oczyma, w których tliły się tajemnice nieskończoności.

Więc On znowu jest tutaj, znowu patrzy, a więc nie wyrzeka się jego domu i nie przestanie zlewać rzewnych błogosławieństw na jego pracę, na jego dobrą żonę i na niewinną głowę dziecka...



"ALLELUJA"

Czy słyszysz dzwonów Archanielski ton,
Wesoły — gromki — potężny,
Jak chrzęst rycerzy orężny,
Co mknąc na wrogów bezlitośny skon,
Ogłasza światu, że koniec tej męki,
Co z piersi dziątek rwała głodu jęki.
Jęk ten się oparł aż o Boży tron,
I echem Sądu po nad wrogiem płynie:

„Polska nie zginie!”

Alleluja!

Czy słyszysz dzwonów napowietrzny gwar,
Wymowny — swojski i błogi,
Co wchodzi w polskie dziś progi —
Wieści przesłodkiej od Macierzy czar —
Że z grobu „Ona” żywa nam powstała
W ludowej szacie swych dziątek wspaniała,
I niesie Boży swego życia dar —
Bo zmartwychwstała dziś w cudu godzinie

„Polska nie zginie!”

Alleluja!

Śwedenburg, Pa., 4. kwietnia 1920.

Czy słyszysz dzwonów Wielkanocny śpiew,
Poważny — mocny — a żywy,
Jak grobu Chrystusa dziwy,
Dzwon wzywa Naród na wiosenny siew,
By Boża nad Polskę spełniła się wola,
I plonem przerniczone okryły się pola.
Zczeźnie na wieki krwawych bojów wiew,
I czarna dola w Lackiej ziemi minie —

„Polska nie zginie!”

Alleluja!

Czy słyszysz dzwonów tryumfalny chór,
Królewski — wielki — dostojny —
Chorał zwycięski tej wojny,
Którą powstrzymał piersi polskiej mur.
W proch starte zbiorów wszechpctężne trony —
W jedno złączone dziś Polskie zagony
Od wód Bałtyku do Karpackich gór,
Żyjemy! Polska w nas żyje! Nie zginie!

„Polska nie zginie!”

Alleluja!

Ks. Dr. Alfred Wróblewski.



Dr. CAETANO MUNHOZ DA ROCHA
Prezydent Stanu Paraná

Dr. CAETANO MUNHOZ DA ROCHA

dnia 25-go Lutego tego roku, objął rządy prezydenta stanu Parany, w obec dostojników państwa, wybitniejszych obywateli i przedstawicieli prasy naszego miasta.

P. Munhoz da Rocha, pochodzi z Antoniny — okazał wielkie administratorskie zdolności reformując Ministerjum Handlu, Rolnictwa i Robót Publicznych, na czele którego stał pewien czas: okazał też wielkie zasługi jako dzielny teoretyk jurysta w roli deputowanego do kongresu prawodawczego. Jednocześnie dał on przykład pracowitego i sprytnego przemysłowca, którego handlowa firma znana całej Paranie, jest namacalnym dowodem energii, wytrwałości i znajomości praktycznego życia — co jest niezbędnem dla każdego naczelnika kraju.

Mały Dobosz

W OSTATNIEJ potyczce pułk polski stracił dobosza.

Trzeba było się starać o nowego. Pewnego dnia stanęła w obozie kobieta w średnim wieku, w załobne ubrana suknie. Przyproceedziła za rękę 13 letniego chłopca, szczupłego i na wiek bardzo małego, prosząc o przyjęcie go na dobosza.

Stojący do kola wojacy wybuchnęli głośnym śmiechem, nawet i kapitan nie mógł ukryć uśmiechu pod wąsami.

Chłopiec zarumieniony, pochylił głowę, za chwilę jednak wzniósł ku kapitanowi błękitne, rozumne oczy, mówiąc:

— Może pan być spokojnym, panie kapitanie, umiem dobrze bić w bęben.

Kapitan uśmiechnął się dobroduszenie.

— Wachmistrzu każ przynieść bęben i sprwadź tu trębaczka.

Za chwilę w kole stanął trębacz.

Był to stary, brodaty żołnierz a tak wysoki że wszystkich obecnych przewyższał o głowę. Na widok nowego kolegi, który stał z bębniem, trzymając na pogotowiu paczki, zwołał szydęrczo.

— Co, ten smarkacz chce u nas zostać dooszem?

— Tak jest, i jeżeli pan umiesz tak trąbić, jak ja bębnić, to w krótko pułk będzie tak anczył, jak my zagramy, odparł butnie chłopiec, zarzucając sobie bęben szybko na ramiona.

Ujął paleczki w rece, wzniósł pełne zapachu czy ku niebu i począł bębnić z taką siłą i

werwą, że żołnierze głośno objawiali zadowolenie.

Wtedy trębacz wyprostował się jak długi i przyłożył do ust trąbkę. Zagrał najpiękniejszego marsza co umiał. Mały dobosz towarzyszył mu tak wybornie, że olbrzym wytrzeszczał oczy z podziwu.

— Dobrze więc przyjmuję malca — odzrzeki kapitan, zwracając się do matki. — Jakże mu na imię?

— Edward.

— A czy potrafił wraz z nami wytrzymać trudy wojenne?

Matka wybuchnęła płaczem. Położyła chudą rękę na jasną główkę chłopca i łkając, mówiła:

— Maż mój i dwóch synów już legło na polu bitwy... trzech walczy jeszcze... to szósty i ostatni! Nie mogę jednak utrzymać go w domu. Rwie się w pole i powtarza, że iść musi. — Tylko błagam cię, panie kapitanie, czuwać nad nim i powróć mi go zdrowego. Jestem teraz sama — zupełnie już sama.

Zaniosła się znowu płaczem rzewnym.

— Zrobię wszystko, co tylko będzie w mej mocy — odpowiedział kapitan — gdyby jednak miało go spotkać nieszczęście, to legnie za ojczyznę i świętą sprawę.

Kobieta oddaliła się tłumiąc łkanie i jęki bolesne, co jej piersi rwały. Chłopiec pozostał w obozie.

Wkrótce mały Edzik, jak go nazywano powszechnie w obozie, został ulubieńcem

wszystkich, najbardziej jednak przypadł do serca olbrzymowi trębaczowi.

Gdy droga była zła, gdy przechodzić trzeba było rzeki i strumienie, trębacz brał chłopca wraz z bębniem na ramiona, a podczas długich, forsownych marszów robili to wszyscy żołnierze na przemiany.

Mały dobosz śmiał się, szczebiotał, bił w bęben, a starym wojakom serca rosły na widok tego pełnego życia i zapału dzieciaka.

Słońce wschodziło już ze zlanego krwią pola bitwy, a bój wrzał ciągle jeszcze. Dopiero ciemność nocy zdołała rozdzielić obie zjadłe walczące strony.

Teraz na pobojowisku zamigotały tu i ówdzie błędne ogniki. To szukano z latarniami poległych towarzyszy broni. Co chwila wnoszono świeże nosze do namiotu gdzie lekarze przez całą noc zajęci byli amputowaniem rąk i nóg, zeszywaniem i opatrywaniem ran.

Pomiędzy tymi, którzy z latarniami błądzili po pobojowisku, znajdował się także olbrzymi trębacz.

W zgiełku bitwy stracił z oczu małego dobosza i teraz szuka go gorączkowo.

— Czyście nie widzieli małego Edzika? Nie wiecie gdzie jest mały Edzik? — zapytywał każdego napotkanego żołnierza głosem, w którym brzmiały łzy stłumione.

Od czasu do czasu zatrzymywał się, nad słuchując pilnie, czy nie usłyszy dobrze znanego odgłosu bębna.

Był pewny, że Edzik nie porzuci nigdy swego bębna i nie wypuści pałeczek z rąk, dopóki mu sił starczy.

— Co to? głos bębna?... A może to tylko słabe, spóźnione echo? Nie, słyhać znowu. Tak, to bęben, to bęben Edzika, krótkie, urywane uderzenia, widocznie wzywa ratunku.

Sąznistymi krokami trębacz puścił się w stronę, z której dochodził go słaby głos bębna. Coraz wyraźniej słyszał znane dźwięki. Wychodziły z wąwozu, gdzie wrzał bój najzjadlejszy.

Przeskakując gromady trupów końskich i ludzkich, potykając się o broń porzuconą na ziemi pędził wprost na głos bębna, który brzmiał co raz słabiej.

Nareszcie ujrzał go.

— Edzik! — zawołał radośnie.

Mały dobosz siedział, oparty o pień drzewa, trzymając bęben przed sobą, a w ręku pałeczki.

— Co się z tobą dzieje, chłopcze kochany? — pytał trębacz z niepokojem.

— Nic dobrego, mój stary. Będziesz mi znowu musiał nieść, jak to już nie raz miało. Ot, patrz, nogi moje licho wzięło.

Teraz dopiero trębacz spostrzegł, że karmatnia urwała chłopcu obie stopy. Półkolanami nogi miał ściśnięte skórczanymi sznurkami.

Olbrzym jęknął cicho. Uczuł w sercu okropny, w oczach łzy pałace.

— To ten pocziwiec opatrzył mnie przy śmierci — Rzekł Edzik, wskazując na lewej zwłoki moskala.

— Pocziwy żołnierz przed skonaniem wyrwał z siebie szelki i obwiązał nimi ręce i nogi, aby mi krew nie uszła. A ty przecież wiedział on, że jestem jego nieprzyjacielem.

Ostrożnie, powoli, jak najtroskliwsza matka chore dziecko, trębacz podniósł chłopca na swoje ramiona. Łzy strumieniem płynęły po jego policzkach i sumiastych wąsach starego jakiegoś.

Edzik to spostrzegł.

— Ty płaczesz, stary? — Wstydz się dzisiaj, że ja nie płaczę. Mnie nic nie szkodzi tylko... spać mi się chce bardzo... głowa ciężka... Ale nie zapomnij o bębnie, nie przecież wrócić bez bębna do obozu.

Trębacz ułożył chłopca ostrożnie na swoje ramiona i przywiązał mocno bęben w potęgę potem posadził nań Edzika, który ciężko oparł na ramieniu olbrzyma.

— Jakiś ty dobry, mój stary — mój malec, jak senny — Bóg da że jeszcze dziemy tak razem do boju... Zagramy

tego marsza... pamiętasz go... «marsza na szanę».

Począł cicho, słabym głosem nucić melodię, próbując palcami wybić takt na skórze bębna.

Trębacz obejmując ramionami chłopca, szedł w stronę obozu, powstrzymując się ze wszystkich sił aby nie wybuchnął głośnym płaczem, lub klątwą i bluźnierstwem.

Chłopiec zdawał się zasypiać. Oddychał coraz słabiej i wolniej. Po chwili odezwał się głosem.

— Stary, a pamiętaj pozdrów odemnie matkę i braci, jeżeli ich kiedy zobaczysz,

może ja już pójde do ojca i tamtych najstarszych. Czy jutro będzie znowu bitwa... Słyszysz... to... marsz... «na szanę».

Ostatnie słowa zamarły mu na wargach, głowa opadła ciężko na ramię trębacza. Zasnął.

Olbrzym ostrożnie z drogim ciężarem, krocząc przez trupy, pnie i kamienie, dążąc ku dalekiemu obozowi.

Gdy stanął nareszcie w obozie, mały dobosz spał już snem wiecznym.

Siedział martwy na bębnie, w lewej ręce zaciśniętej konwulsyjnie, trzymał jeszcze pałeczki.

Niemiecka pieśń nienawiści.

Boże! Pomóż niemieckiej, a tak słusznej sprawie,

nie dozwól mężom naszym być Polaki sługami,

czym zmiażdżyć ich potęgę dozwól nam łaskawie,

krwią i ogniem daj pomścić się nad Polakami!

syłaj klęski, choroby, dzumę na ich ziemię,

a ich drzewach zatrute niech porosną owoce,

by raz to djabelskie i plugawe plemię ochłonąć mogło piekło i szatańskie moce!

ośli Śląsk ma być polskim, niech tam raczej, Boże,

nieci w żywotach matek zdechną jak szczenięta!

niech Polaków, niech kalectwo zmoże, głowog, ręce Polaków, niech wykręcaj im członki, na siły włóż pęta.

niech stracą słuch i rozum, mężczyzna i niewiasta!

niech radość, ale skarga i jęków skowity. niech przepełniają polskie siola i miasta!

Waw — Boże, aby Niemiec swej zemsty był syty!

potem, o Wszechmocny, poslij gromów bicie,

by chaty i kopalnie, w straszliwej pożodze zamieniły się w zgliszcza, a lud całkowicie z kobietami i dziećmi spłonął, zmarniał w trwodzie!

Dozwól posiew ich zdeptać naszymi stopami, dozwól wielkich i małych mordować z rozkoszą,

niech się pozna nasz sztylet z Polaków ciałami,

niechaj nad ich krajem pożar i dym wznoszą!

Znamy tego, co mści się: i Boga i Pana!

On musi ślady Polski wyniszczyć na świecie! Przekleństwo Jego na Was, wy dzieci szatana,

za to, że kraj niemiecki zagrabić nam chcecie! Serce niemieckie twarde, do wzruszenia nie skore,

nie pokój między nami—nienawiść zostanie! A gdy walka śmiertelna przyjdzie dla nas

w porę,

to konając zawołam: Polskę zniwecz, Panie!

Z niemieckiego przetłómaczył

Henryk Mitelsztes

z Luszczawa pod Skulskiem.

obronny — i zamieszkała tu z ojcowską družyną.

A Przegina na równi, wśród sadów, dwór postawiła niski a rozłożysty — chaty białe słomą poszyte wyciągnęła wzdłuż drogi i sióło od imienia swego Przeginią nazwała. Zbiegli się do niej kmiecie ojcowscy i niewolni-poddani, a we wsi i we dworze wrzało, jak w ulu, od pracy. Dobytek rósł w lamusach i śpichlerzach, w stodołach i komorach, wdzięczna ziemia karmiła miodem, a chlebem, jak matka rodzona. Siostry rade z podziału, nie chciały nie wiedzieć o sobie, — przechwalały się tylko jedna nad drugą: ta wojenną zdobyczą — ta pełnym zboża śpichlerzem, pełną płótna i sukna komorą. I dziwiły się tylko, że ojciec tak mądry i przezorny, nie przewidział ich sporu, nie podzielił za życia jeszcze dziedzictwa.

Ale nim upłynął rok i drugi, nim się kaliny i brzoźki rozrosły nad ojcowską mogiłą, przestały się przechwalać siostrzyce. Cóż było Tenczynie po skarbach, zdobyczach, po złocie, jedwabiach, po żubrzych pieczeniach i losich chrapach, gdy za chlebem, za kromką czarnego chleba tęsknili rycerze?

Cóż było Przeginie po śpichlerzach, złotej pszenicy pełnych, po beczkach miodu i piwa, po płótnach cienkich i sukna, jak jedwab miękkich, gdy wróg palił jej sióła graniczne, gdy wiernych jej kmieci w łyka spętanych, gwał w niewolę, gdy jej białemu dworowi co dzień, co noc zagrażał?

Nie na przechwałki czas był, nie na swary. Siadła Tenczyna na koń. Przegina cztery siwki zaprządź kazała — jadą, o sobie nie wiedząc, po radę do Krakowa.

A w Krakowie rządził wtedy król nad króle i rycerz dzielny i gospodarz kraju doświadczony, Kazimierz, co go Wielkim nazywano.

Na Wawelu, na zamkowym dziedzińcu, pod lipą zasiadł — skarg słucha, jak drugi Salomon, rozsądza.

Stały przed nim obie siostrzyce: dorodne, urodziwe, aż się królewskie lico roze-

śmiało. Ale zasepił się król mądry, gdy w oczy im spojrział: troska tam tkwiła na dnie i zawisłe jadowita.

— Ojciec wasz nie sługą mi był, lecz przyjacielem. Czegokolwiek żądacie, będzie wam dano.

— Po radę my tu tylko, mądrą a sprawiedliwą, — odrzekła Tenczyna głosem, jak u chłopca potężnym.

— Po radę mądrą a sprawiedliwą — powtórzyła Przegina, podejmując króla pod nogi.

— Mówcie, mówcie! Nikomu jej nie odmawiam — odparł król łaskawie.

— Z ojcowskiej spuścizny wzięłam bory, pagóry skaliste, gród wystawiłam kamienny, który solą w oku jest wrogom. Mam dostatek złota, klejnotów, zwierz dzięki pożywieniu nam daje — ale rycerzom moim, brak chleba!

— Z ojcowskiej spuścizny wzięłam łąki i łany. Lud pracowity za mną poszedł, sióła moje żyzne, uprawne jak ogrody, łąki bujne, wody rybne, wszystkiego dostatek — ale wróg niszczy dobytek, pali chaty, ludzi mi uprowadza.

Zamyślił się król głęboko, długą brodę gładzi, na dziewoje pogląda — wkońcu wyrok wydaje:

— Jeśli ma być szczęście na tej ziemi i wolność po wieki wieków, niech rycerze tenczyńscy przegińskie sióła od wrogów bronią, niech kmiecie przegińscy ehleba powszedniego sto bochnów co tydzień, beczkę miodu, beczkę piwa na zamek tenczyński odwożą.

Minęły wieki. Przegińskie sióło zamożne, dostatnie, łany w niem żyzne, sady urodzajne, lud urodziwy. Lecz gdzie tenczyńscy rycerze?... Gdzie wawelscy gospodarze, co pod lipą skarg ludu słuchali?... Po rozwalonych wieżycach sowy się gnieźdzą i nietoperze, — wiatr prześwistuje pustemi oknami za tem, co było za gospodarzami, których na Wawelu zabrakło.

Tylko o świecie, gdy nad Krakowem zorza jej przeniknie? Mnie się zdaje, że ten wicher proch piastowskich rycerzy po chatach wieśniaczych roznosi, że z prochów tych ktoś powstanie, ktoś się narodzi — może obrońcy — może losów mściciele.

WIEŚ POLSKA

Taką mi wioskę wymaluj w dolinie, od zbóż weśolą, a od jodeł smutną, niechaj się cała chowa w jarzębinie, niech na jej łąkach siwe leży płótno,

niech przez staw ciche rzucają się tęcze, rozbite skrzelką, co tryska z wód głębi, niech nad nią chmurka trzpioce się gołębi i puchy kwietne i nitki pajęczne...

I w takiej skiby głębokie puść rolę i daj po brózdach te maczki jaskrawe i w sznur wyciągnij nad drogą topole i mgłę rzuć srebrną na łąki, na trawę...

I niech tak idą rozgłośno po łanie dzwonki jałowic i z biczów klaskanie, niechaj tak wierzby dumają u strugi, cień przedzachodni rzucając i długi...

I taką cichą błękitność daj wkoło, i pełne gwarów powietrze zrób ptaszych i taki tuman na gór połóż czoło, a tylko ludzi zrób — naszych!

Marya Konopnicka.

ROZMAITOŚCI

Tyfus. W Rudawie koło Krakowa szerzy się od połowy maja tyfus brzuszny, przywleczony przez powrotnych robotników sezonowych z zagranicznych stacji kontrolnych. Ofiarą padają przeważnie ludzie młodzi. Dotychczas zdarzyło się przeszło 20 wypadków śmierci, w ostatnich dniach epidemii uległo 90 osób.

Niemcy opuszczają Wołyń. Na Wołyniu, Głównie koło Żytomierza mieszka 120 tys. kolonistów niemieckich w 800 osadach. Należy do nich najmniej 200 tysięcy dziecięcin ziemi. W ostatnich czasach daje się odczuwać wśród kolonistów silny ruch emigracyjny. Niedawno temu wyjechało z Wołynia 3 tysiące rodzin niemieckich. Wię-

szosć wyjeżdża do Niemiec, gdzie pruska komisja kolonizacyjna osadza ich na wywłaszczonych i wykupionych z rąk polskich majątkach. Także Żydzi wołyńscy uciekają do Ameryki. W roku ubiegłym wyemigrowało z Wołynia 1821 Żydów.

Szkoła polska w Charbinie. Wł. Ostrowski nadamurskim w Charbinie na Syberyi dokonał ks. Wł. Ostrowski poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę szkoły polskiej przy kościele katolic. Charakterystycznym jest, że na uroczystości był imieniem rządu generał Afanasiew, który wygłosił przemówienie. Nowy budynek mieć będzie wielką salę na odczyty i przedstawienia. A gdy w Charbinie rząd rosyjski patronuje uroczystości polskiej,

to w Częstochowie równocześnie zamyka gimnazjum prywatne polskie.

Nadanie obywatelstwa imigrantom w Szwajcaryi. W małej tej rzeczypospolitej żyje pół miliona cudzoziemców, z czego 150 tysięcy takich, którzy w Szwajcaryi się urodzili z ojców przybyszów. Dotychczas uzyskanie obywatelstwa szwajcarskiego było połączone ze znacznym wydatkiem od 500 do 1000 franków. Rząd związkowy przedłoży parlamentowi podczas obrad jesiennych projekt ustawy, według której wszyscy cudzoziemcy, urodzeni już w Szwajcaryi, otrzymaliby obywatelstwo szwajcarskie nawet bez osobnych zabiegów, skoro tylko dojdą do pełnoletności. Jeżeli projekt uchwałą parlamentu zostanie zamieniony w ustawę, to corocznie od 3 do 4 tysięcy ludzi otrzymywać będzie papiery obywatelstwa.

Objazd po Ameryce. Prof. Al. Janowski, wiceprezes Polsk. Towarz. Krajoznawczego w Warszawie bawił w połowie czerwca w Chicago, gdzie wygłosił parę wykładów o ziemi polskiej. Odczytom przysłuchiwało się razem 5 tysięcy osób, w większości kobiet. «Dziennik Związkowy», pisząc z zachwytem o wykładach prof. Janowskiego, ilustrowanych obrazami świetlnymi, woła: «T takich gości z Ojczyzny i takich wykładów potrzeba nam więcej, aby posiane ziarno nie zwiędło na amerykańskiej opłdce».

Ucieczka z Odesy. Jedną z gazet odeskich podaje ciekawe szczegóły o ucieczce z Odesy przed zajęciem tego miasta przez bolszewików. Za miejsce na okręcie odpływającym z portu odeskiego placono co najmniej pół miliona rubli. Trzej milionerzy odescy Kryczman, Trojanowski i Weinberg zapłacili za drobną kajutę 2 miliony rubli. Komenda jednego z takich okrętów ratunkowych chwaliła się po przybyciu do Konstantynopola, że utrzymała od pasażerów przeszło sto milionów rubli. Wielu jednak zapłaciło olbrzymie sumy, a pomimo to pozostało na wybrzeżu, bo już nie mogło być mowy o przyjęciu na pokład wobec straszego przepelnienia.

Idealne rządy. Luigi Barzini, znakomity dziennikarz włoski, opowiada o Hawannie co następuje:

Przybyłem do Hawanny w końcu listopada. Wyszedłem oglądać miasto.

— Kto założył wam te prześliczne plantacye? — pytam jednego z mieszkańców:

— Tacon — odpowiada mi.

— A ten park centralny, taki piękny?

— Tacon.

— A któż wyciął tę aleję?

— Tacon.

— A kto wznosił ten gmach okazały?

— Tacon.

Na każdym kroku słyszy się odpowiedź: Este es obra de Tacon.

— Któż był ten Tacon?

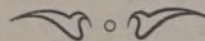
— Jakto, pan nie wie, kto był Tacon, ten genialny człowiek, to błogosławieństwo boże dla naszego kraju? Słuchaj pan tedy:

Tacon był najlepszym gubernatorem hiszpańskim na Kubie, najlepszym, najzaciejśszym, najszlachetniejszym ze wszystkich jacy byli, poczynając od Diego di Velasquez, który był pierwszym, a kończąc na Juan di Castellanos, który był ostatnim. Około roku 1830 panowały na Kubie fatalne stosunki. Bandytyzm, grabieże, rabunki, morderstwa były na porządku dziennym, nie mówiąc już o kradzieżach, które stały się chlebem codziennym. Hawanna żyła pod ciągłym terroryzmem rzezi-mieszków. Po zachodzie słońca nikt nie wychodził na ulicę; gdyż kto się poważył, wnet został obdarty a często i zabity. Kto więc zachorował w nocy, nie mógł mieć pomocy lekarskiej, bo żaden lekarz nie wychodził z domu. Kiedy najwybitniejsi obywatele udali się do gubernatora, który się nazywał Vivas, i przedstawili mu ten smutny stan miasta, biurokrata ten odpowiedział im tak jak ten znakomity dyrektor kolei ze słynnej komedii na skargi że na drodze żelaznej zdarzają się tak często wypadki: na cóż panowie jeździec-przebiegają — pocóż panowie wychodzą w nocy z domu? ja nigdy w nocy nie wychodzę. I ten Vivas panował do 1834.

W tym roku zajął Tacon fotel gubernatorski. Stan miasta i całego kraju był tak oplakany, że już opisać się nie da. Handel ustał zupełnie. Warsztaty pozamykane. Nędza była ogólna. Powodziło się tylko rzezimieszkom. Przybył Tacon i zarządził zaraz energiczną rewizję nor złodziejskich. Pierwszej nocy udało się złowić dziesięciu znanych policyi morderców i bandytów, którzy już stawali bez liku razy przed sądami i zasądzani byli, ale zawsze przed prawomocnością wyroku potrafili uciec z więzienia. Tacon kazał ich ściąć natychmiast i głowy ich umieszczone w duże klatki, ustawić wzdłuż głównej ulicy, wiodącej do portu.

Nazajutrz kazał aresztować wszystkich włóczęgów, wszystkich, nie mających stałego zawodu, jakoteż wszystkich zasądzonych już uprzednio po kilka razy za złodziejstwo. Nadto wydał rozporządzenia, że zarząd gminy winien zwrócić okradzionemu stratę, jaką wskutek włamania się złodziei poniósł. Naturalnie, było to ostrogą dla policyi miejskiej i w ciągu trzech dni wszyscy włamywacze znaleźli się pod kluczem. Do tygodnia więzienia w Hawannie liczyły dwa tysiące wyrzutków społecznych. Tacon kazał ich wszystkich zakuć w kajdany na nogi, ogolić głowy ich, brody i wąsy i zaprzędz do robót.

Było to oczywiście sprzeczne z humanitarnymi ustawami, wymyślonymi w tym tylko celu, aby się zbrodnie krzewiły. Tacon powinien był wytoczyć tym dwom tysiącom rzezimieszków dwa tysiące procesów z urzędu, następnie przeprowadzić dwa tysiące eksper-tyz lekarskich co do ich poczytalności, wreszcie wysłuchać i zbadać dwa tysiące rekursów, zanim po jakich dwóch lub trzech latach zapadłyby prawomocne wyroki, skazujące ich na bardzo krótkie siedzenie w wygodnych gmachach państwowych więzień, bardzo krótkie więzienie, bo teraz stało się modą-odrachowywać z kary czas więzienia śledczego. Ale Tacon był geniuszem, który powiedział sobie, że świat nie jest dla łotrów, tylko dla ludzi uczciwych i pracowitych. Kraj odetchnął. zaczęły się otwierać sklepy i warsztaty, ludzie poczęli się zajmować interesami, obudziło się życie, zakwitł przemysł, a wkrótce i dobrobyt. Tymczasem dwa tysiące łotrów wykonywało rozmaite roboty użyteczności publicznej, zakładało parki, wysuszało błota, wycinało aleje i ulice i nadawało miastu ten piękny wygląd, jaki ma ono teraz. Nadto zbudowało ten śliczny i wygodny port z ogromnym molem, który jest teraz chlubą Hawanny.



Polskie Klejnoty Koronne.

W średnich wiekach miały korony i klejnoty koronne bardzo wielkie znaczenie, gdyż dopiero wtedy król obejmował w całej pełni władzę monarszą, kiedy głowę uwieńczył koroną. Tak było w Polsce, w Czechach i Węgrzech, a nawet Węgrzy dołożyli wszelkich starań, aby cesarz Franciszek Józef ukoronował się starożytną koroną węgierską i dopiero odtąd uważali go za prawowitego króla Węgier. Do tego samego celu zmierzali przed

wojną Czesi. I po dziś dzień klejnoty koronne u każdego narodu, jako godła niepodległości i jedności, jako pamiątki historyczne, strojne świetnymi wspomnieniami dalekiej przeszłości, wywołują cześć głęboką, mimo, że wiele nowoczesnych państw, powstałych na gruzach dawniejszych monarchii, przyoblekły się w szaty republikańskie.

W tym względzie Węgrzy, a raczej Madziarzy, cześć tę posuwali do przesady. Pola-

cy podobno najmniej się o swoje klejnoty koronne troszczyli, czego wymownym dowodem np., że w 1699 roku i poprzednio dano je w zastaw za 300.000 talarów elektorowi brandenburskiemu, a później tak mało się tą sprawą zajmowano, że gdyby nie gorliwe starania Józefa Łepkowskiego, w Krakowie, bodaj czybyśmy znali choć z rysunku koronę Bolesławowską, która wieńczyła głowy królów naszych.

Korona polska ni stąd, ni zowąd przepała i dotąd niema ostatecznego wyniku, kto ją zgubił i co się z nią stało?

Właściwie już dla Mieczysława I. papież Sylwester kazał zrobić koronę, ale zamiast Mieczysława, dostał ją św. Szczepan, król węgierski. Korona ta, licząca już przeszło ośm wieków, jest świętą relikwią dla Węgrów.

Nie wiadomo, czy Bolesław Wielki kazał sam zrobić sobie koronę, czy też odebrał ją od cesarza niemieckiego. Prawdopodobnie kazał ją sam wykonać. Korona ta w stylu romańskim jest z czystego złota, składająca się z 10 łuków czyli części, ozdobiona 474 rubinami, szmaragdami i perłami.

Po Bolesławie Wielkim, Mieczysław II., był koronowany. Po jego zgonie uwiozła Ryksa koronę polską do Niemiec, skąd ją Kazimierz Odnowiciel przywiózł.

Po Bolesławie Śmiałym spoczywała aż do roku 1295 w Gnieźnie, wtedy dopiero Przemysław uwieńczył nią swoje czoło. W roku 1300 spoczęła na skroniach Wacława, króla polskiego i czeskiego. Była to ostatnia koronacja w Gnieźnie. Roku 1318 koronował się tą koroną w Krakowie Władysław Łokietek, a 1333 roku Kazimierz Wielki.

Siedm razy była bolesławowska korona wkładaną na czoła Jagiellonów, a wtedy takim zajaśniała blaskiem, że liczne ludy do niej się garnęły. Zaćmiła się jej krasa po wygaśnięciu Jagiellonów. Ostatni raz włożono tę starożytną koronę na trefione loki Stanisława Poniatowskiego w Warszawie. Ponieważ była za wielką na głowę ostatniego króla, przeto

ją ścieśniono. Był to zły znak, gdyż i kraj ścieśniać zaczęto, aż kraj i korona przepadły.

Zgrozą okryta wróciła nasza korona do Krakowa, gdzie spoczęła aż do roku 1794. Dziwna rzecz, że nie pomyślał o jej bezpieczeństwie Kościuszko. Prusacy, zajmawszy Kraków, wzięli się zaraz do grabienia skarbu koronnego.

Tak więc koronę polską zabrali Prusacy. Jedno atoli jest do rozważenia; czemu Prusacy przemilczeli o nabyciu takiej cennej pamiątki? Przecież korona podbitego narodu jest najwyższą wojenną zdobyczą. Może uczynili to z obawy, aby nie oddać Austryakom, może też jaka podrzędna pruska figura przywłaszczyła sobie zagrabioną koronę. Podobno rząd rosyjski, po utworzeniu Królestwa Kongresowego dopominał się u rządu pruskiego o tę koronę, atoli rząd pruski oświadczył, że jej niema.

Są tacy, którzy twierdzą, że kiedy Prusacy opieczętowali bramę skarbcza, wtedy w nocy ks. Sierakowski, malarz Stachowicz i jakiś malarz zrobili w murze dziurę do skarbcza i zabrali koronę, która dotąd pozostaje gdzieś w ukryciu. Zdaje się to być nieprawdopodobnem, atoli jest możliwem.

Aczkolwiek Poniatowski zhańbił koronę polską, przecież jemu zawdzięczamy, że posiadamy jej wyobrażenie choć w rysunku, gdyż jego nadworny malarz Bacciarelli wykonał rysunek tej korony wielkości naturalnej. Za staraniem Łepkowskiego wykonano podług tego wzoru chrobrowską koronę w kamieniu, aby ozdobić sarkofag króla Michała Wiśniowieckiego.

Z innych polskich zabytków koronacyjnych jest włócznia św. Maurycego, ofiarowana Bolesławowi Wielkiemu przez Ottona III., cesarza niemieckiego. Dziwna to rzecz; przepadły korony, berła, szczyrbie i bardzo drogie klejnoty, a ta włócznia ocalała i znajduje się dotąd w skarbcu katedralnym w Krakowie, zapewne dla tego, że składa się tylko z drzewa i żelaza. Szacowana to zaiste pamiątka:

widomy znak władzy nad większą częścią zachodniej Słowiańszczyzny.

Dzierzył tę włócznię niegdyś nasz wielki Bolesław — jedyny to podobno po nim widomy i prawdziwy zabytek.

Nie tak się stało z szczyrbcem, nazwanym od wyszczerbienia o bramy Kijowa. Pobożne podanie głosiło, że sam anioł z nieba przyniósł miecz ten Bolesławowi Wielkiemu. Zapewne w związku ze szczyrbcem pozostaje podanie ludowe głoszące, że w ziemi polskiej, znajduje się siedm gór, a w jednej z nich przechowany miecz cudowny. Kto ten miecz znajdzie, t. j. wskrzesi dawne męstwo przodków, a szczególnie dzielność i roztropność Chrobrego, ten zbawi Polskę. I rzeczywiście — Legiony Piłsudskiego, Muśnickiego, polskie Legiony we Francji były się jak lwy i cudów bohaterstwa dokonywały. Ze słynnego n. p. kilkotysięcznego legionu Bajońskiego pozostało tylko kilku żołnierzy! Generał Pershing za przykład Polaków stawiał; tak samo czynił wódz aliantów gen. Foch.

Skarbiec koronny był niegdyś bardzo bogaty, owszem, najbogatszy w Europie. Cesarz Otton prócz włóczni, gwoźdźca z krzyża Chrystusowego, darował Bolesławowi Wielkiemu złote krzesło tronowe Karola Wielkiego. Ten zabytek zaginął najprzód, może uwiózł go Brzetysław, książę czeski, gdy 1039 roku złupił Gniezno.

Oprócz Korony Bolesławowskiej posiadał skarbiec polski jeszcze kilka innych koron, z tych jedna była używana do koronacji królowych, druga była zwana węgierską, inną pogrzebowa i t. d. Był też w skarbcu polskim dyament, ważący 95 karatów, oceniony na 500.000 dukatów. Kiedy zginął? — Kto go zabrał? — Nie wiadomo. Za czasów Jagiellonów mieścił się skarbiec koronny w trzech piwnicach dolnych zamku na Wawelu. Nuncyusz Ruggiery nie mógł się wydziwić bogactwom w złocie i dyamentach, a pewien Francuz pisze, że nad Jagielloński nie było bogatszego skarbcza w całej Europie. Z tych skarbców okruchy ledwo pozostały. Są to jakby

nieliczne cegielki i złomki marmurów, wyniesione na pamiątkę z gruzów wspaniałej niegdyś świątyni.

W końcu wypada nadmienić coś o herbach Polskich: — Kiedy zaczęli Polacy używać za godło białego orła na czerwonym polu? Trudno dziś na to odpowiedzieć. Zdaje się, że ten zwyczaj przyszedł do Polski z Czech lub Moraw, gdyż Czesi pierwotnie orła za godło używali, a dopiero później lwa za herb narodowy przyjęli i dotąd go używają, zaś Morawy zatrzymały szachowaną orlicę po dziś dzień.

O ile wiadomo, pierwszy orzeł Piastowski zjawił się na pieczęci króla Przemysława. Przedstawiano go zwykle bez berła i jabłka ze złotą na skrzydłach przepaską i w złotej koronie. Po przyłączeniu Litwy do Polski połączyły się w jedno herby polski i litewski. Pogoń litewska wyobraża zbrojnego jeźdźca w hełmie, z mieczem w prawej ręce do cięcia podniesionym, w lewej zaś z tarczą, na której znajduje się dwa złote krzyże: — pod nim koń biały rozpędzony z czerwonym czaprakiem. Pogoń oznaczała pierwotnie osobę panującego księcia litewskiego.

Po unii lubelskiej używali polscy królowie następującego godła: tarcza herbowa dzieliła się na cztery pola, na których dwa razy był orzeł, a dwa razy pogoń, zaś w środku była mała tarcza, a na niej prywatny herb panującego króla, a w środku herb Wazów.

Dzisiejsza wolna republika polska ma za godło Orła Białego, lecz już bez korony, która była dawniej symbolem władzy królewskiej.

ZŁOTE ZIARNKA.

Człowiekiem dobrym jest ten, który pomaga komu jak tylko może, a nikomu nie szkodzi, a krzywdę swą chętnie przebacza.



Nie z kory, lecz z owocu drzewko się poznaje, nie suknią, lecz użytek wartość człeku daje.

NA GODY.

Pokiwali matuś głową,
 Popłakali mało wiele,
 Dali czapkę barankową,
 Tatusiową kamizelę...
 Dali łapcie z łyka szyte,
 Za pazuchę kromkę chleba

— Idźże, Jaśku w świat szeroki,
 Na wschód słońka, na wschód nieba...
 Jeszczebym ci w chacie rada,
 Zbierzesz chróstu, dźwigniesz wody,
 A no kiedyż ci do ludzi,
 Jak nie teraz, nie na gody?...
 A godź-że się w dobrą chwilę,
 W dobrą chwilę i godzinę,
 Po wszelakiej należności,
 Choć za zgrzebną koszulinę...
 A zgódź-że się u bogacza,
 W dobre słowo, w dobrą wiarę,
 Jak przesłuchasz co się patrzy,
 Da ci może buty stare...
 A nie wracaj do chałupy,
 Aż wyrośniesz mi z pastucha.

Aż wysłuchasz na grzbiecinę,
 Siaki taki szmat kozucha...
 A i długoż mi, matusiu,
 Na te buty służyć w świecie?
 — Aż cię, synku, bieda zgryzie,
 Aż cię praca w dół przygniecie.
 A i długoż mi, mateńko,
 Na ten kozuch służyć trzeba?
 Aż cię Pan Bóg dojrzy, synku,
 Z wysokiego swego nieba —

Idzie Jasiek po ścieżynie
 Co się spojrzy, to ją minie,
 Co się spojrzy, to się smuci
 Albo pójdzie, albo wróci...
 Stara wierzba, jakby żywa,
 Gałęziami za nim kiwa
 Czegoś skrzypi, czegoś biada
 Dziw do niego nie zagada...
 Oj! nie użył Jasiek w chacie,
 Ani wczasu, ni swobody...
 — Ano — kiedyż mu do ludzi,
 Jak nie teraz, nie na gody?...

Marja Konopnicka.

PRZYPowieść

Był w Polsce król, nazywał się Kazimierz, a że od Jagiełły pochodził, Jagiełłończyka przydomek nosił.

Siedział-ci ten Jagiełłończyk na zamku krakowskim, na Wawelu, o szczęściu królestwa swego zamyślał, a że i synów sporo miał, to wychowania ich pilnował, iżby się do zacnych zaprawiali rządów, a w miłości ku swemu narodowi ćwiczyli.

Nauczyciela im dobrego dał, Długosza,

z nim też nad uczonei przesiadywali księgami albo nad Wisłę, nad polską rzekę naszą chodząc, czas na pięknych a mądrych rozmowach trawili.

Wszyscy też wyszli na ludzi: jeden z nich koroną czeską i węgierską skroń swą przyozdobił, trzej niezgasłą sławę Jagiełlonów na ojczystym gruntowali tronie, piąty kardynałem w Gnieźnie, na stolicy Wojciechowej, siedział; ostatni je-

no, najmłodszy Kazimierz, jako i ojciec, z imienia zaszczytem wszelkim pogardził, nie za królewicza, a za prostaka się miał.

Od pierwszych też lat, kiedy w towarzystwie braci swoich, pod opieką wychowawcy, ulice Krakowa z ciekawości zwiedzał, najchętniej do ubożnych żaków się przyłączał i wielce się dziwując, że z glinianymi garnuszkami w ręku o krzyżną ciepłą strawę dopraszać się muszą, sam po przyjacielsku, jak równy z równymi, do drzwi mieszczan krakowskich kołatał albo z sobą na zamek ich ciągnął i ku rozradowaniu matczynego serca, czem mógł ugaszczwał.

Miłosierny był nie tylko dla szolarzy, lecz i dla wszystkiego, co żyje, a najwięcej dla ptaków, bo słuchać ich gwaru lubił. W wieczory majowe okna komnatki swej otwierał, ku lasom nadwiślańskim, światłem księżycy oblanym, spoglądał, śpiewy słowicze w młodocianą duszę chłonał i tak się nimi przejmował, że nieraz i wiersz sobie ułożył pod ich wrażeniem.

Żał mu się też robiło na sercu kiedy nad Wisłą niesfornych spotykał urwiszów strącających gniazda wronie z drzew albo kamieniami rozganiających stada wróbli, które się na żer z wesołym zlatywały świergotem.

A już żadną miarą nie mógł pojąć, dlaczego człowiek drobny, pierzaste stworzonka więzi po klatkach, zamiast zostawić je na swobodzie, iżby zrywając się o światło z popod miedzy, jak skowronki, wielbiły wschód słońca, umilały w polu pracę oraczowi, iżby siewcy plon wróżyły bogaty.

Jednego razu na podwiesi tak mu się przydarzyło, iż wracającemu z braćmi z przechadzki zaszedł drogę chłopczynek który za pazuchą coś starannie ukrywał. Ani on, ani jego bracia nie byliby na to zwrócili uwagi, gdyby nie pisk, który dobywał się z pod kubraczka żakowskiego, pisk żałośliwy a smutny.

Przystanęli i zatrzymali chłopca, pytając się, coby takiego niósł. »Widno«, powiada królewicz, »dopuszciliście się grzechu, boś się cały zapłonił«. A on odrzeczł, że nie, tylko na sidła ptak mu się złapał przedziwny, jakich dotąd w tych stronach nie widywał i że go na Stradomiu albo

i gdzie tam na Kleparzu dobrze sprzeda do klatki.

Kazimierz ulitował się w tej chwili, żakowi łów odebrał, po zapłatę do zamku przyjść kazał, ptaka osobliwego, przysiadującego mu na ręce, po szyjce i grzbiecie głaskać począł, i przekomarzając się mówi:

— Do klatki cię, kochany ptaszku, zamknę, jeżeli mi zaraz powiesz, jak się nazywasz.

A owo stworzonko w ciemno zielonym płaszczyku podgardle do góry wyciągnie, dzióbek krótszy od główki otworzy i piśnie:

— Czaj — ka! Puść — mnie!

Królewicz puścił ją, czajka z krzykiem radosnym: Dzie — ki! ku łąkom nadrzeźnym poleciała i w dalekich zniknęła przestworzach.

Tej nocy mały Kazimierz taki miał sen: Zdawało mu się, że nie jako królewicz, ale jak pastuszek chodzi sobie w samotnika po lasach i polach, po bagnach i rozległych, trawą i sitowiem zarosłych pastwiskach, myśląc nad tem, co w świecie jest najlepszego i dla szczęśliwości ludzkiej najpotrzebniejszego. Naraz słyszy z rozmaitych stron wołanie: Do — broć! Staje, rozgląda się, aż tu zlatują się takie same ptaki, jak ten, którego oswobodził z rąk chłopca, a jeden z nich, przyfrunawszy i siadłszy mu na ramieniu, powiada:

— Braciszkanie moi i braciszki wysła-li mnie, aby się przekonać, czy w kraju tym znajdziemy wypoczynek i gościnę. Dobryś jest, o królewiczu Kazimierzu! Uratowałeś mnie od kaźni albo i od śmierci; widzimy ja i moja gromada, że nic złego nas tu nie spotka, bo w tobie mamy opiekę.

A na to Kazimierz:

— Rad was oglądać będę do końca żywota; niczego też nie pragnę, a jeno tego, aby i moje odejście ze świata było dla was oznaką, że z cieplic bez szkody powracać tutaj możecie.

I tak się też stało. Po krótkim, ale świątobliwym, niezmierną dobrocią nacechowanym życiu umarł królewicz na podwiesi, kiedy od brzegów jezior, rzek i stawów, odrywają się ostatnie krawędzie lodu, kiedy z pośród żółkłych kęp za-

czyna wyrastać wiosenna zieleń, a pracownicy ludzie wyjeżdżają w pole, aby pod świeży zasiew ojczystą przeorać glebę.

Naród do dziś dnia czci pamiątkę tego skonu i to w dniu, w którym z we-

sołym krzykiem: Tuś — my! przylatują czajki.

Taka jest przypowieść o królewiczu Kazimierzu, którą od starych ludzi słyszał

Jan Kasprówicz.

Ilu jest Żydów?

Według urzędowej statystyki «Jewish Year Book» (Rocznik żydowski) ilość Żydów na całym świecie wynosi 11,081,000, czyli jest ich prawie tyle co połowa Polaków. Z tej cyfry przypada na Europę 8,748,000, na Amerykę 1,556,000, Afrykę 354,000, Azję 242,000, Australję 17,000. Na poszczególne kraje europejskie przypada: Rosya 5,100,000, Austro-Węgry 2,100,000, Niemcy 600 tys., kraje bałkańskie 400 tys., Belgia i Holandja 105 tys., Anglja 90 tys., Francja 100 tys., Włochy 40 tys., Królestwo Polskie liczy 1,800,000 Żydów, z tego sama Warszawa 300 tysięcy. Warszawa zajmuje tedy pod względem ilości mieszkańców żydowskich drugie miejsce po Nowym Jorku, liczącym 800,000 Żydów. W innych miastach przedstawia się ludność żydowska następująco: Wiedeń 180 tys., Budapeszt 160 tys., Berlin 100 tys., Londyn 80 tys., Paryż 50 tys., Jerozolima 40 tys., Kraków 30 tys.

Największemi bezwzględnie gminami żydowskimi w Austro-Węgrzech są Wiedeń i Budapeszt. Rozwój ludności żydowskiej w tych miastach przedstawia się następująco:

Rok	Wiedeń	Budapeszt
1869	51,880	41,938
1880	72,588	68,573
1890	118,405	103,317

1900	146,926	150,000
1906	175,000	169,974

Z tabeli widoczne jest, że rozwój ludności żydowskiej w Budapeszcie w ostatnich 15 latach postępował szybciej niż we Wiedniu. W Budapeszcie mieszka 20 procent wszystkich Żydów węgierskich, podczas gdy Wiedeń mieści 12,5 procent ogółu Żydów, zamieszkałych w Austrii. Szybki wzrost obu gmin nie jest wynikiem naturalnego rozwoju, ale gwałtownej imigracji. Przychodziwo na Węgrzech było znaczniejsze, aniżeli w Austrii, jednakowoż mnóstwo Żydów węgierskich przebywa w Wiedniu.

Z krajów bałkańskich przypada na Serbię 5,729, na Bułgarię 33,661 Żydów, między tymi 3,437 obcokrajowców (1,726 mężczyzn, 1,711 kobiet).

W Tunisie mieszka 62,000 Żydów, rozproszonych po 20 miastach i 12 wsiach; pięć szóstych części z tego przypada na 5 wielkich miast: Tunis 40,000, Bizerta 1,200, Djerba 4,000, Susa 3,500, Sfaz 3,200. Są to głównie drobni kupcy, rzemieślnicy i robotnicy.

W roku 1900 było w Galicyi ogółem 811,183 Żydów, czyli o 42,338 więcej, aniżeli w roku 1890. Przyrost wynosi tedy w owem dziesięcioleciu 5,5 proc.

SPRANY.

«Coście smutni Jakubie?...
Wyglądacie jak zmora...
Macie kłopot pewnikiem
Widać dusza wam chora?»

«Jakże nie mam być smutny,
Kiedy mnie zły odmienił:
Póty kusił niecnota,
Zem się wreszcie ożenił».

Ludziom zawsze jest mało,
Tak jak kurom na grzędzie —
Miał wikt człowiek, więc myślał
Opierunek mieć będzie.

Ożeniłem się z praczką,
(A niech лихо ją bierze!)
Dawniej prała bieliznę,
Teraz ciągiem mnie... pierze.

PASIECZNIK.

(WYJĄTEK)

Stary dworzec modrzewiowy
Stał na kępie — wkoło wody
Były sady i ogrody,
W dali łąki i dąbrowy.

Smukłe świerki nad sadami
Były widne już z daleka.
A za sadem i lipami
Był tam futur¹⁾ i pasieka.

W niej to miałem przyjaciela
W starym naszym pasieczniku,
I radości tam bez liku
W dniach dzieciństwa i wesela.

Był to starzec tak życzliwy,
I jak słońce tak pogodny,
Jako dziecko tak łagodny,
A jak ziemia miłościwy!

On mnie szczepić uczył drzewa,
On poznawać uczył zioła:
Co się zbiera, co się siewa,
I jak żyje w ulu pszczoła...

Z nim na mannę i na grzyby
Biegłem w łąki i w dąbrowy,
I w dzień postny z nim na ryby,
I na kwiaty w dzień godowy.

A w południe, gdy wesoła
Na świat cały grała pszczoła,
Utrudzony wśród pszczoł brzęku,
Usypiałem mu na rękę.

Jak pustelnik albo święty,
Pracowity i modlący,
Wiecznie skrzątny i zajęty,
I zabiegły a milczący.

Tak pocziwie się zachodził,
Jak staranne jego pszczołki.
Zbierał zioła, wonne smółki,
Wkoło sadu nocą chodził.

I gromadził i hodował,
Co być mogło pożyteczne,
Lecz dla siebie w sercu chował
To jedynie, co jest wieczne...

Więc w prostocie i w pokorze
Miłosierdzie wielbił Boże,
Co nam dało łąki, gaje,
I owoce, i ruczaje,
I bliźniego twarz w uśmiechu,
I tę pszczołę, co bez grzechu,
A największą słodycz daje!

Jak Bóg Ojciec gospodarzy,
Sypiąc dary w swej dobroci,
I bez zasług ziemię darzy,
I pociechą życie złoci —
Tak i on tam gospodarzył
W swej pasiece miłościwie,
I darami ziemię darzył,
I oświecał mię życzliwie.

Wszystko było tam do składu:
Gdzieś w króbeczce i jagoda,
I najjralszy²⁾ owoc z sadu,
I kryniczna zawsze woda.

Tam też biegłem na przysmaki;
I ohotnie były dane
Plastry miodu i łuszczaki³⁾.
Z pod wiewiórek podebrane!

Wiosną słowik tam zadzwonił,
Kiedy kwilił do gniazdeczka,
Latem chróściel⁴⁾ tam pochodził,
I wabiła przepióreczka.

I już takich dni słonecznych,
Dni miodowych i dni mlecznych,
Gdzie pierś matki ziemi ssałem,
Nigdy więcej nie zaznałem!...
I po dziś dzień duszę jeszcze
Tem wspomnieniem tylko pieścę...
Kiedy wstąpię w gniazdo węży,
Kiedy żywoł mi zacieży,
Kiedy upał pierś wysuszy,
Tęskno w sercu, — czarno w duszy,
Ciężko dźwigać i daremno:
Staje futur ów przede mną,
I pasieka z swoim chłodem,
I krynica z swoją wodą,
Ach, i ziemia z tą swobodą,
Co płynęła mlekiem, miodem.

A gdy duszę ukołyszę,
To wyraźnie niby słyszę
Głos mi znany, choć daleki,
Jak od łąki czy dąbrowy:
«Porzuć, porzuć świat jałowy,
A powracaj do pasieki!»

Gdzieżeś? gdzieżeś, przyjacielu?!
Mój ty stary pasieczniku,
Pierwszy mój nauczycielu,
Bogobojny pustelniku?

1) Foolwark, mała osada na Ukrainie. 2) Najdojralszy. 3) Orzechy laskowe. 4) Ptak z rodziny grzebiących.

W głębinach Oceanu.

Jeszcze nie tak dawno temu miano dziwne wyobrażenia o istotach zaludniających morza i oceany. Niektórzy mniemali nawet, że po za głębokością 600 mt. nie było już organicznego życia. Exploracje morskie atoli, zwłaszcza te, które podjęte w głębokości 2 kl. i niżej okazały, że w odwiecznej ciemności głębin morskich rodzą się i giną stworzenia, które walczą ze sobą i zabijają się w ich pasowaniu się o istnienie.

Ludzie uczeni twierdzą, że kolebka tych istot morskich znajduje się w pobliżu wybrzeża, w miejscach głębokich do których dochodzą promienie słońca; z tych niektóre przybliżyły się zupełnie do brzegu, gdzie kształty ich się wydoskonaliły. Inne zaś ubiegając się bardziej ku głębinom przed potworami, któreby ich pożarły, przyzwyczaiły się do nowych warunków istnienia. Późniejsze ich plemię powoli spuszczało się do dalszych głębin, a może do nieprzenikliwych ciemności, gdzie człowiek nie może im przeszkadzać.

Wydobywa się często na powierzchnię dziwne stworzenia, których dziwne kształty dają do poznania, w jaki sposób istnieją i jakimi są podmorskie stosunki w ogóle. Jedna z tych rybich zagadek podobna co do kształtu do flądry czyli płaszczki zamieniła się na zezowatą gadzinę. Naturalista Conrad Gesner przypisuje dziwne położenie ócz zwyczajowi tego zwierzęcia leżenia przez godziny i dni z jedną stroną ciała ukrytą w mule, w którym to położeniu czyha na swą zdobycz. Ryba nie będąc zadowoloną z siły widzenia oka nie ukrytego w mule, stopniowo posunęła drugie oko w górę tak, iż obecnie oba oczy znajdują się po jednej stronie łba.

Jak mogą ryby widzieć w ciemnościach głębin morza? Niektóre w istocie pływają nie posiadając właściwego wzroku, ani też szczegółowych organów dotykania. Te są dla ludzi tajemnicami niewytłomaczalnymi. Lecz dużo ryb przebywających w głębinach mają zamiast ócz długie «tentekularne» organy dotykania.

Dziwnem, u niektórych z tych zwierząt

jest włókniste przedłużenie ogona i płetwy, które, zdaje się, że po większej części służą za sidła dla chwytania mniejszych zdobyczy; u niejednych zaś są mackami za których pomocą się orientują w labiryncie podmorskim.

Innym dziwnym faktem jest wielki brak życia zwierzęcego w środkowych głębinach na 2 kilometry lub mniej i w pobliżu powierzchni morza znajduje się najwięcej ryb lub potworów morskich. Wielkie ryby znajdujące się w środkowych warstwach oceanu nieraz przez długi czas muszą cierpieć głód, gdyż mało mniejszych tutaj się znajduje. Z tego powodu kształty ich są dziwnymi. Gardła ich mają kształty miechów, w których przechowują żywą zdobycz dla późniejszego użytku. Czasami się zdarza także, że ryba połknięta do połowy jest silniejszą od nieprzyjaciółki. W walce o uwolnienie posiadanie obie dostają się do wyższej warstwy wody, skąd się dostają na powierzchnię zupełnie wycieńczone lub nieżywe.

Żeglarze mówią często o węzłach lub innych potworach morskich, lecz eksploracja za pomocą rodzaju sieci zwanej «dredge» nie potwierdziły mniej lub więcej przesadzonych opowiadań żeglarzy. Wprawdzie sieci takie są najwyżej 10 stóp długimi. Największą rybą ułowioną za pomocą takiej był olbrzymi polip 8 stóp długi; wydobyto go z głębokości 6 kil. Polipy należą do tak zwanej rurkowatej grupy, do której ryba ułowiona należy; są zwyczajnie tylko kilka cali długie.

Ciekawymi są usiłowania czynione dla zbadania głębin morza. Nieprzezwyčajna przeszkoda zapobiega badaniom człowieka w wielkich głębinach. Nurkowie mogą zostawać przez całe godziny w głębi 140 stóp od powierzchni, lecz gdy się spuszcza 60 mt. lub więcej, natenczas presja wody nad nimi się znajdująca unieruchamia ich w kilku minutach. Zupełna ciemność panuje także, po 120 m. głębokości. Aby ułatwić eksplorację starano się wynaleść różne przyrządy. Osta-



Dr. HERCILIO LUZ
Prezydent Stanu Sta. Catharina

Dr. HERCILIO LUZ

Obecny Prezydent Stanu S. Katarzyna

Kwitający nadmorski stan Santa Katarzyna, zaludniony przeważnie przez imigrantów niemieckich, był w czasie wojny ogniskiem germanizmu Ameryki Południowej. Niemcy otwarciem współczuli zaborczym dążnościami kajzera, budząc w rdzennej ludności brazylijskiej nienawiść czyli germanofobję.

Doktor Hercilio Luz, po objęciu rządów Prezydenta st. S. Katarzyny, jako oświecony patriota, zręczny i energiczny administrator, postarał się przedewszystkiem zagasić płomień szkodliwej, bezcelowej wzajemnej nienawiści obywateli. Otoczony szczerymi zdolnymi pomocnikami zaprowadził on spokój pośród ludności żyjącej obecnie w harmonijnej zgodzie, jak było przed wojną, pracując wspólnie dla rozkwitu kraju.

tnim wynalazkiem jest parowiec ze siecią (dredge-steamer), który naturalnie posiada różne naukowe przyrządy. Zwyczajna ołowianka do gruntowania nie wystarcza na ten cel i dlatego używa się ołowianki dla głębokiej wody. Dalej używa się rodzaju pręta mierniczego, który się otwiera automatycznie, gdy dosięga spodu i zamyka się; skoro go się wyciągnie ze ziemi, dostarcza cząstek ziemi z głębokości 8 kil. pod wodą. Do lin lub drutu, który się spuszcza za pomocą ciężkiej windy przywiązuje się wielkie ciężary — od 500 do 800 funtów — bo w przeciwnym razie pręt nie spuściłby się zbyt głęboko. Potrzeba kilka godzin a czasem i całego dnia, by spuścić przyrząd do głębokości 2000 do 3000 sążni. Do przyrządu są także przymocowane termometry i butelki mające dziwny kształt. Pierwsze służą do mierzenia ciepłoty różnych warstw wody. Butelki zaś otwierają się i zamykają się automatycznie dla zabierania prób wody. Sieć jest używana do łowienia istot żyjących w morzu. Na jednym końcu sieci znajduje się drewniany przyrząd do zbierania na dnie morza znacznej ilości żywych i martwych materiałów. Zamyka go automatyczne wieko, skoro jest pełnym. Przy końcu sieci znajdują się pętlice, które służą do chwytania ryb «tentakularnych», które się z nich nie mogą wywikłać.

W przeciągu ostatnich 30 lat główne narody kuli ziemskiej wysyłały liczne ekspedycje dla zbadania oceanów lecz dotychczas nasza znajomość stosunków podmorskich jest bardzo niedokładną. I nie możemy się dziwić jeżeli związany z jakimiś trudnościami badania takie są połączone. Na lądzie trudności nie są tak wielkimi; znamy bowiem już jeziora, rzeki, lasy, pagórki i góry kuli ziemskiej.

Wiemy, że w wodzie znajdują się góry, pagórki i doliny, tak samo jak na ziemi, lecz mało co wiemy o podmorskiej ziemnej ewolucji. Zmiany na lądzie spowodowane przez deszcz, śnieg, huragany i powodzie możemy widzieć wszędzie. Bałwany morskie mają siłę kruszenia skał lub wyrwania całych kawałów ziemi z wybrzeża, lecz zmian tych trwających ciągle nie może spostrzedz tak dokładnie, a w głębokiem i ciemnem łonie oceanu pa-

nuje zawsze spokój. Pręty miernicze rzadko zawierają skaliste substancje. Ziemia jest luźna i błyszcząca. Piasek lub śmiecie, które się w niej znajdują, przybywają z ujść rzek lub z okrętów, bo łożo oceanu jest nekropolą wszystkiego co ginie na jego powierzchni lub w niezgłębionych jego wodach. Podmorskie trzęsienia ziemi i wulkaniczne erupcje wstrząsają czasem głębinami i wysuwają z łona morza góry, które później tworzą małe wyspy.

I człowiek, pan innych istot stworzonych przez Boga, pozostawia znaki swej czynności na mulistym dnie morza.

Tysiące okrętów zatoneło, tysiące osób giną rok rocznie w morzu, a szczątki okrętów, w których ludzie się znajdowali, leżą na dnie morza. Mniemano dawniej, że wskutek presji dolnych warstw wody martwe ciała a nawet armaty nie mogły spadnąć na dno morza, i że większa część substancji rozwiązuje się w średnich warstwach wody.— Ciało człowieka np. pożerają żarłoczne ryby, lecz kości jego dostaną się następnie na dno morza.

Tutaj dopiero nieskończenie małe istoty przewiercają najtwardsze substancje, tak iż nawet znaleziono kości wielorybów zupełnie prawie przez niezliczone hordy owadów zniszczone. Okręt, który zatonął staje się siedzibą zwierzątek rozmaitego rodzaju, a w kilka lat po katastrofie nic z niego nie pozostaje, dziwną jest jednakowoż rzeczą, że okręty żelazne zostają zniszczone prędzej, niż inne. Wprawdzie nie atakują je owady morskie, lecz woda morska wywiera na nie wpływ zgubny i niszczy je w krótkim czasie.

Podmorskie pierwiastki niszczące prawie wszystko nie mogą jednak zniszczyć złota, ozdób z platinum, przedmiotów ze szkła, ani żużli pochodzących z okrętów parowych.— Gdyby więc w przyszłych wiekach osuszono oceany, natenczas nie znalazłobyby szczątki ludzi ani zwierząt, nie odkryłobyby szczątki po okrętach, lub łodziach, któreby świadczyły o terażniejszym życiu organicznem na świecie. Lecz na ten czas mógłby powstać geniusz, któryby udowodnił istnienia żeglugi parowej przez istnienie żużli, które są niedotykalnemi.

Sądząc według szybkiego postępu zrobieonego pod względem eksploracji pod-

morskich przez terazniejszą generację, można się spodziewać, że przyszłe pokolenie postąpi jeszcze dalej i że powiększy się zamiłowanie w tej nowej wiedzy, ponieważ morza zajmują prawie trzy ćwiertce całej powierzchni kuli ziemskiej a odkrycie tych tajemnic obiecuje bliższą znajomość z wnętrzem kuli ziemskiej.

TAKSA TELEGRAFICZNA

TELEGRAMY KRAJOWE.

Płaci się za słowo z *Parany* do Stanów:

Para - - - - - \$300	Alagoas - - - - - \$300	Santa Catharina - - - \$200
Maranhão - - - - - \$300	Sergipe - - - - - \$300	Rio Grande do Sul - - \$200
Piauí - - - - - \$300	Bahia - - - - - \$300	Minas Geraes - - - \$300
Ceara - - - - - \$300	Espirito Santo - - - \$300	Goyaz - - - - - \$200
Rio Grande do Norte \$300	Rio de Janeiro - - - \$300	Matto Grosse - - - \$300
Parahyba - - - - - \$300	São Paulo - - - - - \$200	prócz tego takse stałą 600
Pernambuco - - - - - \$300	Paraná - - - - - \$100	reis za telegram.

TARYFA POCZTOWA

Rodzaj Korespondencji	Brazylja	Kraje Związku Pocztoowego	WAGA
Listy - - - - -	\$100	\$200	15 gramów lub
Sekretniki - - - - -	\$100	\$200	częstka tychże
Pocztówki pojedyncze - - - - -	\$050	\$100	> >
„ podwójne - - - - -	\$100	\$200	> <
Próbki (amostras sem valor) - - - - -	\$100	\$080	50 gramów lub
Rękopisy - - - - -	\$100	\$080	częstka tychże
«Encmendas» - - - - -	\$100	*	< <
Druki (Impressos) - - - - -	\$020	\$050	< <
Gazety i pisma - - - - -	<	\$050	< <
„ „ „ - - - - -	\$010		100 gramów lub
Polecenie (registro) - - - - -	\$200	\$300	częstka tychże
Zawiadomienie o otrzymaniu (aviso de recepção) - - - - -	\$100	\$150	

UWAGI: Rękopisem nazywa się wszelkiego rodzaju papier lub dokument, pisany nie noszący charakteru informacji aktualnej lub osobistej. Tego rodzaju posyłka nie może ważyć więcej od 2 kilogramów i nie może przechodzić długością lub szerokością 45 centymetrów.

Próbki nie mogą ważyć więcej niż 350 gramów i posiadać więcej niż 30 centymetrów długości.

(*) «Encmendas» zagranicę są wysyłane jako «colis postaux.»

(**) Pierwsza taksa za rękopisy zagranicę nie może być niższą od 200 rs. a za próbki nie niższą od 120 rs.

Stemple i podatek Stemplowy
(Sellos e imposto do Sello)

Wszelkie dokumenty, noszące charakter obietnicy lub zobowiązania płacenia lub przepisu, nawet w razie gdyby miały formę kwitu, zwykłego listu lub inną, jakoteż i głoszące zwrot, przedłużanie lub gwarancje jakiegokolwiek bądź sumy, opłacają:

do wysokości 200\$000	- - - - -	400
od 200\$000 do 400\$000	- - - - -	800
> 400\$000 > 600\$000	- - - - -	1\$200
> 600\$000 > 800\$000	- - - - -	1\$600
> 800\$000 > 1000\$000	- - - - -	2\$000

i tak dalej, opłacając 2\$000 za każde 1000\$000 lub częśćkę tychże.

Powyzszemu stemplowi podlegają też: wszelkiego rodzaju weksle i traty, nawet wystawione zagranicą, jeśli tylko zostają przyjęte w Brazylii; faktury i rachunki akceptowane; rachunki bieżące (conta corrente) akceptowane; zapisy hipoteczne; kontrakty spółek handlowych (prócz towarzystw anonimowych), jakoteż i akty ich rozwiązania lub likwidacji; wszelkiego rodzaju kontrakty zakupu, sprzedaży, dzierżawy i t. d. nieruchomości; przepisy akcji towarzystw akcyjnych, krajowych i zagranicznych, akty gwarancji, listy kredytowe, kwity na złożone towary w składach depozytowych, kwity na otrzymane sumy na rachunek trzeciej osoby (ordens de pagamento) i t. d. O ile suma całkowitej tranzakcji nie jest wymieniona np. przy kontrakcie dzierżawy, kupna lub częściowej dostawie, niemniej obowiązuje cała suma kontraktu, tak naprzykład, jeśli w kontrakcie drewna na dostawę powiedziane jest, że sprzedający zobowiązuje się dostawić miesięcznie po 100 metrów drewna po cenie 3\$000 na przeciąg 12 miesięcy, to dla opłaty stempla trzeba wziąć pod uwagę sumę całej dostawy 1.200 metrów po 3\$000 czyli 3.600\$000. Przy kontrakcie dzierżawy należy obliczyć również całą sumę dzierżawy, np. kontrakt na 2 lata po 30\$000 miesięcznie za dom, szakiar, lub coś podobnego musi płacić stempel od sumy 720\$000.

Zwykle pokwitowania powyżej 25\$ opłacają 300 rs. Rekerimenty opłacają 600 rs.

SELLE (STEMPLE) FEDERALNE
REVALIDAÇÃO

Papiery i dokumenty nie opatrzone w swoim czasie stemplem (sellami), lub opatrzone według niższego szacunku, niż być powinny, i te, gdzie selle nie są skasowane odpowiednio, podlegają następującej opłacie, nazywanej *revalidação*.

1o) W razie braku selli, opłacają 10 razy wartość selli, jeśli nie przeszło więcej niż 30 dni od daty, gdy selle powinny były być naklejone.

2o) Jeśli przeszło 60 dni od tej daty — opłacają 25-cio krotną wartość selli.

3o) Jeśli przeszło 90 dni od tej daty — opłacają 50-cio krotną wartość selli.

Revalidação dotyczy dokumentów sądowych, podań, zaświadczeń, rekerimentów, ale nie kwitów, weksli, dokumentów dłużnych, lub kontraktów sprzedaży, dzierżawy i t. p. zobowiązań pieniężnych.

Revalidação może podlegać dokument z wyżej wymienionych tylko w razie złego skasowania lub zamazania naprzykład selli, ale nigdy za jej brak, co pociąga za sobą karę specjalną, o której mówimy dalej.

Selle powinny być skasowane wpisaniem na nich daty i nazwiska tych, co dokument podpisują, najwyżej może na nich znajdować się nazwa miejscowości, poprzedzająca

WZÓR PODANIA O UZYSKANIE TYTUŁU DEFINITYWNEGO NA LOT NA KOLONJI.

Exmo. Snr. Dr. Secretario do Estado dos Negocios da Fazenda,
Agricultura e Obras Publicas.

Diz (imię i nazwisko proszącego), colono estabelecido por titulo **provisorio** (podkreślone wyrazy należy umieścić w razie, jeżeli się posiada tytuł prowizoryczny) no lote N..... da linha..... na colonia..... tendo satisfeito as condições, estabelecidas para aquisição do lote, equites com a Fazenda Estadoal, como prova com os documentos juntos, vem respeitosa mente pedir a V. Excia. que se digne ordenar, que seja extrahido o titulo definitivo em nome do requerente.

Nestes termos Pede deferimento.
Miejsce, data i podpis przez markę 600 rejsów stanowią ;

Do tego podania załączyć należy: 1) wszystkie kwity, dowodzące, że lot już jest wypłacony; 2) tytuł prowizoryczny, o ile się już takowy posiada; 3) markę stanowią nie naklejona, wartości 20 milrejsów.

Listy z zadeklarowaną wartością (VALOR DECLARADO)

Oplacają prócz taksy zwykłej w stosunku do rodzaju i wagi posyłki, stałe premjum w wysokości 200 milrejsów i 2% od zadeklarowanej wartości, a mianowicie:

do 10\$000 - - - \$200 od 15\$000 do 20\$000 - - - \$400
od 10\$000 do 15\$000 - - - \$300 od 20\$000 do 25\$000 - - - \$500

i tak dalej w stosunku 100 rejsów od każdych 5\$000 lub części tychże. Najwyższa wartość która może być przesyłana w jednym liście wynosi — 300\$000.

KURS PIENIĘDZY

Kurs czyli *cambio* po portugalsku, w sensie używanym w Brazylii znaczy ilość penny angielskich płaconych za milrejs w Londynie, gdzie jest główny rynek na brazylijskie pieniądze.

Codziennie na giełdzie czyli na targu pieniężnym w Londynie ustawiają cenę na milrejs, tak jakby to robili na kukurydzę lub fizon, cenę tę telegrafują do Rio de Janeiro a ztamtąd wiadomość rozechodzi się po całym kraju.

Określając kurs, mówi się w Brazylii «cambio de doze» lub «cambio de quinze» i t. d. czyli kurs dwanaście lub piętnaście co oznacza że milrejs dnia tego ceni się dwanaście lub piętnaście penny angielskich.

Żeby obliczyć ile można dostać za funt szterling, należy podzielić 240 t. j. ilość penny w funcie przez owo cambio.

240 dzielone przez 01 = 24 to znaczy że funt szterling wart jest 24\$000

240 « « 12 = 20 « « « « « « « « 20\$000

240 « « 16 = 16 « « « « « « « « 16\$000

inne pieniądze oblicza się w stosunku do funta szterlinga angielskiego.

W razie kiedy firmę rejestruje oddzielna jednostka, deklaracja robi się w sposób następujący:

DECLARAÇÃO.

Imię nazwisko satisfazendo as exigencias do art. 11 do Decr. N. 916 de 24 de Outubro de 1890, declara:

1. Que sua firma commercial gyrrará sob a razão de da qual fará uso para todos os effeitos commerciaes.
2. Que o genero do commercio e a compra e venda de rodzaj handlu
3. Que o seu domicilio é miejscowość
4. Que o estabelecimento começou a funcionar em data otwarcia handlu

Miejsce, data i podpis, przez markę 600 rejsów federalną. Na jednej z deklaracji podpis powinien być poświadczony u rejenta. Marki nakleja się na obydwóch egzemplarzach.

Rejestrowanie ksiąg handlowych

Dekret N. 1236, dnia 24 września 1904 r.

Art. 62. Każdy, kto handlował na terytorjum Republiki, czy to oddzielna jednostka, czy to spółka handlowa, mając w obrocie kapitał większy od 5.000\$000, jeżeli nie posiada ksiąg wymaganych przez Art. 11 Kodeksu Handl., stemplowanych i rejestrowanych, podlega karze pieniężnej od 200\$000 do 1.000\$000.

Księgi, które kupcy *koniecznie* posiadać powinni są: «Dziennik» i «kopiał» (Diario e Copiador).

W *Dzienniku* (księdze głównej) kupiec musi notować dokładnie wszelkie operacje handlowe, weksle i inne zobowiązania, które by wystawił i przyjmował poręczał lub indosował, a wogóle wszystko co otrzymuje na swój lub cudzy rachunek; wydatki domowe wystarcza wpisać raz na miesiąc.

Kupcy detaliczni powinni codziennie wpisywać do Dziennika sumę sprzedaży dziennej i oddzielnie sumę sprzedaży na kredyt. W dzienniku też wpisuje się wyciąg z bilansu ogólnego. Kupcy używają zwykle *Boruljonu* (Borrador) do prowadzenia którego Kodeks Handlowy Brazylijski nie obowiązuje. W księdze tej zapisuje się wszelkie operacje w ciągu dnia uskuteczniiane dla wpisania później do Dziennika.

W *Kopjale* kupiec powinien rejestrować wszelkie swoje listy, dotyczące interesu, jako też rachunki wysyłane.

Obie te książki powinny być oprawione, numerowane, ostemplowane i wszystkie strony ich opatrzone podpisem jednego z członków Zgromadzenia Kupców (Junta Commercial).

Na zasadzie art. 14 Dekretu N. 916 z roku 1890, księgi handlowe nie mogą być stemplowane i rubrykowane w razie jeżeli kupiec nie rejestrował swej firmy.

W *Dzienniku* i *Kopjale*, przed stemplowaniem i rubrykowaniem, właściciel powinien wpisać następującą deklarację na ostatniej stronie:

«Contem este livro (1) folhas, typographicamente numeradas, e servirá para a escripturação da casa commercial de (2) estabelecida na cidade de (3) á rua No.»

1) Liczba arkuszy. 2) Firma. 3) Miasto. (Miejsce, data i podpis)

Rejestrowanie firm handlowych.

Wyciąg z Dekretu N. 916 z dnia 24 Października 1890 r.

Art. 2. Firmą nazywa się imię, którego używa kupiec lub spółka w interesach, którym podpisuje wszelkie akty, dotyczące handlu.

Art. 3. Kupiec nie posiadający wspólnika lub posiadający go ale nie związany z nim oficjalnym kontraktem, może używać jako firmę tylko własne imię i nazwisko, odpowiednio skrócone, dodając do niego, jeżeli chce, dokładniejsze określenie swej osoby (Filho, Sobrinho i t. d.) lub określenie rodzaju handlu, którym się zajmuje.

§ 1. Firma spółki powinna, jeżeli nie wyliczę wszystkich członków, składać się przynajmniej z nazwiska jednego z nich z dodatkiem «& Cia».

Spółka, po złożeniu do Archiwum Zgromadzenia Kupców kontraktu, ażeby zostać zarejestrowaną, składa następujące podanie i deklarację (tej ostatniej dwa egzemplarze).

WZÓR PODANIA:

Cidadões Presidente e Mais Membros da Meritissima Junta Commercial do Paraná.

[1] & Cia., commerciantes estabelecidos na cidade de [2] satisfazendo o exigido pelo Art. 11 do Decreto N. 916 de 24 de Outubro de 1890, pedem mandeis registrar a sua firma commercial, de accordo com os requisitos constantes da declaração que juntam em duplicata.

Peide Deferimento
E sendo de justiça

Miejscowość, data i podpis przez markę 600 rs. stanową

1) Firma, 2) Miejscowość.

WZORY DEKLARACJI:

DECLARAÇÃO.

A firma commercial abaixo assignada declara:

1. Que se compõe do socio solidario..... e commanditario..... e que o uso da firma compete somente ao solidario (punkt ten zmienia się zależnie od kontraktu, jaki został zawarty).
2. Que o genero do commercio e a compra e venda de..... rodzaj handlu
3. Que o seu domicilio é..... miejscowość
4. Que o estabelecimento começou a funcionar em..... data otwarcia handlu e o contracto social foi archivado em..... data kontraktu
5. Que não temos filiaes.
6. Que o socio, com direito ao uso da firma, a empregará pela seguinte forma.....

(Miejsce, data i podpis przez markę 600 rejsów federalną)

Podpis na jednym egzemplarzu deklaracji powinien być potwierdzony u rejenta.

Nota Promissoria

Nota promissoria jest to obietnica zapłaty wierzycielowi przez dłużnika, może ona być również wystawiona na drukowanym blankiecie, procent nie może być w niej wymieniony. O ile nota promissoria nie jest zapłacona w terminie, od daty tej nadal prawnie wierzyciel może otrzymać tylko 6% w stosunku rocznym.

Nota promissoria jest ważna przez 5 lat chociażby była wystawiona na krótszy termin i nie wymaga protestu. O ile na tym dokumencie jest żyrant, protest taki w terminie jest koniecznym ponieważ inaczej podpis żyranta traci na swej wartości i przestaje go zobowiązywać.

Wzór „Nota Promissoria“:

Rs. [1]

A [2] pagarei por esta nota promissoria

ao Snr. [3]

a quantia de [4]

em [5] Curityba, [6] de 19 [6]

[7]

[8]

1. Suma w liczbach. 2. Termin płatności lub a vista. 3. Nazwisko wierzyciela. 4. Suma słowami. 5. Moeda corrente lub w funtach, koronach, itd. 6. Data przez marki. 7. Podpis dłużnika przez marki. 8. Podpis żyranta o ile jest — w tym razie pisze: o avalista i następnie swoje nazwisko.

Dokument Dłużny (Documento de Divida)

Jest to najbardziej używana forma zobowiązania dłużnego szczególnie między osobami nie należącymi do handlu. Dokument taki może być również napisany na drukowanym blankiecie; o ile to możliwe, musi być przy podpisywaniu dokumentu obecnych dwóch świadków, którzy się podpisują również (nie przez marki); dobrze jest podpis dłużnika, nawet jeśli są świadkowie podpisani, zaświadczyć u rejenta, jest to zaś koniecznym gdy świadków mieć nie można. W dokumencie musi być określona wysokość procentu i sposób lub termin kiedy mają być płatne.

Dokument traci wartość po 30 latach.

Rs. [1]

Wzór dokumentu dłużnego (Documento de Divida):

Devo que pagarei ao Sr. [2]

Rs. [3]

que do mesmo Snr. recebi, sujeitando-me a pagar o juro de [4] por cento ao [5]

ao prazo de [6] capitalizando de [7]

Obrigo-me mais com todos os meus bens presentes e futuros e demais bens amparados para este pagamento, podendo ser executado em qualquer parte que for exigido e pagarei todas despezas judiciais e extrajudiciais que fizer até final liquidação.

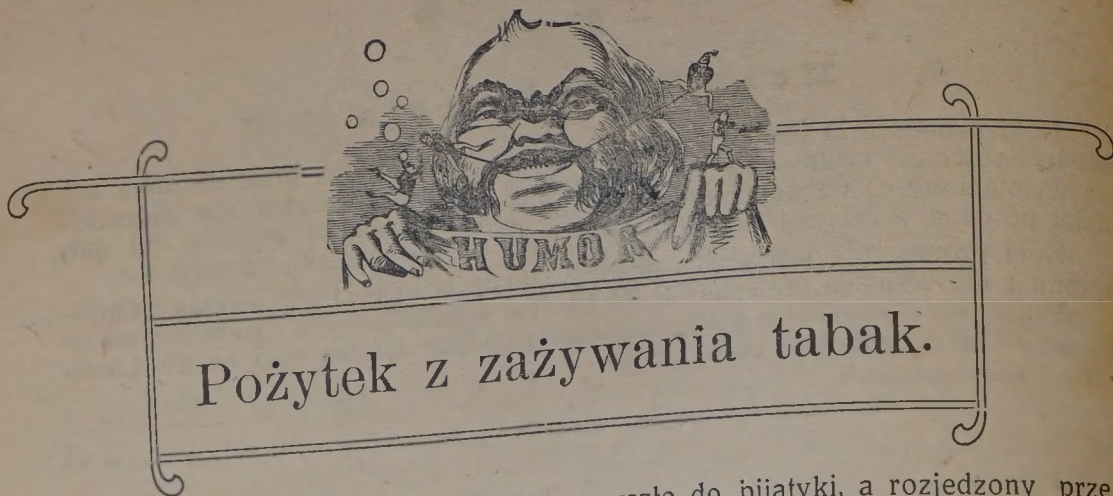
E por verdade firmo o presente

Curityba, [8] de 19 [8]

[9]

[10]

1. Suma w liczbach. 2. Nazwisko wierzyciela. 3. Suma w słowach. 4. Jaki procent. 5. ao mez jeżeli w stosunku miesięcznym lub ao anno — jeżeli w stosunku rocznym. 6. Termin wypłaty procentów: pisze się np. de trez em trez mezes, de mez em mez. 8. Data przez marki. 9. Podpis dłużnika przez marki. 10. Podpisy świadków.



“Gadajcie wy sobie co chcecie, a ja wam powiadam, zażywanie tabaki daleko jest pożyteczniejsze od palenia tytoniu.

Tak prawili stary pan konsyliarz, pukając w tabakierkę, poczem ujął palcami potężny ładunek tabaki, wpuścił w nos ile się tylko zmieściło, a resztę — większą daleko połowę — na ziemię. Zażywszy tedy tabaki tak mówił dalej:

“Czemże wy chcecie usprawiedliwić palenie tytoniu. Może tem, że przeszkadza trawieniu, że głód zagłusza? A czemże jest uczucie głodu? To jest owo główne koło, które całą maszynę naszego ciała utrzymuje w biegu. Jak nie będzie głodu, to czemże zmielecie w waszym młynie to zboże, które dla utrzymania życia nasypujecie?”

“Zupełnie co innego niuch dobrej tabaczki! Woń jej rozpędza mgłę, która mózg znużony otacza, rozpogadza i rozjaśnia powierzchnię źródła myśli, że dojrzeć mogą aż do dna samego — a potem praktyczna korzyść, jaką przynosi zażywanie tabaki w życiu, o tem powiem wam ciekawy przykład z własnego doświadczenia.

“Znużony całodzienną pracą położyłem się do łóżka i sądząc, że już na dziś koniec roboty, wyciągnąłem się wygodnie i smacznie zacząłem zasypiać. W fem ktoś zaczął dzwonić jak gdyby na ogień, tak, że służący, który jeszcze nie spał, natychmiast pobiegł do drzwi a ja równemi nogami wyskoczyłem z łóżka. Nie długo trwało, a do izby wpadł z jękiem młody parobczak z twarzą całą krwią zalaną. Siedział z towarzyszem w karczmie do późnego wieczora a idąc z nim razem do domu, wszczął kłótnię. Od słowa

przyszło do bijatyki, a rozjedzony przeciwnik powalił go o ziemię; że jednakże leżący na ziemi parobczak trzymał go silnie za ręce, więc przeciwnik dopomagał sobie zębami i nos mu ugryzł przy samej twarzy. Teraz dopiero ochłonął ze złości, gdy poznał, co się stało i uciekł, a skaleczony parobczak przybiegł do mnie i prosi, abym mu nos przyszył”.

«To naturalnie nie było rzeczą trudną, tylko jeden był sęk, nie było nosa, bo pozostał na polu bitwy, a tam dotąd było pół godziny drogi za miastem, noc była ciemna, deszcz lał jak z cebrą, a błoto było po kostki. Gdzie więc szukać nosa i jak go znaleźć?»

«Tymczasem parobczak tak prosił i błagał, że chociaż bez widoku znalezienia nosa wybraliśmy się w drogę, to jednak ja, parobczak i mój służący, z latarką w ręku. Nareszcie stanęliśmy na miejscu, które parobczak na pewno wskazał jako pole bitwy, ale jak przewidywałem, tak też było; świeciliśmy naszą latarką i w lewo i w prawo, szukaliśmy gdzie tylko było można, ale nosa nie znaleźliśmy bo deszcz niezawodnie go dawno w błocie zagrzebał».

«Staliśmy bezradni; ja już chciałem biednemu chłopakowi dać tę radę, aby się nazajutrz zgłosił do pana burmistrza, który od regencyi często odbiera nosy i z pewnością kilka nosów będzie miał w zapasie, gdy mechanicznie sięgnąłem do kieszeni i zażyłem tabaki, przyczem jak zwykle większą połowę upuściłem na ziemię. Wtem usłyszeliśmy kilkakrotne głośnie kichnięcie.

— Na zdrowie panie konsylerzu! — zawołał służący.

— To rzadki wypadek, aby pan konsyliarz po tabace kichnął. — Ja nie kichnąłem — odpowiedział zdziwiony.

— Ja też nie — rzekł służący; ten nie mógł kichnąć, bo niema nosa. A kto wie czy to czasem nie sam nos. A to co? wołał przyświecając latarką przy ziemi, co tu skacze?

— Apsi — zabrzmiało znowu.

— Wszakże mówiłem — zawołał służący podczas gdy leżący na ziemi nos powtarzał Apsi! Apsi! i za każdą razą podskakiwał jak żaba.

— Wszakże mówiłem, że to nos. Jak pan konsyliarz wysypywał tabakę na ziemię, dostało się i temu nosowi cokolwiek i polectany zdradził się kichnięciem.

I tak też istotnie było. Przy każdym kichnięciu nos podskakiwał, więc musieliśmy robić formalne polowanie, aby go schwycić. Zaraz też na miejscu nos przyszyłem i operacja szczęśliwie się udała, tylko miałem biedę aby go uspokoić, iżby mi kichaniem nie przeszkadzał przy szyciu.

I niech kto powie, że zażywanie tabaki nie jest pożytecznem.

MORDERSTWO.

Pan Bożydar Chrząszczyk, z łaski boskiej i prawdziwego powołania literat, poeta i mówca polityczny i niepolityczny, był jednym z tych nielicznych wielkości, co to żadnemi trudnościami, żadnem niepowodzeniem, żadnem nieszczęściem nie dadzą się zniechęcić ani odwieść od swego wielkiego zadania oświecania ludzkości. Pan Bożydar Chrząszczyk pisywał artykuły gazeciarskie, humoreski, nowele, romanse, dramaty — na zamówienie i podług życzenia — jak krawiec ubrania na miarę. Pan Bożydar Chrząszczyk był więc pracowitym człowiekiem, niestrudzonem. Dzień i noc dzierżył pióro w ręku — pisał i pisał. Od ciągłego głębokiego myślenia tak był roztargniony, że nieraz nie zauważył, jak strony całe pisał... suchem piórem. To też owoc materyalny jego pracy nadludzkiej był zawsze mierny. A na domiar złego, nakładcy gazet, «te pajaki, ci wyzyskiwacze much literackich», tak ich zwykle nazywał pan Chrząszczyk, nie umieli ocenić pracy jego i często manuskrypty w pocie czoła i o głodzie pisane, przysyłali napowrót z bezczelnemi uwagami: «nie nadaje się», «dobre do kosza», itp. Ale wszystko to przyjmował poeta z wielkim spokojem, niby Job biblijny. I nie zniechęcał się, lecz owszem, z tem większą żarłocznością zabierał się do nowej pracy.

Pan Bożydar Chrząszczyk dużo w życiu swem zaznał biedy wszelakiej i często ćwiczył się w sztuce gospodarstwa. Po-

magala mu w tem i podzielała z nim razem losy złe i dobre jego kochana małżonka Biedziśława, będąca jemu nietylko aniołem opiekuńczym ale i źródłem natchnienia. Kobieta zresztą dobra, niegospodarna i troskliwa o swe działki, jedną dziewczynkę i dwóch dziarskich chłopczyków, których wychować zamierzała na bardzo wielkich ludzi, miała oprócz tyłu zalet także i jedną szpetną wadę. Nie potrafiła kupować na «borg». Tej niezdolności nawet mąż jej darować nie mógł, bo był zmuszony często od pracy się odrywać i biegać po sklepach rzeźniczych i piekarniach a «borgować», aby dzieci miały co jeść. To też już we wszystkich składach całego przedmieścia, gdzie nasz literat mieszkał, miał długi.

W jesieni pewnego roku zauważyli sąsiedzi, jego, że «nasz poeta», — tak go zwykle nazywano, — już od kilku dni coś «nie jest w swoim sosie». Chodził po ulicach bardzo wzburzony, gestując i wygrażając, gadał ze sobą. Zaczęto go już nawet podejrywać o brak nietylko piątej ale i czwartej klepki. Lecz pan Bożydar Chrząszczyk miał jeszcze Bogu dzięki klepki w porządku, jak się zaraz o tem przekonamy.

Nieszczęście chciało, że pewnego przedpołudnia spotkały się dwie kumoszki pod oknami parterowemi mieszkania poety i już od godziny prawie tam stojąc, niezmordowanie pracowały swemi «jadaczkami». Zgubiony zaś był, kogo one wię-

ły na swe języki. Owe dwie kumoszki miały niepospolitą sławę w tej części miasta, bo wiedziały wszystko, co się działo w rodzinach i błędy każdego znały na wylot. To też nie dziw, że mimo iż już od godziny wydeptywały jedno i to samo miejsce i co pięć minut się żegnały — wciąż jeszcze nie mogły skończyć. A obie one obdarzone były przez naturę czemś niezwykłym. I tak, jedna miała nadzwyczaj wielkie uszy, niby tuby gramofonowe, jakby umyślnie na to, aby wszystko dobrze słyszeć; druga zaś niezmiernie długi, śpiczasty nos, który też niedar- mo wszędzie wścibiała. Podczas konferencji kumoszek weszło do domu poety kilku panów, zapewne na pogadankę literacką. Nagle wielkoucha kumoszka u- milkła i nadstawiła uszu.

— Słyszycie, Wściubińska?

— Co?

— No u poety. Mój Boże, już znowu!

— Co znowu?

— Adyć wzdychania jakieś, stękanie! nieszczęście się stało! Czy słyszycie, ktoś jęczy?

A po chwili dały się słyszeć słowa, prawie krzyżane:

— Musisz zginąć.. musisz zginąć... Bo- że! jak mi cię żal! Acha... ach... Ale już się stało... Już zimne twoje ciało... Tak, o, teraz... przez trupa twego kroczyć bę- dę do sławy. I spełnią się marzenia złote mej młodości... Teraz wolność, wolność, ach, wolność!..

Na chwilę było cicho, potem znowu dało się słyszeć: "Bracia, bracia! a teraz dalej, dalej na wroga... Jutro skoro świt rozpoczniemy rzezie nasze, a już przy pur- purowym słońcu zachodzie cały świat we krwi tonąć będzie... Niebo i ziemia czer- wone... rzeki i morza czerwone... O, jaki piękny świat czerwony..."

— Jezus, Marya! — krzyknęła wielko- ucha kumoszka i jak szalona uciekła, bez pożegnania się z Wściubińską.

W mgnieniu oka rozeszła się po ca- łem przedmieściu wieść, że pan literat zamordował swoją żonę. Zaczęto nawet przypuszczać, że to i on pewno także za- strzelił przed tygodniem owego wyższego urzędnika policyjnego, za której to zbrodni wykrycie ustanowiono nawet trzy tysiące marek nagrody. I więcej jeszcze niewy-

krytych zabójstw poczęto wieszać na o- krytnym poecie.

Kumoszka wielkoucha pobiegła wprost na policję i tam wiernie powtórzyła usły- szane słowa. Komisarzowi włosy stanęły na głowie, słysząc tak okropne wieści. Ale nie tracąc czasu, wydał odpowiednie rozporządzenie. Posłał cały korpus poli- cyantów z poleceniem aresztowania każ- dego wychodzącego z domu Chrząszczy- ka, a «kryminalny» miał rewidować miesz- kanie i wszelkie manuskrypty obłożyć aresztem.

I już w parę minut po wypadku był dom poety z wszech stron otoczony stra- żą policyjną — a kilka osób wychodzą- cych z tegoż domu aresztowanych. Na wszelkie protesty i zapytania odpowia- dano aresztowanym że się o wszystkim dowiedzą, gdy będą w «kozie».

«Kryminalny» zaś i najstarszy, zarazem najpoważniejszej postawy policyjant zna- ny na przedmieściu pod nazwą «Gruby Wojtek», weszli do domu.

— Gdzie wasz ojciec? — zapytał ur- zędnik dzieci, które na widok tego ol- brzyma, zastępcy świętej sprawiedliwości, tak licznej gawiedzi i kilkunastu poli- cyantów przed domem, wytrzeszczyły o- czy i ze strachu poczęły chować się po kątach. Tylko córeczka poety, najstarsza z dzieci i filutka wielka zdobyła się na odwagę i rzekła:

— Tatusz znowu kogoś morduje!

— Słyszycie — zwrócił się policyjant do tłumu stojącego przed domem. — Dzieci same oskarżają ojca o zbrodnię. Czyż to nie okropne?!

— Tak, tak, okropność — ozwało się kilka głosów.

Ten cham, ten rabuś, ten zbój!

— Na suchej gałęzi go powiesić.

— Żeby go piekło przyjąć nie chciało — wrzasnął jakiś niezyczliwy głos.

Gruby Wojtek, dowiedziawszy się od dzieci, gdzie jest pracownia literata, chciał tamże wejść. Pukał, szturmował, ale da- remnie. Poeta w kancelaryi swej zam- knięty na sto rygli, nikogo nie wpusz- czał. Wtedy policyjant ufny w swą siłę i ciężar olbrzymi ciała, zasadził się ku drzwiom. Pękły rygle, trzasły zamki, i Gruby Wojtek jak kula armatnia wleciał do pokoju i plackiem padł na podłogę.

— Mordercy, zbójce, rabusiel! — wrzesz-

czał wystraszony poeta, lecąc do okna, aby tam w ucieczce szukać ratunku. Ale i tu ujrzał się osaczonym i kilka groź- nych pięści wzniosło się ku niemu. Za- nim miał czas ochłonąć trochę z przera- żenia, już policyjant przy pomocy kilku osób znowu stanął na nogach i żelazne- mi swemi łapami chwycił poetę za kark.

— Gdzieś podział zwłoki trupa, które- goś zamordował?

— Co wy odemnie chcecie? — wybełko- tał literat.

— Nie udawaj zbrodniarzu, bo już wszystko wiemy. Powiesz, gdzie jest, albo ci wnętrzości wytrzęsę.

— W piecu będą — krzyknął stojący w tłumie terminator szewski.

Zaczęto więc szukać w piecu i po ca- łem mieszkaniu. «Tajny policyjant» tym- czasem pilnie obkładał aresztem niektóre rękopisy, kilka książek i śpiewniczków. Wynik rewizji był jednak lichy. Oprócz bowiem kilku plam czerwonych na po- dłodze, pochodzących od wiśni, żadnego śladu po zamordowanym nie wykryto. Chwycono tedy poetę i chciano zawlec na policję. Ale nagle jakiś piskliwy głos odezwał się w sieni: Wy łotry, szubraw- ce, czyście zwaryowali? Co wy tu chce- cie?

— Co tu chcemy, to się dowiesz, gdy ten łotr już będzie wisiał — z godnością odrzekł policyjant.

— A za co go chcecie powiesić?

— Za morderstwo swej żony! Te dwie oto ofiary i czci godne kobiety mogą pod przysięgą zeznać, jak ten łotr ją mordo- wał, i wrzeszczał, aż na ulicy było sły- chać słowa: «Musisz zginąć, musisz zgi- nać» i coś tam jeszcze okropniejszego. To jest wielki zbój, rebellant, rewolucjonista! Czy nieprawda? — krzyczał pan policyjant, zwracając się do opodal stojących kumo- szek.

— Tak, tak, wszystko prawda.

— Co? — wrzasnęła pani Biedziśława.

— Zaczynam wierzyć, żeście wszyscy na- prawdę powaryowali, a moje mieszkanie wzięliście za dom waryatów. Więc mnie, mnie tu zamordowano? — O mężu naj- droższy, powiedz złotko moje czybyś ty

mógł być tak okrutnym i zamordować twoją najukochańszą Biedziusię? — mó- wiła tkliwie, rzuciwszy się na szyję mę- żowi, który powoli zaczął rozumieć całą sprawę.

Przyłożywszy tedy wskazujący palec le- wej ręki do czoła, jakoby przywoływał niektóre wspomnienia i prostując się nie- co, rzekł podniośle:

— Tak jest, zamordowałem kogoś, bo mnie do tego zmuszono.

— Aha, słyszycie — zwrócił się poli- cyjant do tłumu — sam się przyznaje do zbrodni.

— I rewolucja też będzie — ciągnął dalej pan Chrząszczyk — i to już jutro, bo jest nieunikniona. Naród bardzo wzbu- rzony...

— No, i rewolucji wam się zachciewa. Ha, ha, poczekajcie szaleńcy już się wam tego odechce — przynajmniej na całą wieczność. Na suchych gałęziach będzie- cie dyndać! — wrzeszczał Gruby Woj- tek.

Ależ pozwólcie mi dokończyć — odez- wał się znowu poeta — otóż powstanie musi wybuchnąć, krew musi się lać stru- mieniami, bo sam nakładca gazety wy- raźnie tak sobie życzy. W przeciwnym razie nie zapłaci mi za romans, jaki pi- szę dla jego dziennika. Będzie to powieść z czasów rewolucji europejskich ślima- ków w roku dwutysięcznym. I właśnie w chwili gdy te czcigodne kobiety stały pod oknami odczytywałem moim kole- gom literatom dla oceny głośno i z uczu- ciem owe straszne miejsce, jak ślimak przebijał swym rogiem ostrygę. A że prawdą jest co mówię — oto dowód.

Na te słowa wyjął pan literat paczkę papieru zapisanego i przedłożył obu ur- zędnikom do przejrzenia. Na takie do- wody nie pozostało policyjantowi nic in- nego, tylko puścić jeńca wolno. Więc po- kiwawszy melancholijnie głową, dobył z kieszeni notatnika i zapisał weń: Pan Chrząszczyk «ein großer Unfund» — i nic więcej, ani morderstwa, ani rewolu- cyi, bo wszystko dźać się będzie na pa- pierze. Poczem przeklinając wielkouche kumoszkę, opuścili wszyscy dom poety.

CHŁOP NA JARMARKU.

Żyd: — Ny! gospodarzu! chodźcie! nie bójcie się! mój towar nie kąsa. Wy pewnie chcecie kupić kozuch?

Chłop: — Może i chcę.

Żyd: — Ja wiem, że chcecie. Teraz do zimy idzie, jakże taki znaczny gospodarz mógłby być bez kozucha? chodźcie no bliżej, przymierzcie, przekonajcie się jaka w nim ciepłość jest. A co? ny? wam się pewno zdaje że to kozuch?

Chłop: — A cóż ma być?

Żyd: — To jest pierzyna, to piec jest! to łaźnia! Co ja gadam? W łaźni nie jest tak ciepło, jak w tym kozuchu. Aj! waj! a jak on na was pasuje, wglądacie jak chrabo, jak prawdziwy chrabo, na moje sumienie, jak na was robiony.

Chłop: — Kiedy trochę za ciasny.

Żyd: — Co to za gadanie? Un wcale nie ciasny, a zresztą to nawet lepiej! Obcisło, to ciepło, przestrono, to wiaterek załatuje i zimno jest...

Chłop: — Eee... zawracanie gitary! dawajcie, spróbuję drugi.

Żyd: — Za co nie, można, — o, jest drugi! — Aj! wy macie szczęście do kozuchów, pierwszy był fajny, a drugi jeszcze lepszy! Sam plusz, sama wełna, same prawdziwe jesiotrowe sobole!

Chłop: — A juści «sobole, bo w plecy kole».

Żyd: — Jak znajdziecie na całym jarmarku lepszy kozuch, to niech ja nigdy nie choruje!

Chłop: — Juści, niegorszy kozuszyna, tylko że za duży!

Żyd: — Oj jej! Wy już nie macie większe zmartwienie? To właśnie cały smak w kozuchu. Jak większy to może być na wyrost, można pod spodem włożyć drugie kapote. Aj! cobym takie szczęściemiał, co w tego kozuchu wglądacie jak sam pan burmistrz.

ZE STARYCH KRONIK.

Na wozie jedzie ksiądz z jakimś socjalistą. Gdy przejeżdżał koło figury ksiądz zdjął kapelusz. Socjalista ów, chcąc się zabawić w dowcipnego, odzywa się do księdza, wskazując na kupę kamieni:

— A czemu to ksiądz dobrodziej nie kłania się tej większej kupie kamieni?

Chłop: — Kiedy jucha śmierdzi aż kręci w nosie!

Żyd: — Gdzie tam śmierdzi! To gatunkowe futerko, pachnie, jak cynamon.

Chłop: — A właśnie! cynamon! a siła kosztuje?

Żyd: — U mnie są stałe ceny, tak co by się nie targować, dacie trzydzieści papierków i noście zdrowi!

Chłop: — Trzydzieści papierków?! Ciego! jaki mądrala!

Żyd: — To drogo? za fokie rarytne futerko. Wy go będziecie nosić do śmierci, was szlag trafi, wasze dzieci cholera weźmie, a ten kozuch będzie jak nowy!

Chłop: — A ty złodzieju! to mnie ma szlag trafić! Ty kaifaszu zatracony, to ty będziesz mnie wyklinał! a masz hyciu twój śmierdzący kozuch, wsadź sobie na nos i sam noś, kiedyś taki psiawiara!

Żyd: — Ny, gospodarzu, co się gniewać bez racji! w handlu to się zawsze mówi takie komplementy i nikt się nie obrązi, a wy, aj! waj! taki gorący, jak herbata w samowar. Nu? ile dacie? ile dla was warto?

Chłop: — Chcecie dziesięć fajgli, ani grosza więcej

Żyd: — Zejno! tani kupiec; daleko za wami zanieść? dziesięć rubli? za dziesięć rubli kupcie sobie karakuly na gwint! — Nu, ostatnie słowo, dacie dwadzieścia?

Chłop: — Nie dam!

Żyd: — A piętnaście dacie?

Chłop: — Nie!

Żyd: — Nu a dwadzieścia tyż nie dacie?

Chłop: — Tyle nie dom!

Żyd: — Nu, niech ja strace, bierzcie. To tylko za to wam tak tanio sprzedają, żeby wam pokazać, że u mnie są stałe ceny!

Ksiądz nic nie odrzekł na to, tylko pyta:

— Panie, masz pan żonę?

— Mam!

— A całujecie się kiedy?

— Czemużby nie?

— A czemuż to pan tam nie całujesz gdzie więcej mięsa...



Przypowieści pana Wędysza.



Burka — to okrycie!
Lisy — to poszycie!
Dukat — to mi kwitek!
Miodek — to napitek!
Bigos — to potrawa!
Kulig — to zabawa!

Kiedy zbrojnie — to ze szablą,
Kiedy z miną — to już dyabłą,
Kiedy strojnie — to we złocie,
Gdy pracować — to już w pocie,
Bankietować — to już szumnie,
Sejmikować to już tłumnie!

Gdy kto w biedzie — to zaradzić,
Gdy dać słowo — to nie zdradzić,
Stroić żarty — to niewinnie,
Przyjąć kogo — to gościnnie.

Kiedy gardzić — to podłością,
Kiedy mówić — to z szczerością,
Gdy kto oszust — to go łaj,
Gdy pocziwy — rękę daj!

Gdy się bratać — to z równymi,
Gdy mieć litość — nad biednymi,
Gdy się modlić — to już szczerze,
Kiedy wytrwać — to w swej wierze,
Kiedy cierpieć — to wytrwale,
Kiedy kochać — to już stale.

Kiedy jeździć — to już sanna,
Kiedy szaleć — to za panną.

Kiedy wspierać — to rodaka,
Kiedy tańczyć — krakowiaka,
Sasiadować — to spokojnie,
Gdy obdarzać — to już hojnie,
Gdy docierać to — z obcesem,
Kiedy niszczyć — to z kretesem!

Gdy wyśmiewać — to już mody
Gdy miłować — to swobody,
Kiedy hulać — to z drugimi,
Kiedy umrzeć — to w swej ziemi.

— 1338 —

Ile kosztowała świątynia Salomona.

Świątynia Salomona była jednym z siedmiu cudów starego świata, nie ze względu na jej wielkość, lecz na jej wspaniałość i sztuczne wykończenie.

Biblia podaje dokładnie rozmiary świątyni, że była 60 łokci długa, 20 łokci szeroka a 30 łokci wysoka. Łokieć ma 18 cali, a więc była 90 stóp długa, 30 stóp szeroka a 45 stóp wysoka.

Wprawdzie niewielkich to rozmiarów była cała ta budowa a pracowano nad jej wykończeniem aż 7 lat.

Fundamenta i ściany były z wielkich ciosanych kamieni, 9 stóp grubości. Ściany z wewnątrz były wykładane cedrem, przywiezionym z gór Libanu, rzeźbione w śliczne desenie i kwiaty, palmy i Cherubiny i pozłacane szczerem złotem. Drzwi i podłoga były z drzewa świerkowego, wykładane i ozdabiane szczerem złotem;

zaś dach był z cedru, również pokładany złotem.

«Święte Świętych», w którym była schowana Arka przymierza a do której przystęp wolny był tylko wyższym kapłanom i to tylko raz w roku, było umieszczone w samym końcu świątyni, 15 stóp głęboko. Nawet gwoździe, któremi była zbijana ta skrzynia, były ze szczerego złota.

Przy ścinaniu i ciosaniu drzewa na Libanie było zatrudnionych 10.000 ludzi; 70.000 do noszenia ciężarów; 20.000 kamieniarzy, a 3.300 dozorców i bossów, a pracowali wszyscy przez siedm lat a ich płaca także wynosiła pokaźną sumkę, \$69.385.440 włącznie z żywnością dla nich. Sam król Dawid nałożył na tę budowę tysiąc talentów w złocie i srebrze, które wreczył królowi Salomonowi a sam Salomon poświęcił na tę budowę jeszcze o

wiele więcej ze swego własnego skarbcza. Wartość złota, srebra i mosiądzu, użytego do budowy tej świątyni, obliczono na \$34,399,112,500. Wartość klejnotów i drogich kamieni wynosiła również tyle. Historyk Josephus pisze, że złote naczynia w tejże świątyni były wartości 140.000 talentów, co się równa \$2,716,481,015. Srebrne naczynia były wartości 1,340.000 talentów srebra, to jest \$2,446,720,000. Srebrne szaty kapłanów kosztowały \$50.000. Purpurowe szaty śpiewaków \$10.000.000. Same trąby kosztowały \$1,000,000 a inne instrumenta muzyczne \$200.000 Kamienie i drzewo obliczono na jedną trzecią wartości samego złota, t. j. \$11,726,480,000. Król Salomon po ukończeniu budowy świątyni, robotnikom oprócz ich płacy regularnej, dał jeszcze jak to mówią «na lepszą» różnych prezentów w sumie \$33,669,885. Cała suma tych wydatków wynosi \$51,803,098,840.

To też niema się co dziwić, że świątynia Salomona była uważana za jeden z największych cudów na ziemi. Był to jednym słowem klejnot, najpiękniejsze dzieło sztuki ludzkiej i najwykwintniejszy budynek w świecie.

Nie wszystkim nawet kapłanom był dozwolony wstęp do niej, tylko niektórym z nich było dozwolone podczas odprawiania obrzędów religijnych, wstępować do miejsca, gdzie był ołtarz z kadzidłami i chlebem podkładnym. Zaś lud i pielgrzymi mogli dochodzić tylko do przedsionka świątyni.

To też chciwość złota i bogactw spowodowały Babilończyków do zrabowania i zburzenia świątyni Jeruzolimskiej.

Ale teraz narzuca się pytanie, skąd król Salomon nabral tyle złota na ozdoby świątyni Jeruzolimskiej?

Południowo-wschodnie wybrzeże Afryki nie zwabia dziś do siebie ludzi w jakimkolwiek bądź celu, należy ono głównie do pustego terytorjum portugalskiej wschodniej Afryki. Wnętrze jest dzikie i słabo zaludnione, jak również miasta Sofala i Mozambika są o niewielkiej wartości komercyjnej, a jednak są dowody, że było ono miejscem jakiegoś ruchu przemysłowego w dawnych czasach.

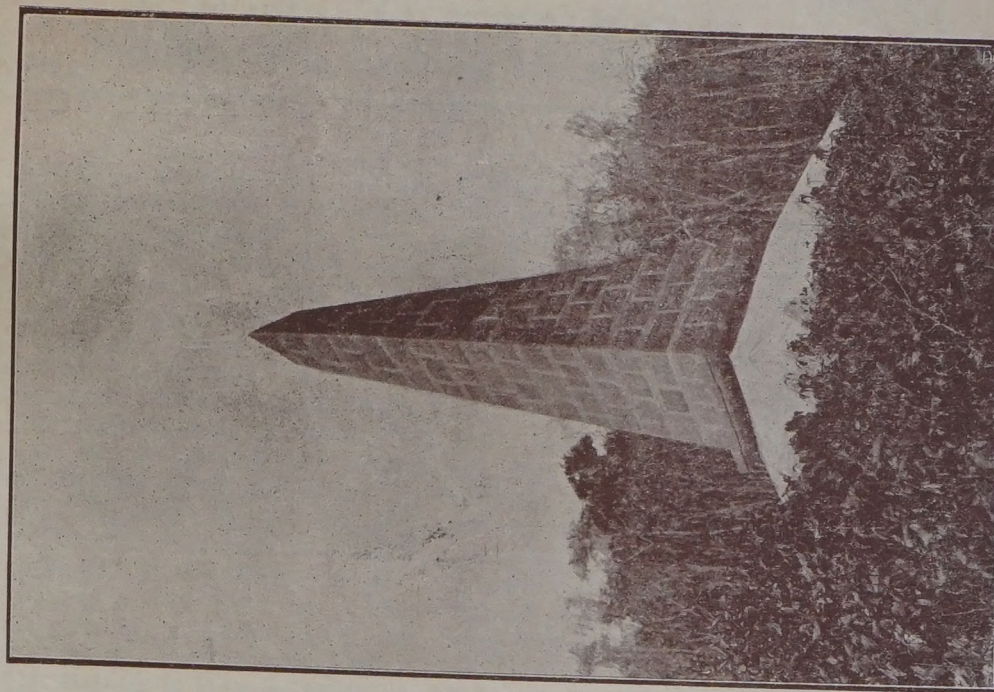
Tak n. p. upadłe miasto Nowgorod w Rosyi było kiedyś stolicą władców północno-wschodniej Europy, pustynia Mekran w Beludżystanie była kiedyś wielką i znaną drogą przewozu towarów, tak samo są dowody dostateczne, że region za Sofalą, część którego jest znaną dzisiaj jako Maszonaland, był kiedyś w ruchu przemysłowym, dopóki tam były kopalnie złota. Widać tam jeszcze ruiny starych budynków i zasypane stare szyby kopalniane. Jedna z takich osad jest do dziś dnia znaną pod nazwą «Zimbalawe». Ze śladów owych starych budowli wnioskować można, że eksploatory tych kopalń nie należeli do artystycznych ras; nie mogli to być Egipcjanie ani Fenicyjanie, raczej przypuszczać można, że byli to Arabi, którzy jeszcze przed erą maho-metańską, uprawiali handel, a szczególnie Sabejczycy z Yemen, którzy znaleźli kopalnie złota na wschodnim wybrzeżu Afryki.

Odległość z Adenu do zatoki Delagoa jest około 2600 mil mniejsza niż z Tyru do Sycylii, więc prawdopodobnie że Arabi drogą wodną tam się dostali i osiedli a bardzo możliwym jest, że kraj ten był ziemią Ophiru, skąd Salomon przywoził złoto, a wiadomo nam, że okręty ładowne złotem przyływały z Ezion — gebir przez Czerwone morze. Wiadomo nam także, że Salomon miał nawiązane stosunki z Sabejczykami.

Podróż to była długa i uciążliwa, za ledwie parę okrętów przybywało do Egiptu raz w przeciągu trzech lat.

Jeden z podróżników twierdzi, że Ophir był gdzieś około Sofali, a główną osadą tamże była Fura. Królowie Syryjscy już w roku 900 przed Chrystusem budowali okręty do wyprawy po złoto do wschodniej Afryki.

Ptolemeusz mianuje w swych opisach kilka miast, jedno z nich podaje, że było pod 16°—25 na północ i nazywa go Prassium, coby wypadło gdzieś około kilimane u ujścia rzeki Zambezi. Ruiny tych starych osad zniszczył kiedyś pożar, jak ślady i zgliszcza wskazują a odnaleźli je mieszkańcy z Mogadozo w r. 1000 A. D. i znów kopali złoto, skąd Salomon je prawdopodobnie przywoził.



Stup graniczny pomiędzy Brazylią, Argentyną i Uruguajem.



Widok z Nowej drogi pomiędzy Guarapuawą i Foz do Ignassú.

MRÓWKI.

Wrona nie wykole drugiej oczy, i wiley nie pożerają się wzajemnie. Prawdopodobnie, aby się odznaczyć od tych niskich i zuchwałych zwierząt, człowiek inaczej postępuje. Seiga i zabija swych współbraci, nazywa to filozoficznie walką o byt i powiada, że to jest hasłem i ogólnym prawem natury. W świecie zwierzęcym atoli istnieje mała istota, która nie jest filozoficzną, która jednakże umiała w swym społecznym życiu zaprowadzić instytucje i solidarność, o których Plato, Thomas Moore, Bellamy i inni marzyli. Angielski badacz natury Sir John Lubbock szczegółowo się zajmuje mrówkami i jest jednym z najlepszych entymologów. Wyszła z pod jego pióra książka pod tyt: «Piękności natury i cudy świata, w którym żyjemy».

Lubbock i jego współpracownicy przyglądali się kolonji mrówek, która liczyła nie mniej niż 500 tysięcy mieszkańców, i mogli zauważyć, że nigdy nie było sporu pomiędzy tym półmilionem kolonistów. Mrówki jednak prowadzą wojnę z innymi owadami i nawet z mrówkami innego rodzaju i można także zauważyć nieprzyjazne kroki pomiędzy różnymi kolorami jednego i tego samego rodzaju mrówek. Lecz nigdy nie powstaje spór w jednej i tej samej kolonji. Mrówki należące do jednej kolonji żyją w największym braterstwie ze sobą. Angielski badacz natury usiłował przesadzić mrówki z jednego gniazda do drugiego, którego mieszkańcy należeli do tego samego gatunku. Intruzów wypędzono natychmiast. Stąd też niewątpliwie wynika, że mrówki jednej i tej samej gminy się znają i muszą mieć znaki, po których się poznawają. Lubbock często dzielił gniazdo na dwie części i zawsze spostrzegał, że mrówki się poznawały i jak najserdeczniej witały się, choć długo były rozłączonymi. W jednym przypadku trzymał połowy rozdzielone przez dwa lata w oddaleniu jednej od drugiej, gdy je znowu do siebie przybliżył, mrówki poznały się natychmiast. Wskutek tego przypusz-

czają, że mrówki mają zewnętrzne znaki lub też rodzaj niemej mowy, którą się od siebie różnią.

Aby się przekonać o prawdzie tego przypuszczenia, unieprzytomnił je Lubbock, naprzód użył w tym celu chloroformu lecz to zabija je, a na nieżywych zwierzętach nie mógł robić doświadczeń. Potem usiłował je upoić za pomocą alkoholu, lecz ani jedna mrówka nie chciała go skosztować. Lubbock upoił je następnie w ten sposób iż je wrzucił do alkoholu. Wziął 25 mrówek z jednego gniazda, 25 z drugiego, upoił je tak, iż zdawały się być nieżywymi i zaopatrzył każdą w czerwony znak. Te — unieprzytomnione mrówki wsadził do małego, ściśle zamkniętego naczynia, do którego także wpuścił trzeźwe mrówki, które wziął z jednego z gniazd. Przybysze spostrzegły natychmiast pijane mrówki i okazywały nawet zdziwienie, że znalazły swych towarzyszy w takim stanie. Widocznie były zatrwożone i nie wiedziały, co począć z ich towarzyszami. Nasamprzód rzuciły się na mrówki z obcego gniazda, zanosły do krańca naczynia i wrzuciły do wody, która się przy boku w innym naczyniu znajdowała. Pijanych swych przyjaciół zaś podniosły ostrożnie i zanosły do własnego gniazda. Tam wytrzeźwiały upojone mrówki powoli. Widoczną jest rzeczą więc, że mrówki się znają pomiędzy sobą, chociaż nie mają sposobności wymijania znaków.

Próba ta dowodzi także, że pomagają sobie w razie niebezpieczeństwa. Znaną jest rzeczą, że wiley opuszczają chorego lub rannego towarzysza lub go zupełnie zabijają. Zupełnie inaczej postępują mrówki. Lubbock zauważył pewnego dnia w gnieździe mrówkę, która nadwyreżyła nogę tak, że nie mogła biegać, przez trzy miesiące pielęgnowały ją i żywiły inne mrówki. Inna mrówka nadwyreżyła rożek nitkowy. Przez kilka dni nie opuściła gniazda. Nareszcie wybiegła, aby pracować, lecz nieszczęśliwa jej gwiazda zaprowadziła ją w drogę

mrówki z innego gniazda, która się natychmiast na nią rzuciła, skoro ją tylko spostrzegła. Lubbock chciał je rozłaczyć, lecz może nie był dosyć zręcznym, lub też natarczywość nieprzyjaciela była za gwałtowna, dosyć, że bezsilna mrówka została jeszcze bardziej poranioną i pozostała, jakoby nieżywa, na ziemi. Niektóre mrówki przebiegły obok niej, bez zważania na nią, lecz nareczie przybliżyła się mrówka z jej własnej kolonii i ostrożnie ją zaniosła do jej gniazda.

Znaną jest rzeczą, że skoro mrówka lub pszczoła odkryje żywność, inne pszczoły i mrówki przybywają. Jakże uwiadomiamy mrówki swych towarzyszy o odkryciu? Czy je przywołują lub je też przyprowadzają na miejsce? Angielski badacz zrobił kilka prób pod tym względem. — Pewnego chłodnego dnia były mrówki Lubbocka w ich kolonii. Jedyna jedna tylko bujała w oddaleniu 6 stóp od mrowiska. Lubbock wziął nieżywą muchę, utkwił ją na igłę, którą postawił na kawałku korka, a ten

postawił w pobliżu bujającej mrówki. Ta usiłowała ściągnąć muchę, lecz na jej zdumienie owad się nie ruszał. Około 20 minut daremnie usiłowała muchę ściągnąć. Wtenczas pobiegła do mrowiska i w kilka sekund powróciła z 20 towarzyszkami, dążyła wprost do muchy i połączone usiłowania uwolniły zdobycz z igły. W tryumfie zawleczono lakość do gniazda. Mrówka więc doniosła towarzyszom, że tam na dworze znajduje się praca, która potrzebuje połączonej siły i że trzeba iść za nią. Lubbock pisze, iż nigdy nie widział, iżby mrówka w takim przypadku wysłała tylko towarzyszy, aby wykonać pracę, zawsze pobiega po nich, przyprowadziła ich i wypełniała pracę wraz z niemi.

Widzimy, że nowe badania Lubbocka o mrówkach nas pouczają, że mały ten owad jest jedyną istotą, która słusznie może rościć sobie pretensje do hasła: Wolność, Równość i Braterstwo.

Przejdźcie przez Rzekę.

Humoreska.

Komitec wystawy ogrodniczej odstąpił mi bezpłatnie obszerny pawilon, abym w nim urządził dyoramę. Wykonałem obraz dyoramiczny, przedstawiający «Przejdźcie przez Niger».

Rzecz namalowana sumiennie, wielkim pracą nakładem, mogąca zająć, jak mniemam, szeroką publiczność. Na pierwszym planie woda, przez którą przepływają hipopotamy, dalej murzyńskie łódki rybackie, w głębi widać parostatek, na którym majtkowie roznieścili ogień, wieczerezę sobie gotując.

Temat obrazu nie miał wiele wspólnego z wystawą ogrodniczą, że jednak na dole obrazu było kilka lianosów, które przecie należą do dzikiego, afrykańskiego ogrodnictwa, przeto prezes zgodził się na mój temat, odstępując mi wszystkie zyski z wystawy, nie odpowiadając jednak za żadne straty.

Jeśli na wystawie lekarskiej mogą

dostać medal «zdrowotne» wódki, w których jest spirytus, trutka rybia i gliceryna, dlaczegożby na wystawie ogrodniczej nie mógł być afrykański Niger? Na budzie mojej przybiłem afisz:

Przejdźcie przez rzekę.

U wstępu posadziłem bileterkę i ze założonemi rękami czekałem laurów moralnych i finansowych. Były one nadzwyczaj smutne.

W pierwszym dniu nie przyszedł na dyoramę prawie nikt, choć tysiące ludzi po wystawie ogrodniczej chodziło. Oglądali okazy ogrodnicze, rozłożone na bufecie, gdzie przejezawy zbożowe okazywały się w ostatecznej swej formie jako spirytus.

Koło dyoramy przechodzili ludzie, czytali afisz i odchodzili.

- Przejdźcie przez rzekę.
- To nic osobliwego.
- Znowu 10 kopiejek.

- Co to jest dyorama?
- Jest to rodzaj menażerji.
- Nie, to obraz...

Wieczorem przyszedł do kasy dyoramy prezes wystawy.

— Jakże tu idzie? Myśmy mieli sześćset rubli. A tu?

— Tu był jeden rubel i dwadzieścia kopiejek.

— Ależ to okropne.

— Jużci.

Pan stracisz z kretesem. Ile pana kosztuje ta dyorama?

— Wraz z urządzeniem trzysta rubli.

— Bój się pan Boga, trzeba przecie coś zrobić, żeby się pan z pieniędzmi wycofał.

— Cóż tam począć?

— Ach... rozumiem już, dlaczego ludzie do pańskiego pawilonu nie idą.

Dlaczego?

— Musisz pan zmienić afisz: «Przejdźcie przez rzekę». Przecie to nieciekawy tytuł. Dlaczego pan taki dał a nie inny? Trzeba tytuł więcej interesująco zredagować, to ludzie przyjdą. Naprzykład: «Przejdźcie przez Niger w centralnej Afryce».

— Niger jest w zachodniej Afryce.

— To wszystko jedno. Jego źródła leżą trochę w centralnej.

Posłuchałem prezesa. Wydrukowałem i przybiłem afisz:

Przejdźcie przez Niger w Centralnej Afryce.

Nazajutrz w kasie było ośm rubli i trzydzieści kopiejek.

To za mało, panie, to za mało — mówił prezes. — Wystawa ogrodnicza trwa zaledwie tydzień, licząc więc ośm rubli dziennie, zbierzesz pan zaledwie niecałych siedmdziesiąt rubli. Bardzobym się zmartwił, gdybyś pan przy nas stracił. Trzeba zaostrzyć tytuł.

Musiąłem przyznać prezesowi słusność.

Na drugi dzień na budzie dyoramy jaśniał wielki afisz:

Dziki Hipopotamy przepływają przez Niger w Centralnej Afryce.

Ludzie zaczęli się pchać. Sprzedaż biletów szła rażno. Rodziny całe wcho-

dzili wraz z dziećmi do środka, biorąc po kilka naraz wstępów. Kasa wykazywała po trzydzieści rubli dziennie. Nie wielka to była pociecha, deficyt bowiem był niewątpliwym.

Poszedłem na posiedzenie komitetu, żaląc się, że członkowie tegoż nie zastanowili się nad tem, co czynią, gdy zachęcali mnie do wzięcia udziału i urzędu dyoramy.

— Powinniście panowie byli to przewidzieć i nie narażać mnie na materialną stratę.

— Rachuby nas omyliły.

— Stawiam wniosek — rzekł prezes — aby deficyt dyoramy pokryć z funduszów komitetu. Ubolewamy ogromnie nad obojętnością dla sztuki i zgodzić się nie możemy, aby wykonanie tego obrazu przyniosło na naszej wystawie straty.

— Nie zgadzam się — rzekł skarbnik. — My sami będziemy mieli deficyt, niewielki wprawdzie, taki jednak, że odbije się boleśnie na naszych kieszeniach.

— My się również nie zgadzamy.

Wniosek prezesa upadł ogromną większością.

— W takim razie ratuj się pan afiszem.

— Jakim afiszem?

— Wydrukuj pan ostrzejszy afisz. Piękny afisz robi kasę. Konceptu chyba nie braknie. Dziś i jutro mamy festyn, gromada ludzi się zbierze, możesz się pan jeszcze wycofać w całości. Pojutrze zamykamy wystawę, jeśli zaś przez te ostatnie dni dopisze pogoda, to i my bez deficytu wystawę skończymy.

Nie chciałem używać takiej sztuczki, jaką jest jaskrawo zredagowany afisz; że jednak majątku nie mam, a deficyt jak nóż leżał mi na gardle, musiałem pójść za radą prezesa. Pod wieczór zjawił się na pawilonie ogromny afisz:

Czarowna noc na Nigrze pełnym afrykańskich hipopotamów w głębi statek z murzyńskimi ludożercami.

Na drugi dzień przy kasie panował natłok. Pieniądzy było już razem sto

trzydzieści rubli. Ludzie wchodzili i wychodzili. Klęli prawie wszyscy.

- Tam przecie niema murzynów.
- Ledwie łódkę jakąś z tyłu widać.
- Błaga amerykańska.
- Pisce afisz, że tam są afrykańskie hipopotamy tak, jak gdyby były hipopotamy europejskie.
- Są wydrwigrosze europejskie i osły europejskie.

— Żeby djabli wzięli prezesa wystawy i malarza, który to malował.

Z dyoramy wyszedł jakiś człowiek. Szukał w tłoku kogoś oczami, dojrzałszy zaś mnie w tłumie, zbliżył się szybko. Z twarzy jego poznałem, że jest na mnie wściekły. Umitygował się jednak i z uprzejmym wyrazem twarzy rzekł:

- Załóż pan ze mną na spółkę sklepik.
- Ja? sklepik?
- Pan masz talent.
- Do sklepikarstwa?
- Do interesu. Nie bój się pan o pieniądze, bo ja dam pieniądze. Pan będziesz tylko redagował inseraty do dzienników i godła przybijane na sklepie. Pan masz ogromny talent. Z panem można robić interesy. Kto takie bezczelne afisze umie pisać, ten nie zginie na świecie.

— Chciałem interlokutora zwymyślać, gdy przybiegł do mnie zdyszany, spocony, zziębnięty prezes. Na twarzy jego było widać gorączkę, ruchy wyrażały rozstrojenie. Mówił urywanemi zdaniem.

— Barometr spada! Drze mnie w nogach! Deszcz! Ratuj się pan! Acetylenowe oświetlenie! Deficyt! Djabli wzięli! Afisz zaostrzyć!

- Jest już zaostrzony.
- Za mało! Bankructwo! Deficyt! Ratuj się pan! Ratuj!

Zaczęło i mnie drzeć w nogach ze strachu przed deficytem. Zatelefonowałem do drukarni, zamawiając nowy afisz. We dwie godziny go przyniesiono. Czuć go było zdaleka czernidłem drukarskim, zaraz jednak kazalem rozlepić:

*W dziewiczym borze Afryki Centralnej
Stado wściekłych Mandryłów.
Hipopotamy w nurtach Nijru
wiją się w boleściach.*

*Na fali oskalpowani ludożercy
jedzą żywcem ewangelickiego
misjonarza.*

Skutek afisza był olbrzymi. Trzy tysiące ludzi zgromadziło się około pawilonu.

- Puszcząć!
- Nie pchajcie się!
- Proszę biletów dwadzieścia.
- Czy dla dzieci jest cena wejścia zniżona do połowy?

— Proszę nie zawracać głowy teraz dziećmi, bo na to niema czasu. Publiczność chce widzieć wspaniałe dzieło sztuki, a pan kasjerce o dziecinnych biletach prawisz.

- Na bok!
- Rozstąpić się!
- Stójkowy!
- Mdleję!
- Mój pugilares! Pugilares mi ktoś buchnął! Złodzieje!
- Proszę o resztę rubla!
- Nie ma czasu na resztę. Tysiące ludzi nie będzie czekać, aż panu resztę wydadzą.

— Jesteś pan grubijanem.

Natłok przy kasie był nieopisany. Szczęście czy nieszczęście chciało, że podczas gdy gromady ludzi szły do wnętrza pawilonu, to część widzów zaczęła go już opuszczać. Wychodzili z drzączką nerwową, twarze ich pasowe pałały ogniem.

- Ludzie, tam jest skandal.
- Tam jest skandal jakiego jeszcze świat nie widział.

— Słyszysz? tam pokazują jakiś skandalik. Coś pikantnego. Chodźmy.

- Proszę pięć biletów.
- Dzieci nie brać.
- Dzieci nie brać.

— Maniusiu i Loleczku, wy zostaniecie na polu, a tatuś z mamusią wnet tu przyjdzie. Nie odchodźcie od barjery.

Po ogrodzie rozeszła się piorunem wieść, że w dyoramie jest skandal. Wszystko runęło ku pawilonowi. Bufetowy, który od godziny kieliszka wódki nie sprzedał, mając także deficyt, chciał sobie z rozpachy gardło poderżnąć.

- Biletów ośm.
- Prędeż.

— Czy się mam pani prosić o bilety? Za moje pieniądze mam jeszcze kogo po rękach całować?

- Nie pchać się!
- Powoli!
- O!

Tymczasem rosła gromada ludzi, którzy wystawę opuszczali. Widok ich przeraził mnie do szpiku kości. Ludzie ci latali jak opętani.

— Gdzie jest autor? — krzyczeli ścisłkając w rękach kije. Gdzie jest autor? Szwindel jakiego świat nie widział!

— Nie daruję. My musimy go znaleźć, o musimy!

Gromada ludu rozplomienionego żądzą zemsty, zwiększała się z każdą chwilą. Podczas gdy połowa z nich przeszukiwała z kijami ogród, druga połowa na grubej gałęzi grabowej przywiązała pętlicę. Sznur zakończony kołkiem złowrogo huśtał się w powietrzu. Do gałęzi przywiązywał go jakiś jegoś, który syczącym głosem zapewniał otoczenie:

— Nie urwie się, o! nie urwie.

Widziałem to wszystko z poza gęstych krzaków głogu, w których byłem ukryty za barjerą. Przypilem się do ziemi jak liść osiczyzny. Gdyby można uciec, gdyby można!

Ludzie, którzy po ogrodzie za mną się uwijali, wrócili znowu pod pawilon.

W DALEKĄ IDĘ DROGĘ!

W daleką idę drogę, daleką,
Strudzony — unużony —
Górę za górą, rzekę za rzeką
Mijam, w nieznane dążąc strony...
A jakaś wielka moc tajemna
Dalej — wciąż dalej wlecze,
Za mną — przedemną noc wkoło ciemna,
Ślepe obłądy człowiecze.
Lata już idę — o, długie lata
I nigdy mi wytchnienia...
Jużem połowę uszedł świata,
A nie zbył tęsknic brzemienia.
I jeno czasem chwilę stanę,
Gdy dłoń mnie dobra wstrzyma:
Usłyszę słowo, dawniej znane,
Błademi zawisnę oczyma..

Zmieszali się z gromadą przeklinającego tłumu.

- Niema go? No to my znajdziemy prezesa wystawy. On jest współnikiem.
- Ten lotr! Ten szachraj!
- Podpalić tę budę!
- Pyszna myśl! Podpalić!
- Pierwej z prezesem na hak!
- Na hak z nim! Hurra!

Stała się rzecz niepojęta. Nagle zagasły dwa elektryczne światła około pawilonu. Ciemno było, że oko wybijał. Wyczołgałem się z krzaków i chyłkiem przepelzałem do kasy dyoramy. Nie zauważył mnie nikt.

— Ile jest w kasie? — zapytałem biletarki.

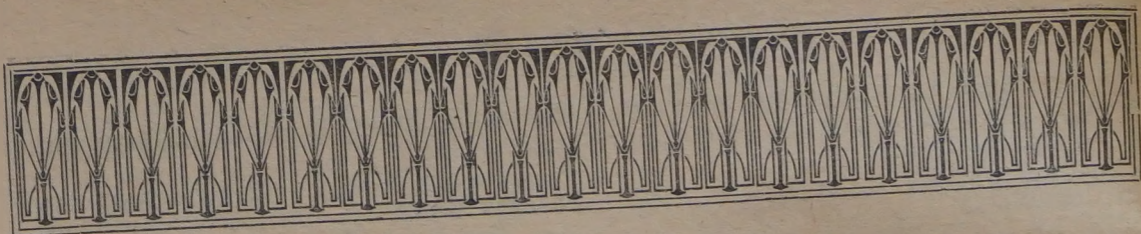
- Przeszło trzysta rubli.
- Dawaj je pani.

Chwyliłem zwój banknotów i wymknąłem się milczkiem. Koło drucianego płotu przeszedłem przez klomb, stamtąd w krzaki, z krzaków na parkan, przez parkan na ulicę. Uciekałem pędem kurjera. Dopiero na piątej ulicy odetchnąłem nieco.

Na zachodzie ukazała się luna. To pawilon mój gorzał. Był ubezpieczony wraz z obrazem.

Wolniejszym już krokiem poszedłem ku kolei. Koło mnie dźwigali ludzie na noszach jakiegoś człowieka. Poznałem go w tej chwili. Był to prezes wystawy.

I wnet tę przystań krótką żegnam
By dalej wlec błędne kroki,
A choć niedoli swej nie przegnam,
Odechodzę w mych smętnic mroki,
I niemasz dla mnie ulgi tchnienia
Przy życia katorżnej taczce,
Ani mi chwili odpocznienia
W dośmiertnej tej tułacze.
Okaleczałe już me nogi,
Siwizna prószy skronie,
A wciąż daleki cel mej drogi
W oddali łzawej tonie.
I już się moc wytrwania kruszy,
I życie het ucieka...
I tchu mi już wnet braknie w duszy...
Nie dojdzie człek — i nie doczeka..



ZALOTY WICKA.

POWIASTKA

STANISŁAWA SANDOMIERZAKA.

Dzień kończył się. Słońce wolno kryło się za las sąsiedni, z pola wracali uznojeni kmiecie, bydło pędzono do obór, duże tumany kurzu wlewały się po drodze. Młode chłopaki ścigając się na koniach podążali do studni znajdującej się w środku wsi.

Wieś to była piękna, i miarkując po schludnych domkach, po ładnych czystych ogródkach, zamożna. — Lud wesoły, czerstwy, piękny, kręcił się wokoło, przechodził z uśmiechem i piosenką na ustach.

Choćbyśmy przesadzili zbyt, powiemy, że wieś wyglądała jak rodzina, tyle życzliwości, tyle prawdziwej swobody objawiało się we wzajemnych stosunkach jej mieszkańców.

Już i mrok przyciemnił niebo i poczerniały pola, w uliczkach wsi zrobiło się szaro jak zwykle wieczorem, gdy dwóch kmieci zwolna szło przez wieś ku domowi.

— Nie wzdrażajcie się Mateuszu, nie odmawiajcie zacnemu chłopcu; boć to i z dobrego gniazda dzieciak, i ta wasza Marychna łąnie jakoś do niego.

— Ba! łatwo zgadnąć — rzecze Mateusz — że się dwoje młodych kocha i miłuje. Czemużby Wicek nie miał kochać Marychny, kiedy za nią cała wieś przepada. Starzy i młodzi garną się do niej. Przecież Walenty nie dawno, bo przed

tygodniem, przysłał swaty, a mówiąc między nami, to człowiek stateczny, trzeźwy i młody wdowiec.

— Zawsze jednak wdowiec. Chować cudze dzieci ciężko, a już swary i kłótnie najłatwiejsze. Choćby im kobieta drugą matką była, nie dogodzi, bo dzieci z niedowierzaniem na macochę patrzeć będą.

— Co prawda to prawda, jednakże uważcie sami, że Walenty i Wicek to wielka różnica, Tamten poważny a ten szalała, bałamut.

— O! O! bałamut! Co też mówicie. O bałamuctwie żadnym nie słyszałem, a że wesół, toć młody i zdrowy. My starzy zapominamy prędko, jak sami kiedyś byliśmy takimi. Skacze żreback i sady przez płoty i rowy, ale niech go zaprzęgą do wozu niech kilka lat pochodzi przy bronie, opuści uszy, uspokoje się, aż wreszcie trzeba użyć bąta byle z miejsca ruszył. Tak i z Wickiem. Ożeni się, odmieni, zobaczycie.

— Moi kochani, ja też wcale nie tamuję, nie opieram się życzeniom waszym. Były przecież zrekowiny, ale na ślub niech poczekają jeszcze. Pół roku nie tak wielki przeciąg czasu, Marychna też za bardzo młodziutka.

— No! no! nie mówcie tak o niej. Dziewczyna choć młoda, ale gospodarna

i zapobiegliwa, w domu rządzi jak pierwsza białogłowa.

I wszystko idzie u was jak z płatka.

— I u nas podobno nie inaczej, Wicek aż się pali do roboty, a Józefka zna się na gospodarstwie aż miło.

— Widzicie, ganiliście go, tymczasem...

— O robocie mowy nie ma; byłbym nie poczciwy, gdybym zarzucał chłopakowi lenistwo, tylko powtarzam jeszcze, za palona pałka. Jak tylko wejdzie w kompanię, a czego Boże broń, odezwą się skrzypki, to już chłopak przepadł, hula choćby odrazu miał wyzionąć ducha. Teraz, to jeszcze pół biedy, choć się zabałamuci do nocy późnej z przyjaciółmi, choć powraca do domu nad świtem senny i zbiedzony; ale kiedy pójdzie na swoje, a zapomni o domu, o żonie...

— Jak was kocham, byłem za młodu taki sam kubek w kubek. Czy jednak nie wychowałem dzieci, jak Bóg przykazał, czy z nieboszczką swarzyliśmy się kiedykolwiek? Czy zmarnowałem choć grosz z ojcowizny? A widzieliście mnie pijanym, na tańcach.

— Prawda, i dlatego to właśnie zgodziłem się na wasze żądanie, ale Bogiem się na wasze żądanie, ale Bogiem się świadczę, żal mi Walentego. To właśnie byłby mąż dla mojej córki. No ale co Bóg da niech się dzieje wola Twoja Panie! No, bywajcie zdrowi, czas do chałupy, już późno. Chłopak wasz niezawodnie pewnie wywija w najlepsze?

— Co zaś znowu, przecież to nie żadne święto.

Mateusz powoli poszedł dalej, Kasper stał jeszcze jakiś czas zadumany, boć to o jego chłopcu była pogawędka, a jako ojciec, bolał nad tem, że mu syn jako nie dopisywał.

Poskrobał się po głowie, niecierpliwie pociągnął za wąsy i powlókł się niechętnie ku karczmie.

Karczma pełna ludzi i gwaru, przy so-

bocie najechało się furmanek, przystanęło kilku obcych i powoli rozpoczęła się pogawędka przy kieliszku.

Kmiecie lubią wstąpić na poczęstunek, lubią wzajemnie pogwarzyć o ciężkich czasach, o drożyznie, a jeżeli dołączy się do tego, jaki wypadek, chcący nie chcący schną kwaterki, głowa się często zapruszy. Było też i kilku młodych parobczaków, a między nimi najdzielniejszy i najweselszy Wicek Bruzda. Z czapką na ucho, z założoną ręką za pas prawił coś a prawił, śmiejąc się i podśpiewując. Samo zdrowie kwitnęło mu na twarzy, paliły się oczy młodością.

Urodzony też był jak rzadko i nic dziwnego, że dziewczuchy z westchnieniem spoglądały za nim z okienka, kiedy drogą przechodził.

Syn zamożnego gospodarza, taki mąż przydałby się dla niejednej. Chłopak lubił kompanijkę, jak się dostał między przyjaciół a znajomych, oddał grosz ostatni i hulał też wówczas bez miary, bez zastanowienia.

Jedni kiwali na to głowami niechętnie, inni śmiali się, dowodząc, że młoda krew ochłodzi się w prędcie i młody parobczak spoważnieje.

Nikt jednak nie cierpiał bardziej nad tem, jak Marychna.

Kochała ona go duszą całą. Razem wychowali się, domy ich rodziców stały tuż obok siebie, widywali się codziennie, i ze znajomości przelotnej, doszło do przyjaźni serdecznej, a potem wreszcie i do gorącej miłości.

Wicek przysłał swaty, przysłał je także i Walenty młody wdowczyk, równie urodziwy choć poważniejszy i gospodarz na swoim.

Ojciec z ochotą oddałby córkę wdowcowi, bo stary doświadczony człowiek przeczuwał szczęście dla swojej pieszczotki.

Walenty był mężczyzną dojrzałym, pew-

nym, nie żadnym świeszczypałą: z pierwszą żoną żył uczciwie i chłopaka chował jak należy, choć mu zabrakło do pomocy kobiety.

Ba! ale Marychna nie patrzyła na wdowca; co jej po słoneczniku, gdy mogła mieć powój.

Młody Bruzda był kraśny, jak mak w ogrodzie, śmiały, wesoły, tancerz zawołany i silny jak wolik. Młodość wabiła się młodością i serce też silniej biło do parobczaka niż do gospodarza.

Stało się jak chciała: wdowiec odszedł z arbuzem jak nie pyszny, a Bruzda otrzymał słowo ojca.

Oboje młodzi nie posiadali się z radości, wdowiec chodził jakiś smutny i skwaszony, ale jednak nie tracił nadziei. Dla czego? Łatwo zgadnąć. Młody Bruzda po zrękowinach zaczął hulać na nowo, i nie było prawie niedzieli, żeby nie ugaszczał znajomych. Jednego nawet dnia co dotąd jeszcze nie bywało, nie pokazał się w polu. Spotkawszy się ze znajomymi, żegnał wesoło kawalerski stan, i zupełnie nie trzeźwy powrócił nad ranem.

Ojciec zmartwił się ogromnie. Marychna miała oczy czerwone od płaczu, stary Mateusz strasznie osowiał, jeden tylko Walenty dziwnie poweselał i odtąd zapomniał o smutku, o arbuzie, uśmiechając się zdradziecko pod wąsem.

Po długim kazaniu ojca Wicek przyrzekł poprawę, jakoż ustatkował się nieco. Od dwóch prawie miesięcy nie postać nogą w karczmie, dopiero dziś niewiadomo z jakiej przyczyny, znowu zajrzał do izby szynkowej i do kieliszka.

— Wicku! Wicku! rzekł ojciec, wchodząc niespodzianie do karczmy. Widzę, że już nigdy się nie poprawisz. Jakiś czas było dobrze, teraz cię znowu złe kusi.

— Mój tatulu kochany, odpowiedział parobczak, ujrzałem po drodze Warchlaka wszak to nasz krewniak, i przystaną-

łem chwilę. Potem wzięliśmy się do kieliszka, boć przecie niedługo wesele a trzeba spraszać swolch.

Stary rozśmiał się uradowany ujrawszy krewniaka. Przywitali się ze sobą, pogwarzyli, Bruzda prosił serdecznie na wesele syna, Warchlak przyrzekł.

— Śliczna to będzie synowa, — rzekł krewniak; gdyby nie moja 40-tka i nie czworo dorosłej dziatwy to kto wie...

— Co się wam marzy. Nie znacie to przysłowia: «z siwą głową do dziewczyny — jak z jeżem do psa».

No! No! nie obawiajcie się, przerwał Warchlak, nie odbiję wam dziewczuchy, ale choć stary jestem, wywinąć z nią oberka na weselisku, o! wywinę.

Szła tak wesoła rozmowa, aż tu i kur zapiał, i szynkarz wypraszał zapóźnionych gości na spoczynek.

Pożegnali się tedy serdecznie, a Bruzda z synem w najlepszym humorze powrócili do domu.

Czas mijał szybko, płynęły tygodnie i miesiące, do terminu oznaczonego na ślub pozostało zaledwie dni piętnaście.

Walenty znowu jak dawniej posmutniał. Marychna niespokojnie liczyła godziny, a Wojtek coraz śmieiej o żeniactwie mówił. Dziwnie się też odmienił i spoważniał, zdawało się, że już na zawsze wyrzekł się i przyjaciół i hulanki. Teraz już nie prawie nie przeszkadzało połączeniu kochających się młodych.

W dniu 2 lipca przypadł jarmark w Pokrzywnicy. Jarmarki tam zawsze bywały ludne. Z rozmaitych stron zjeżdżali się ludzie, ze wsi też sporo wybierało się kmieci. Ten z gęśmi, ten z koszykami plecionymi z wikliny, tamten karmnego pędził świniaka, ten kilka kop jajek wioził na sprzedaż, inny chciał kupić buty, inny czapkę, ot jak zwykle bywa, gdy zbliża się jarmark.

Wicek raźnie zabierał się do wesela, więc także-otrzymawszy od ojca kilkanaś-

cie złotych gotował się do drogi. Trzeba było kupić nową sukmanę, ba i czapkę i pas ze świecącymi kółkami, i dla Marychny sznurek koralu.

Od rana ledwie brzask zarumienił niebo, po drodze do Pokrzywnicy ciągnęły wozy i wózki, bryczki szlacheckie i duże bryki towarowe.

Pieszko też szli chłopcy pędząc bydło. Wicek z pełną kaletą szparko sunął do miasteczka, a tak mu słodko było na sercu, tak wesoło w myśli...

Przed wyjściem ze wsi widział się z Marychną i uściskał ją serdecznie. Dziewucha objęła go rękoma za szyję i tuliła się, to śmiejąc się, to płacząc na przemiany.

— A pamiętaj Wicusiu, unikaj przyjaciół i kompanii, spraw się jak należy. Przecież to tylko dwa tygodnie. Jakbyś się zabałamucił, nie spojrzałabym więcej na ciebie.

— O! o! co ci tam w głowie.

— Tak mówisz, boś nie był jeszcze na jarmarku, ale niechno cię obstąpią znajomi, niechno na skrzypkach zagrają...

— Nie! nie! ani noga moja nigdzie nie postanie.

— Pamiętaj! — zawołała dziewczyna z trwożą, choć chłopak już był daleko.

Czy mógł zapomnieć o przestrodze takiej miłej, dobrej dziewczyny? Wszak ona to całe jego szczęście, całe życie.

— Nie! nie! — wołał Wicek — nie pójde nigdzie, zatkam sobie uszy; kupię co potrzeba jak najprędzej i powrócę do domu.

W miasteczku ścisk ogromny, wóz przy wozie, człowiek przy człowieku, głowa przy głowie.

Tu kuśnierz zachwala czapki, tam szewc częstuje butami z wywiniętą cholewą, ówdzie nawołują do koralu i paciorek, tam wiszą śliczne pasy, dalej jeszcze zewołały Mosiek wyłożył na wierzch zapas kraśnych kerezyi. Uwijają się jezdni na

koniach, cwałując żydki na szkapach wystrzyżonych, machając nogami; nawołują się znajomi, kwiczą prosięta, ryczą krowy i woły, gęgają gęsi, wrzawa, krzyk i pisk.

Wicek, wszedłszy w ciżbę jakoś odurzył się gwarem i hałasem. Patrzy, rozgląda się, a wszędzie pełno znajomych, przyjaciół, krewnych, nawet obcych, co się do przyjaźni przymawiają.

Pochodził, popatrzył, kupił buty, kupił czapkę i pas, jakoś na sukmanę pieniędzy zabrakło.

Hm! myśli sobie, kupię w przyszłą niedzielę; teraz by i zdarli, i niema jakoś czasu, a najgłówniejsza pieniędzy. Kupię jeszcze korale dla Marychny.

Znowu się wmięszał w tłum i znowu tak samo odurzony gwarem gapił się i gapił. Aż tu nagle ktoś zawołał:

— Wicek! bywaj.

Podnosi głowę patrzy, a święty Antoni! toć to Józek, z którym kilka lat nie widział się wcale. Józek żonaty, gospodarz ale także ochotny do kieliszka i do szklanki.

Poznali się, przywitali, gadu gadu to o tem to o owem, aż weszli do szynku.

— Choćby kieliszek na zakropienie robaka — namawiał Józek — a wreszcie szklanekę piwa, jak to teraz przy gorącym dniu.

Wicek uparł się, nie i nie! Józek w prośby, w całusy... Nadszedł Antek i Maciek. No! siła złęgo na jednego.

Z początku wypili po szklance piwa i jakoś gładko poszło; potem trzeba było czem przegryźć, więc sera. A co to dziś? Niedziela? Tam do biesa, szynkarz ma dobre kiełbaski. Po kiełbasie kieliszek siwuchy. Dobra, smaczna; szynkarz nie dolewa wody, Ot, nalano drugi, trzeci, aż się Wickowi rozwiązała gęba i worek.

Szła kolejka aż miło, a tu już dzień ma się ku wieczorowi, dobrze już z południa,

Już też i na rynku przeredziło się nieco.

Kto miał co sprzedać, sprzedał; kto miał co kupić, kupił i szedł z powrotem do domu. Idą i jada, a wesoło, ochoczo! Niejeden dobry zrobił interes, więc się wesełił, tamten znowu zajrzał do kwatery i także mu jakoś radośnie.

Zaszło nareszcie słońce i rynek całkiem się wyludnił.

Na niebie pokazały się chmury, potem mały deszcz zrosił spragnioną ziemię i znowu się wypogodziło. — Mrok zapadł jak to w lecie przy pogodzie, pół jasny, pół ciemny.

Z szynku pod wiechą w bardzo wesołym usposobieniu wyszło kilku wieśniaków. Mówili głośno i śmiali się jeszcze głośnie. Nastąpiło pożegnanie i rozeszli się każdego w swoją stronę.

Pozostał tylko jeden, był to Wicek.

Ogląda się wokoło, nie ma nikogo; słucha, cisza; ustał gwar i wrzawa, już po jarmarku. Jakoś markotno samemu wracać do domu.

Machnął ręką i z wolna wyszedł z miasta na drogę.

Po deszczu od drzew i od ziół na polu czuć było zapach rozkoszny.

Wickowi lekko na sercu i wesoło, ale w głowie jakoś ciężko. Im dalej idzie, tem mu ciężiej, już kilka razy potknął się o kamień.

— Co u Boga? — mówi sam do siebie. — Nie piłem przecież tak wiele, a jakoś dobrze nie widzę. Ciemno tu jak w piwnicy, albo w lochu i tak mi ciężą te buty.

Zeszedł z drogi na ścieżkę, tam jakoś lepiej, jakoś miękko, ale zawsze płaczą się nogi.

Na połowie drogi z Pokrzywnicy maleńki leży gaik. We dnie najmilsze tu schronienie przed upałem, w nocy zaś tu tak cichutko, a taki zapach z drzew, taka mięka murawa.

Przystanął pod drzewem i oczy mu się kleić zaczęły do snu.

— Zdrzemnę się trochę, jeszcze mała tylko milka.

Jak powiedział tak i zrobił. Oparł się wygodnie o drzewo, rzeczy kupione obok siebie położył i ziewnąwszy kilka razy, chrapanął na dobre.

Już dawno słońce weszło na niebie i dzień był wielki, kiedy Wicek przebudził się po głębokim twardym śnie.

Przetarł oczy, przeciągnął się, ziewnął. Patrzy — co u licha? Drzewa i szczerze pole wokoło, słońce pali, głowa go boli nieznośnie.

Przypomniał sobie wszystko. Zerwał się na równe nogi. Szuka butów, ani śladu; szuka pasa i pas gdzieś zniknął; sięga w zanadrze — niema i gałganka z pieniędzmi. A nieszczęście?

— Co to znaczy? woła sam do siebie! E! już wiem, to ktoś mi figla wystroił, pewnie schowali gdzie w krzakach.

Przeszukał krzaki dokoła, obmacał nawet murawę, zajrzał pod mostek — ani śladu.

Załamał ręce z rozpacz.

Myślał, myślał, ale co tu myśleć, kiedy już myślenie nie zda się na nic. Usnął i spał jak śpią pijani bez przytomności, nie wiedząc co się z nim dzieje, a jakiś niepoczciwy przechodzień ulżył mu ciężaru, zabierając wszystko co miał przy sobie. — Trzeba tedy wracać, ale jak tu wracać z próżnymi rękami?

— Trudno — mówi — nie ja pierwszy, nie ja ostatni, okradli i dosyć, mało to teraz podobnych wypadków. Powiem, ale kto wie, może nie uwierzą. E, czemu nie mają uwierzyć? Wypadło paru z drogami, z nożami, nieznacznie, niespodzianie.

Tak ułożywszy sobie w głowie, chce nasunąć czapkę na ucho... — Wszelki duch Pana Boga chwali! — niema czapki.

— Nie mam czapki! krzyknął na pół z płaczem, Otóż ta czapka popsula wszys-

tko. Któżby się na starą czapkę łakomił? Więc cała opowieść o zbójcach — kłamstwo, mogliby zabrać pieniądze, sukmanę, ale niezawodnie zostawiliby czapkę.

Biedny Wicek aż zapłakał ze wstydu.

Nie ma rady, trzeba się spieszyć, może się uda przemknąć nieznacznie, może nikt ze wsi nie zobaczy, i szybko wsunie się do domu, ojcu padnie do nóg, przeprosi i jakoś to będzie. Choć się późno pokaże we wsi, to nic nie znaczy, powie, że spraszał znajomych na wesele, więc go zatrzymano.

Nabrał tedy otuchy, głowę osłonił połą sukmaną i szybkim krokiem ruszył ku wsi.

Co prawda, ludzie byli w polu, a pole daleko od drogi, więc nie ma obawy, żeby dojrzeli bez czapki chłopaka. Ba! ale Marychna niespokojna całą noc nie spała i skoro świt, wybiegła z chaty. Dowiedziawszy się, że Wicek nie wrócił przeczuła jakiś wypadek.

Smutna, spłakana, stanęła przed chatą i patrzy na drogę a serce jej w piersiach jak młotkiem bije. Na drodze pusto, dzień roboczy; każdy w taki dzień nie oddala się ze wsi, chyba wezwany do sądu lub do powiatu z podatkiem.

Nagle pokazał się ktoś mignął jakiś cień, niby człowiek. Posuwa się coraz prędzej i Marychna poznaje już w nim Wicka.

Zdrów i cały, nie ma się czego niepokoić, ale trzeba się pogniewać, trzeba się nadąsać, niech przeprosi za taki bolesny niepokój. Już chce odejść, spojrzawszy jednak jeszcze raz widzi, jak Wicek z gołą głową, powalany błotem, zlany potem i okryty kurzem pędzi wprost do domu nie oglądając się nawet na domek jej ojca.

Mateusza oborka i stodoła stały od pola, Wicek też skręcił w tamtą stronę uradowany, że go nikt nie widział dotychczas. Już myśli, jak on wsunie się do

stodoły, jak uprosi Józka, żeby mu czapki pożyczyl, a potem wpadnie do chaty i opowie z płaczem o okropnym napa-dzie.

— Wicek! Wicek! — ktoś krzyknął z boku.

Ogląda się, a to Marychna!

Struchlał cały.

Na głos przeraźliwy dziewczuchy wypadł i jej ojciec z chaty, i niewiedzieć skąd, Walenty znalazł się wnet pod ręką. Szły też dziewczki ze śniadaniem w pole, a słyszając krzyk podbiegły do chałupy Mateusza.

— A ty skąd? — woła Mateusz — taki zbryzgany błotem, bez czapki!

— Bez czapki! krzyczą dziewczuchy i wszyscy śmieją się do rozpuku.

Chłopak oniemiał. Chce mówić, nie może; chciałby skłamać a gładko, ale jak zobaczył Walentego, który się zdradziecko pod wąsem uśmiechnął, nie czekał długo, i drapnął w pole ścigany śmiechem ogólnym.

O Wicku nie było długo słyhać. Na trzeci dzień dopiero powrócił do domu wyblady, głodny jak oszałały.

Co się działo w chacie Kaspra trudno opowiedzieć. Podobno nawet i stary zabrał się do pasa i syna, choć to chłopak pod wąsem, okrutnie go skatował.

Minał tydzień. Wicek siedział w domu, wstyd mu było pokazać się na wsi. Stary Mateusz stanowczo opar się ślubowi Bruzdy z Marychną. — Dziewczyna też tak się srodze zagniewała; taki ją żal ścisnął za serce, że ani chciała patrzeć na tego, którego choć kochała, nie umiał dotrzymać słowa i nie poprawił się z nałogu.

Jakoż jednego dnia, a było to w niedzielę, zobaczono go pierwszy raz na kościele na sumie. Chłopak był blady, zmizerowany, stracił całkiem fantazję, jakby się zestarzał, klęczał przed obra-

zem i modlił się gorąco a obok niego leżał kij i zawiniątko.

Wszedł proboszcz na ambonę, wymownym słowem karmił wady ludzkie, a najbardziej na płaństwo wymyślał i zakończył surowym wykrzyknikiem: Strzeżcie się grzechu, co kala ciało i duszę!

Naraz ksiądz dobył książkę i powolnym głosem zaczął wymawiać nazwiska osób zabierających się do stanu małżeńskiego.

Chłopak zbladł jeszcze bardziej, tchu mu w piersiach zabrakło, gdy oto posyłał z ambony:

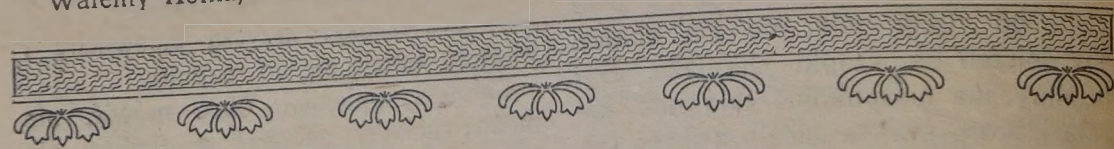
"Walenty Kolka; wdowiec, z Maryanną

Kwiecień przy rodzicach, zapowiedź pierwsza."

Coś stuknęło jakby człowiek padł na posadzkę. Zrobiło się zamieszanie. Rozstąpili się ludzie, na stopniach ołtarza leżał bładny Wicek.

Rzucili się ludzie do ratunku, otworzyli oczy, westchnął głęboko, a potem oprzytomniawszy nagle zerwał się na nogi, poszedł spieszenie ku drzwiom kościoła, zawrócił na drogę i zniknął z oczu.

Nieszczęśliwy! Uciekał on ze wsi, aby szukać gdzieś w służbie pod cudzym dachem spokoju, bo utracił z własnej winy i własnym nierozsądkiem to, co kochał w życiu, i razem szczęście swoje.



Marya Skłodowska - Curie

My Polacy nie mamy tylu uczonych, co inne narody, ale ci, których mamy, zdobyli sobie rozgłos na całym świecie. Do takich należy słusznie Marya Skłodowska.

Urodziła się ona w roku 1867 w Warszawie, gdzie ojciec jej był nauczycielem. Gimnazjum ukończyła w Warszawie ze złotym medalem. Następnie przez parę lat zajmowała się nauczycielstwem prywatnym, po części na wsi, w Płockiem, po części w Warszawie, gdzie uczyła się dalej fizyki i chemii.

Wyjeżdżając z Warszawy, Skłodowska знаła doskonale matematykę, a praktykę fizyczną i chemiczną, jak na owe czasy i środki, miała wystarczającą.

Z tymi zasobami wiedzy i silną młodzieńczością udała się do Paryża, gdzie już w roku 1893 uzyskała licencjat nauk fizycznych w uniwersytecie paryskim, po roku, a więc w 1894, tamże otrzymała licencjat nauk matematycznych, w dwa lata póź-

niej uzyskała prawo wykładowe w szkole żeńskiej.

Od roku 1898 rozpoczęła się wytrwała i pożyteczna praca naukowa Skłodowskiej, znana już dzisiaj w całym świecie cywilizowanym. W słowach tych niema cienia przesady, o czym najwymowniej świadczy olbrzymia liczba nagród (z górą 40), w tym dwa razy nagroda Nobla, odznaczeń i medali, które przysłało jej w krótkim okresie lat kilkunastu bez żadnych zabiegów z jej strony. Przysyłały je zazwyczaj mężowie w pracy posiwiali, li tylko na skutek wielkiej doniosłości jej badań naukowych. Jakże wielkimi muszą być jej zasługi naukowe, jeśli zważymy, że do Paryża nie wywiozła ani stosunków przemian, ani żadnych znajomości, nic prócz talentów i to jedynie osobistych.

A teraz przyjrzyjmy się jej pracy w porządku chronologicznym. Pierwsza jej praca miała znaczenie gospodarczo-społeczne. Pisze w niej o różnych gatunkach sta-

li; określa przy jakiej temperaturze należy hartować dany gatunek stali, aby nadać jej pożądane własności. Wyniki tej pracy olbrzymiej, ujęte w szereg tablic, służą jeszcze po dziś dzień przy budowie machin elektrycznych i w tem właśnie tkwi ich znaczenie gospodarczo-społeczne. Ocenili je Francuzi, w wyniku bowiem tych badań otrzymała Skłodowska złoty medal.

Po napisaniu tego dzieła, Skłodowska poświęciła się badaniom promieniotwórczości. Pomiary, przeprowadzone wedle jej własnej metody nad pechblendą, pozwoliły jej przepowiedzieć istnienie i wyosobnienie nowego pierwiastka o wielkiej promieniotwórczości. Pragnąc na wieczną pamiątkę związać ten pierwiastek z Polską, nazwała go polonem (polonium).

Pod koniec roku 1898 ogłasza pierwszą pracę o nowym pierwiastku, wydzielonym z pechblendy. Nazywa go radem; wyosobnienie zaś polonu napotyka poważne trudności. Skłodowska boleje nad tem, że się pospieszyła z nadaniem nazwy polonu temu właśnie pierwiastkowi który daleko trudniej wyosobnić z pechblendy, aniżeli rad. Dopiero po dziesięcioletnich bardzo mozolnych usiłowaniach, zdołała otrzymać plon. Trudności te wyosobnienia polonu wynikają z dwóch przyczyn. Pierwszą stanowi to, że polon znajduje się w pechblendzie w daleko mniejszych ilościach niż rad, drugą zaś przyczynę stanowi krótszy okres istnienia polonu niż radu. Rozkłada się on na powietrzu nadzwyczaj szybko. Uczeń wiedzą doskonałą, jak to trudno wydzielić części miliograma pożądanego pierwiastka z wielu ton materyału, dlatego też oceniają sprawność badacza, który potrafi to osiągnąć.

Poszukiwania Skłodowskiej nad polo-

KRAWCY.

Clemenceau: — Co u dyabła! Rok cały robimy kostium dla pani, kochana pani Europo i ciągle nie pasuje. Ma pani jakąś dziwną figurę.

Europa:—Naturalnie. Wzięliście od razu za mało materyału niemieckiego i teraz wam będzie trudno przykryć wszędzie swoją goliznę.

nem uwidaczniają przymioty jej umysłu i charakteru: śmiałość w stawianiu wniosków, wyrwałość, nie cofająca się przed największymi trudnościami i niepospolita sprawność w badaniu. Jakaż jest zasługa naukowa Skłodowskiej? Najpierw wykryła dwa nieznanne dotychczas pierwiastki: rad i polon: powtóre przez swe badania wykazała, że atomy czyli najdrobniejsze cząstki, z których każda rzecz na świecie się składa, nie są stałe i niezmiennie, jak dotychczas wszyscy uczeni na całym świecie nauczali, ale ulegają zmianom, bo wypromieniowują tę lub ową postać swej siły.

To przypomina drugiego naszego rodaka Kopernika, który z górą czterysta lat temu miał śmiałość wyrzec, że ziemia się obraca.

I oto, jak Kopernik zmienił zupełnie astronomię, czyli naukę o gwiazdach, tak Skłodowska zmieniła chemię, czyli naukę o wykrywaniu i badaniu pierwiastków. Od niej powstaje nowa chemia, oparta na zmienności pierwiastków.

W tem jest olbrzymia i światowa zasługa naszej sławnej rodaczki.

Od roku 1906 do roku 1911, tj. w czasie, w którym Skłodowska pracowała jako kierowniczka pracowni fizycznej na wydziale nauk w Paryżu, wraz ze swymi współpracownikami ogłosiła 68 prac naukowych. Jest to ilość olbrzymia, jeżeli weźmiemy pod uwagę wartość i trudność dzieł tego rodzaju.

Skłodowska, której mąż, Francuz, nazwiskiem Curie, umarł niedawno, pracuje w dalszym ciągu w swej pracowni w Paryżu.

Twórczość w każdej dziedzinie jest darem rzadkim, a twórczość naukowa jest darem najrzadszym, bo tu wyobraźnię kontrolują dwaj strażnicy: doświadczenie i rachunek.

WE WROCŁAWIU.

(Prezydent Niemiec Ebert.)

Droży Ślązacy!

Wy którzy dajecie nam węgiel, cukier i żelazo, wiedźcie o tem, że Berlin nigdy was nie opuści! Wierźcie nam, że niema takiej podłości, takiego świństwa, takiego łajdactwa, którego byśmy nie zrobili w szlachetnym porywie utrzymania Śląska przy Niemcach.

O REKLAMIE.

Kto pragnie, aby mu się dobrze powodziło w handlu czy przemyśle, ten bezwarunkowo musi reklamować swoje przedsiębiorstwo, bo inaczej konkurencji z reklamującymi się nie wytrzyma i zbankrutować musi, lub też interes pójdzie mu tak, że zaledwie koniec z końcem zwiąże.

Reklama jest tak stara, jak handel i przemysł na globie ziemskim. Ludy starożytne używały oryginalnych sposobów ogłaszania swoich przedsiębiorstw, zwłaszcza, gdy jeszcze sztuka drukarska nie była znaną i gazet nikt nie czytał. Wysyłano więc najemników, którzy bądź to pieszo, bądź na wielbłądach i słoniach, bądź też na pięknie przybranych wozach odbywali wędrówki po ulicach miasta i tam wielkim głosem reklamowali handel, cyrki, a nawet sprzedaż niewolników, wskazując publiczności, gdzie ma się udać po zakupna. Który z najemników miał potężny głos, potrafił lepiej, składniej wygłaszać reklamę, tego więcej ceniono, poszukiwano i wynagradzano hojnie. Nie obywało się też bez muzyki, która towarzyszyła tym korowodom ogłoszeniowym, — kupcy rzymscy, greccy, perscy, itp., dobrze placili za te reklamy. Używali też napisów hieroglifami na kamieniach i płytach marmurowych, gdyż uczeni badacze zabytków starożytnych w zwaliskach miast odwiecznych wygrzebują takie napisy, wykowane w granicie i marmurze, a które, po przetłómaczeniu przez znawców, są w przeważnej części reklamą różnych interesów.

Po wynalezieniu druku i powstaniu gazet, kwestja reklamy została dostatecznie rozwiązana. Obok treści literackiej, naukowej i wiadomościowej, znalazły miejsce ogłoszenia, które nieraz czytelnik ciekawiej przegląda, niż najlepsze artykuły. Nie ma też ani jednego pisma w świecie, któreby nie przyjmowało ogłoszeń, a nie ma również kup-

ców czy fabrykantów w żadnym kraju, coby swoich interesów nie reklamowali.

Pierwsza reklamowała się dobrze Anglja, więc też i jej towary, choć nie pierwszej dobroci, szły w świat i zdobywały sobie rynki zagraniczne. — Reklamowała się Francja, a za nią Niemcy, więc te trzy kraje zdobyły sobie pierwszeństwo w świecie, chociaż w innych krajach towary może były lepsze i tańsze, ale ich nie reklamowano.

Najbardziej jednak reklamuje się Ameryka, a szczególnie Stany Zjednoczone. Ogłoszenia są tam uważane za pierwszy punkt do rozwoju interesu i niema firmy, choćby najmniejszej, aby się nie reklamowała, nie szczędząc pieniędzy. Wydają oni na ogłoszenia więcej pieniędzy, niż na towary w swoich składach, ale to im się sowiecie oplaca, skoro nietylko w dalszym ciągu się reklamują, ale jeszcze potęgują tę gałąź w najoryginalniejszy sposób. Nie tylko więc w pismach widzimy olbrzymie, rzucające się w oczy ogłoszenia, ale sprytni kupcy amerykańscy zarzucają nas masą ulotnych broszurek, pamfletów, plakatów, afiszów, cyrkularzy — rozdają nawet próbki swoich towarów i różne drobne prezenty ze swoją firmą — a widocznie to im przynosi szalone zyski, bo inaczej nie wyrzucaliby swoich pieniędzy na wiatr. Im więcej która firma wydaje pieniędzy na reklamę, tym się dorabia milionów i konkurencja z nią firm, nieogłaszających się, wprost niemożliwa.

Najmniej pochopni do reklamowania się są Polacy i dla tego ich przemysł czy handel kuleje, nie wytrzymując konkurencji sprytnych obconarodowców. Gdy nasz kupiec czy przemysłowiec wyda 20 dolarów na ogłoszenie, pragnie, aby mu to na drugi dzień przyniosło 400 dol. zysku, a gdy tego nie osiągnie, przestaje się reklamować, (ogłaszać), uważając, że na próżno pieniądze wydaje.

Bez dzisiejszej reklamy i marzyć nawet nie można o rozwinięciu interesu, a nawet utrzymaniu go, aby przyniósł zyski. Dziwimy się bogactwu i rozmachowi wielkich interesów obconarodowych, ale nie chcemy widocznie wiedzieć, że te interesy spotężniały dzięki tylko umiejętnej reklamie, przykuły do siebie ogół, wraziły mu się w pamięć i

tu jest właśnie tajemnica pomyślności. Niech więc i nasi kupcy i przemysłowcy uznają potęgę reklamy i rozszerzają między ogółem, a liczyć mogą na powodzenie. Biadania na brak poparcia ze strony swoich nic tu nie pomogą, bo reklama jest tak potężna, że wabi ona ogół do kupca który lepiej i częściej potrafi zachwalić swój towar.

KŁĘSKA HORMUZDA.

Perski zły duch nabrał pewnego razu takiej śmiałości, że otwarcie powiedział bogu Hormuzdowi:

— Szczycisz się, żeś wszechmogący, ale to nie prawda!

— Marny duchu piasezystej pustyni, nie rozumiesz co mówisz!

— O zarozumiały Hormuzdzie! skamieniały w swojej nieskończonej naziemskiej przestrzeni, nakłoń tylko swego ucha, gdy ziemskie mrówki posyłają do ciebie swoje modły na złotych promieniach słońca, a sam się przekonasz.

Wiedział Hormuzd, że przewrotny Aryman jest podły do głębi duszy, ale wszelka jego złoczytność na ziemi polyskuje często ostrym, prawdziwie szatańskim rozumem.

Zaciekawił się Hormuzd i wnet się posłał złocistym tumanem nad ziemię, zatopioną w tej chwili w ognistych promieniach wschodzącego słońca.

Jak fale burzliwego morza zaszumiały w uszach Hormuzda ludzkie modlitwy:

— Panie, daj deszczu na wysuszone pola!

— Niechaj deszcz nas ominie, boski Hormuzdzie, bo ja młóczę zboże, i robaki owoce nam zjedzą.

— Ratuń nas od szarańczy, niszczącej zboża.

— Poślij panie szarańczę, służącą nam pokarmem i artykułem dla handlu w pustyni.

— Obroń nas od złego powietrza, błagały matki licznej dzieciarni.

— O, poślij Hormuzdzie choroby rozmaite, upraszał lekarz, bom wynalazł

cudowne lekarstwo, którym lecząc, mogę się zbogacić.

— Uchowaj od głodu, panie — jęczała biedna ludność.

— Poślij głód, bądź łaskaw, modlił się obszarńnik, mający wielkie zapasy ryżu.

— Broń nas od wojny, święty Hormuzdzie — prosiły matki dorosłych synów i młode mężatki.

Miłosierny władco świata, poślij nam wojny — ryczeli w świątyniach generałowie, fabrykanci oręża, handlarze koni a także żydzi — bankierzy i zdolni do szpiegostwa.

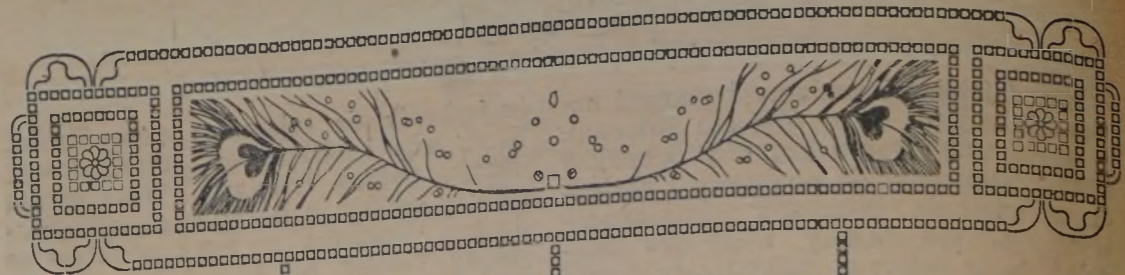
— Panie Hormuzdzie, wielki, wszechmogący... — ryczało morze modłów ludzkich. Ale Hormuzd ze ściśnionym sercem, rozgoryczony, zasmucony dmuchnął na ziemię, która z całym słonecznym systemem pomknęła za miljardy mil.

Tryumfujący Aryman skłonił się sztydlerczo i poleciał za ziemią, nad którą przeważnie panował.

Zrozumiał Hormuzd swoją niemoc zadowolenia wszystkie ludzkie modlitwy sprzeczne i często niemożliwe.

Zagrzmiał on i błysnął w gwiazdzystych mgławicach, ale nie starczyło mu ducha ścigać Arymana piorunem, bo rozumiał, że sam był tym razem pokonany.

Prześladowany przez los. Żebak: — Daj pan jałmużnę człowiekowi przesładowanemu od losu! — Przechodzeń: — Ha! ty oszuście! wczoraj udawałeś kulałego a dzisiaj ślepego! — Żebak: — Więc widzisz pan, że mię los przesładowuje, kiedy musiałem ciebie spotkać!



O co święci polscy prosili Pana Boga i co im odpowiedział.

Makuszyński nam piękną bajkę opowiedział.

Jak piechur polski w niebie niecierpliwie siedział

I tylko prosił: "nogi, choć bose, oddajcie" —

(Urwała mu je kula). Chwilkę posłuchajcie

A opowiem (choć w formie nie tak wdzięcznej może)

Co się zdarzyło kiedyś na niebieskim dworze.

Było to tak: gdy Pan Bóg, spraw ludzkich roziemca,

Polskę stworzył na nowo, pokonawszy Niemca.

Wśród polskich świętych w niebie wielka radość była,

Wprzód się czcigodna rzesza Bogu pomodliła,

Na podziękę, przecie już Matuchna Boża Odzyskała swe ziemie od morza, do morza, —

Potem siedą i patrząc na Polskę z okienka,

Które na niebie Boża zawiesiła ręka,

Gwarzą sobie i gwarzę... Tak się rozgwarzyli,

Że wszyscy noc calušką oka nie zmruryli.

(Nazajutrz Piotr się skarżył, co w bramie stróżuje,

I na okno ma pieczę, że kości nie czuje, Bo ani rusz od gwaru świętych nie mógł zasnąć.)

Już i gwiazdy poczęły na niebiosach gasnąć

A święci gadu, gadu, wiodą dyskurs wszczęty,

Że się taki na ziemi stał cud niepojęty, I w głowę wciąż zachodzą, coby to takiego

Uprosić dziś dla Polski Stwórcy Wszemocnego.

Rzekł ktoś: prosimy o złoto, niech będzie bogata;

Drugi: niechaj Bóg da jej urodzajne lata;

Trzeci radzi przed Boga tron zanieść oredzie,

Żeby się już Polacy nie tułali wszędzie;

Czwarty chce mieć ją sławną, inny bogobojną;

Ten bitną, a ów pragnie ją widzieć spokojną;

A któryś się odzywa gdzieś od przyby krańca,

Że chce Polskę do tańca mieć i do różańca,

Wreszcie po długich targach zgodnie urządzili,

Że o granice będą bezpieczne prosili.

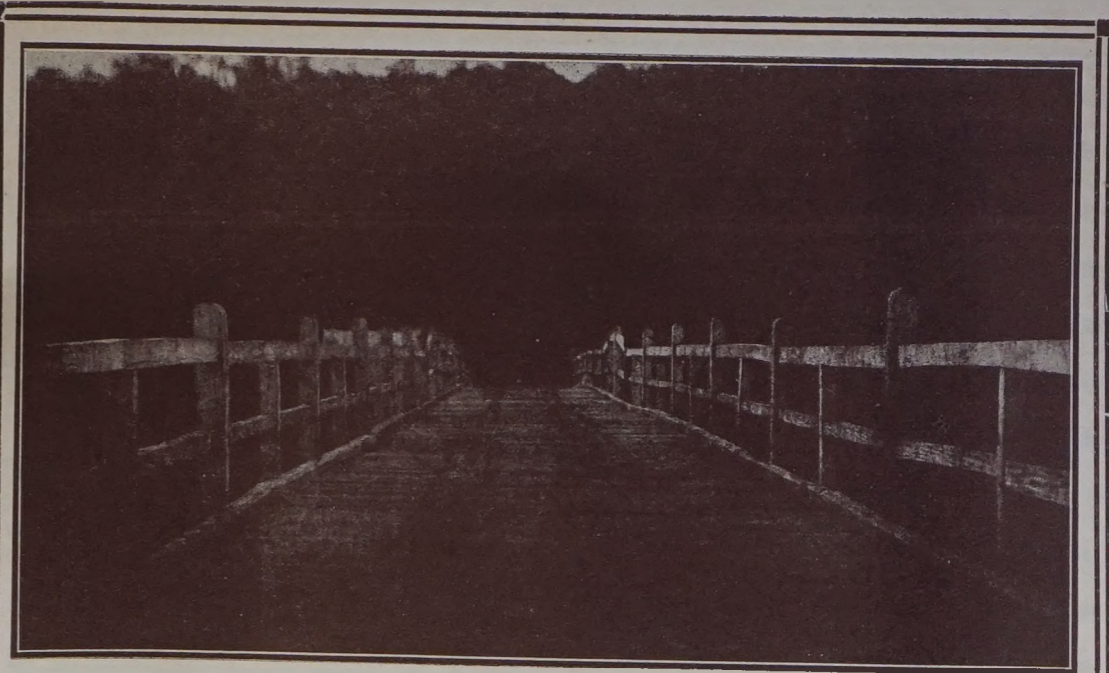
W delegacyi wybrani święty Wojciech z Jackiem

Przed tron Boga odeszli i upadli płakiem;

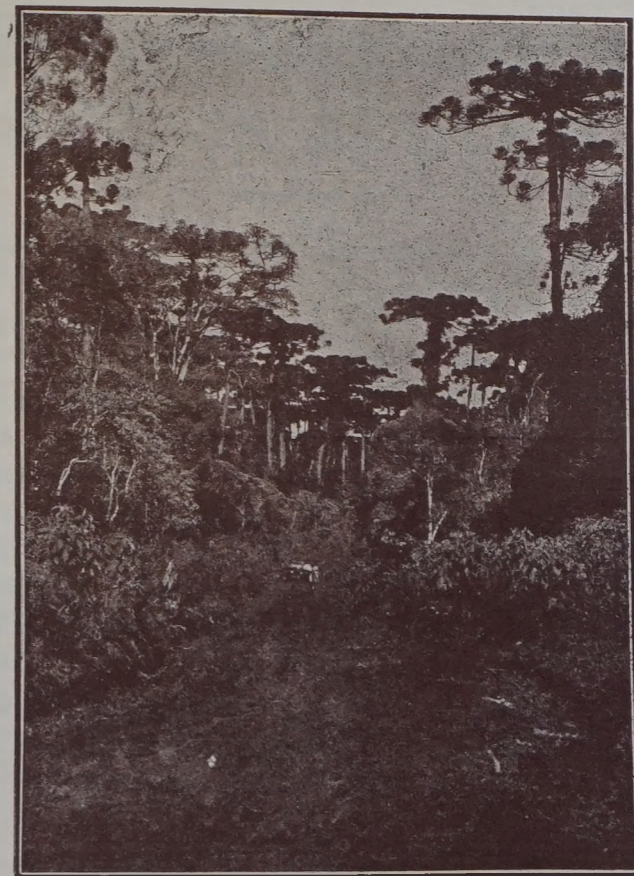
«Ojcze, kiedyś już Polskę obdarzył wolnością,

Osłoń ją, Twoje dziecię, przed zbójką złością,

Spojrzyj tylko na ziemię, liczne tam krainy



Most na Rzece Chagu 54 mtr. długi.



Część najdłuższej drogi w Brazylii.

Góry wielkie i rzeki i morza głębiny
Posiadają od wieków na granic swych
straży,

Ze żaden wróg do wnętrza ich wejść
się nie waży.

Uwaruj wolność Polski, daj Odrę z za-
chodu,

A Dniepr znowu niech z Dźwiną strze-
gą jej od wschodu,

By znów Moskal lub Niemiec — przy-
trafić się może —

W kraj ten wkroczą i zniszczą wielkie
dzieło Boże».

Słucha Pan Bóg, poważnie po brodzie
się głaska.

Wreszcie chrząknie, poprawi gwieździ-
stego paska,

I tak rzecze: «Kochani, a cóż wy myślicie,
Żem ja może o Polski nie pomyślał
bycie?»

Ze pozwolę, by dzieło moje poszło na
nic?

Prawda, nie dałem Polsce umocnionych
granic,

Lecz wiedzcie, że te morza, że te rzeki,
góry,

Daję tylko narodom tchórzliwym z na-
tury.

Im który z ludów większym tchórzem
jest podszyty,

Tem kraj jego wyższemi rozgraniczam
szczyty

Lub tem głębszą od drugich oddzielam
go wodą.

Nie bójcie się synowie, o ojczyznę
młodą.

Jej dałem coś, co lepsze nad góry i
rzeki,

Co strzedz będzie jej granic przez wie-
ki i wieki:

ŻOŁNIERZ POLSKI jej będzie służyć
zamiast tarczy,

Serce jego i ramię za wszystko wy-
starczy».

Nie-Tersytes.

KTO JA JESTEM.

Jestem potężniejszą, aniżeli wszystkie
połączone armie całego świata.

Zniszczyłam więcej mężczyzn, aniżeli
wszystkie wojny świata.

Jestem więcej śmiercionośną aniżeli ku-
le; zburzyłam więcej domów, aniżeli naj-
cięższe armaty oblężnicze.

Nie oszczędzam nikogo i znajduję mo-
je ofiary tak pomiędzy ubogimi jak i bo-
gatymi, pomiędzy młodymi i starymi, po-
między silnymi i słabymi, wdowy i siero-
ty znają mnie dobrze.

Ukazuję się w takich prowincjach, iż
rzucam mój cień na każde pole pracy, od
obracania kamienia do ostrzenia narzędzi

przeróżnych, aż do posuwania się każ-
dego pociągu.

Masakruję tysiące i tysiące robotni-
ków co rok. Czatuje w niewidzialnych
miejscach i wykonywam moją pracę prze-
ważnie milcząco.

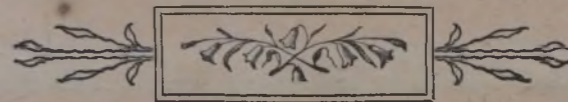
Jesteś ostrzegany przedemną, lecz nie
masz się na baczności.

Nie znam litości, i jestem wszędzie —
w domu, na ulicy, w fabryce, na krzy-
żówkach kolejowych i na morzu.

Przynoszę choroby, poniżenie i śmierć,
a jednak niewielu ludzi unika mię.

Niszczę, gruchocę lub miażdżę; nie da-
ję nic, a zbieram wszystko.

Jestem — niedbałością.



Z Ukrainy

I.

W tumanie modrym żyzna Ukraina
Śpi, jak spowita w pieluchach dziecina.
Legł potoczysto równy step szeroki,
Kurhany tylko patrzą tam w obłoki,
Jarami, mgłami sine rzeki płyną —
Witaj, najmilsza matko Ukraino!
Ty drzemiesz wielka, jako senne bogi,
W szczytkach drżemiące na zgliszczach ołtarzy;
Wrzając przeszłością dyszą twe rozłogi,
Błękit nad tobą jaśniej, zda się, marzy,
Ciszy twych równin jakaś cudna śpiewność,
Patrząca prosto w jasne niebios lica,
I mogił twoich pomnikowa rzewność,
Jak w mórz otchłani śpi w niej tajemnica.
We mgłach, nad tobą Sahajdaczny płynie,
I z Doroszenkiem pułki mkną kozacze,
I bujny wicher w badylinach płacze,
Pieśni zawodząc martwej Ukrainie.
Z sinego Dniepru głos przeszłości wieje,
Mołojców bujnych, Siczy atamanów,
I od porohów, śpiewna, do kurhanów
Równina niebu spowiada swe dzieje,
Śpiewa wspomnienia żal nieprześpiewany,
Choć na wiek wieki zmiłkły teorbany...

* * *
Stał cichy futor, patrząc w toń jeziora,
Jak płynny szafir przezroczyście szklaną;
Tam, nad kaliną w koral obwieszoną,
Myły swe lice roje gwiazd z wieczora,
Rzucały lipy chłodny cień swój miły
Na pnie pasieki, biały dom i wrota,
I światła z okien wśród gałązek lśniły,
Niby rubiny, albo iskry złota.
W krzewów i światel wdzięcznej kwitł ozdobie
Futor na stepie, niby kwiat na grobie.

Żył na futorze stary Czumak siwy
Miał dumną postać, bujny duch Kozaka;
Los go fortuną obdarzył szczęśliwy
I dał na starość syna jedynaka.
On wysłał do szkół, do Kijowa;
Młodzian je skończył, wstąpił do wszechnicy,
Dzwoniła nad nim Ławra złotogłowa
W tej malowanej starych dum stolicy,
I Dniepr szeroki serce mu kołysał,
I o słowiańskich szumiął pieśni bogach,
Szumiął o Siczy, o dwunastu progach,
Krwiał rubinową w serce pieśń swą wpisał.
A co rok z wiosną wracał Arsen młody
Do swej sukmany, pszennych pól złocistych,
Do krasnych kalin, starych lip, zagrody,
Spocząć na łonie dumań promienistych,
Ogarnąć wzrokiem step tumanem siny,
Odświeżyć serce w pieśniach Ukrainy.
Wówczas gdy gwiazdy w toniach lazurowych
Jak brylantowych iskrzą świec tysiące,
A srebrny księżyc kąpie fale lśniące
W cudownych światłach mglisto-opalowych —
Równiną cichą wstaną mgły przejrzyste,
Powieją wspomnień tchnienia uroczyste,
I wejdzie Arsen sam na szczyt kurhana,
Wysoki, strojny, jak duch atamana,
I wzniosłszy w błękit czoło zadumane,
Słucha — jak przez sen Ukraina płacze...
I cieniem przed nim pułki mkną kozacze,
W niebiosach płynie znamię ich rozwiane;
Archanioł Michał wieje na znamieniu,
Dusza mołojca tonie w zachwyceniu...
W lazurach zorza wita gwiazdę ranną,
W łunach z opalu, w rąbkach kolorowych;
Wiatr, z cichym szmerem, strąca rosę szklaną,
Wilgotny, w nurtach skąpany Dnieprowych.
On stoi jeszcze, goniąc wspomnień mary:
Ziemia-rusalka rzuciła nań czary.

I graniczyła wioska z tym futorem,
O białych chatach, z cienistemi wroty,

Z zieloną cerkwią, strojną w krzyżyk złoty,
Z pięknym, wśród gajów, malowanym dworem.
Wśród wodotrysków, chłodnych altan sadu,
Dużo tam rosło lilij, róży krzaków,
Dużo się lęgło motyli i ptaków,
Dużo się wilo bluszczu, winogrodu...
Wśród nich czarowna, niby rajskie kwiecie,
Rosła Rusałka, piękne lasze dziecię.

Pieśni! tyś wolna zmarłych dziejów dusza,
Piastunka jasna Ukrainy dziecka...
Uwiana z czarów siła twa zdradziecka
Uczy je tęsknić, przyszłość kochać zmusza.
Ty, zbrojna w czary, w strzał dalekich błyski,
Wypiautowałaś dziewczę od kołyski.
Duszy dziewczęcej, razem z dziejów kartą,
Śpiewały przeszłość sine w mgłach mogiły;
Równina księgą stała się otwartą,
Hetmańskie cienie wciąż się sercu śniły.
Często więc dworu przykrząc zimne sciany,
Szła w step szeroki, marzyć na kurhany.

Tak się Arsen spotkał raz z dziewczęciem.
Był wieczór, słońce zaszło za równinę,
Złoto-różowych blasków swych objęciem
Płomiennie tęząc błękitną wyżynę.
Stepowy motyl usnął w kwiatów bieli;
Jak śnieżna perła na szafir rzucona,
Wieczorna gwiazda zesła osrebrzona,
I jakby blask jej raz pierwszy ujrzeni,
Zdumieni stali w świetle jej oboje.
Odtąd na kurhan marzyć szli we dwoje.
Tak razem lasza i kozacza dusza
Wśród uroczystej, jasnej nocy tchnienia,
Wśród majestatu lepszych lat wspomnienia,
W przeszłość wpatrzone, co je wspólnie wzrusza,
Słuchały — z wichrem co od Dniepru dyszy,
Jak płaczą duchy w nadgwiazdowej ciszy.
I promienistą łaską pojednania
W ich sercach kreśląc wspólnych dziejów zgłoski,
Przemawiał do nich głos potęgi Boskiej.

Słowem braterstwa, zgody i kochania.
Niebo, jak w perłach, lśniło w gwiazd ozdobie.
Tak dąb z kaliną łączą się na grobie..

Lecz stary Czumak innej snadź był myśli;
Groźne obrazy duch ponury kreśli:
Blade, zsiniałe śnią mu się upiory,
Dymiące zgliszcza, gorejące dwory,
Wojna domowa, czarna plama krwawa,
Rana otwarta w mętej duszy stawa.
On zgadł, podpatrzył dwoje smukłych cieni
Na osłonionym siną mgłą kurhanie,
I nie po myśli ojeu to kochanie,
I jednej nocy znikł nagle Arseni.
Te słowa tylko w ciężką przysłał chwilę:
„Niżli cię stracić, wolę ledz w mogile“.
Ona — cóż ona?..

Wzdłuż jeziora potem
Chodziła dumać w jasną nos gwiazdzistą;
Wśród fal widziały postać jej srebrzystą
Rusałki toni, z gwiazd igrając złotem,
I drobne perły łez jej pozbierały,
Na promień światła niżąc je tęczowy;
Potem śpiewały toni szafirowej,
Lub w srebrnych rosach cichej lilij białej,
Jak wiatr nad zmarłą szumi Ukrainą,
A płaczą nad nią.. tylko pieśń z dziewczyną.

II.

Światłem rzęsiwym świeci dwór w zieleni,
Komnaty strojne kwieciami uwieczono,
Ogród i ganek lamp tysiącem płoną,
W zwierciadłach, w złocie światła blask się mieni.
Uroczej Laszki weselne dziś gody,
Piękny, światowy i strojny pan młody.

W woniach i kwiatkach, w kryształach stół cały,
Wśród tłumu gości kuczne brzmią wiwaty,
A ona, w zwojach mglistej, srebrnej szaty,
Z warkoczem strojnym w wieniec kwiatów biały,

Tęsknym uśmiechem zbladłe zdoła lica,
Uroczą smutkiem, jak promień księżycy.
Cudną jej głowę cień zadumy kłoni,
W widzeniu mętnej tonie piękne oko...
Przed niem równina legła w mgłach, szeroko,
Wieje od mogił tętent, rżenie koni,
Nad tłumem rzeszy znamę z wichrem szumi...
Ach... i westchnienie młoda pierś jej tłumia!...
Zgasłe, rycerskie, bohaterskie plemię
Z pieśniami wichru płynie ponad ziemię.
Skinął jej z wyżyn poczet wielkich cieni,
A na kurhanie stanął w mgle... Arseni.
Wysoka w świetle rysuje się postać.
Nadeszła chwila... trzeba im się rozstać!...
Zal przejdzie!

Podróż po weselnych godach,
Po obcych krajach, pysznych, złotych grodach,
Szwajcarskie góry, jezior urok boski,
Uroczą szata barkaroli włoskiej,
Niebios, szafirów płomieniste tchnienie,
Przyniosą sercu balsam: zapomnienie!
Grzmijcie, wiwaty! Tańca wir szalony
Zamierzchłych dziejów zmać blade mary;
Przesądu bóstwo warte serce ofiary!
Ciesz się goście, brzmia muzyczne tony...
Tu bal... Któż winien, jeśli życie czyje
O skałę losu z żalu się rozbije?...

* * *
Przeszły dwa lata. Jesień chmurna, blada
Z krzewów ogrodu żółkły liść opada,
I powrócili państwo młodzi z drogi,
W step ukochany, bujny, choć ubogi.
I zawrzał życiem dwór, tak długo cichy,
Zjechali goście, krążą znów kielichy.
Z gośćmi pan młody przy stole zielonym,
Przed nim w półświecie stopy złota świeca;
Gdzie ona? W progu, okiem zamysłonem
Po chmurach błędzi, które w przestrzeń lecą,
Stęsknionej duszy dawny sen się marzy
I łza, jak brylant, lśni na bladej twarzy...
Odetchnąć stepów ukraińskich wonią,

Dawnymi łzami wolno płakać przecie.
I wyszła dumać nad jeziora tonią,
Gdzie wiatr, wznoszący zeschłe stepu kwiecie,
I sokoły krążące, skrzydły swobodnemi
Powtarzał słowa tych co byli w ziemi...
Spojrzała... Dziś tu tak obco! step szary,
Kurhan bezbarwny! Ómą się w mgłach obszary,
Fale chmur ciemnych płyną w dal, jak morze...
Jak jej tęsknota blada toń w jeziorze.
Śpi Ukraina, przeszłość śpi na wieki!...
Ciszej!... wszak z wichrem płynie śpiew daleki,
Śpiew głuchy, mroczny, niby płacz otchłani...
Tak płaczą zmarli, lub na śmierć skazani...
Bliżej już, bliżej... Widać orszak w dali,
Rój świec żałobnych w cieniu tam się pali,
Chorągwie zwały skrzydła swe pod niebem,
Naprzód—krzyż święty idzie przed pogrzebem...
— Czy sen?... o Boże! wśród orszaku cieni
Odkryta trumna... w trumnie śpi Arseni!
W chmurze niebios tworzą on zwrócony,
Płaczą nań płaczki, dzwonią nad nim dzwony,
Niosą w głąb ciemny, w wieczną noc go rzuca,
A śmierć i wieczność nigdy go nie zwróca.
Wiatr światła gasi... O! dla jednych oczu
Zagasło światło w wiecznych łez pomroczu!
Nam od twych sądów nie schronić się, Panie!
Gdy w chwili gniewu strącisz świat w otchłanie...
Lecz w proch zdeptani gromem wyższej woli
Czem są dla ciebie?... Ziarnem w życia roli!

Aniela Konieczna (Hanicka).

JAK ŻYLI POLACY PRZED TRZYSTU LATY?

SPOSTRZEŻENIA CUDZOZIEMCA.

W jednej z księżniczek paryskich znaleziono pamiętnik podróżnika włoskiego. Włoch ów żył przed trzystu laty i bawił czas jakiś w Polsce. Oto, co pisał następnie o Polsce i Polakach w swoim pamiętniku:

«Polacy wogóle silnie zbudowani, wzrostu średniego, cerę mają białą i jasną o barwie żywej rumianej; kobiety są dobrze zbudowane. Wszyscy są grzeczni, posłuszni swym zwierzchnikom i lubią cudzoziemców. Mają to wspólne z innymi narodami północy, że lubią dobrze pić, dużo jeść, nadużycia uchodzą u nich za cnotę, a wstrzemięźliwość w towarzystwie za ukrytą przebiegłość. Stąd wynika, że ich ucztę kończą się często kłótniami, podczas których obcinają sobie często szablami uszy i nosy; ci co posiadają najwięcej ran na twarzy, poważani są najbardziej, jako najwaleczniejsi.

Niema narodu któryby bardziej od nich lubił podróżować (szczególniej szlachta) i któryby łatwiej od nich znosił zmęczenie, upał, chłód i głód. Uważają ich za nieszczerych, ale nie wówczas, kiedy chodzi o to, by dobrze mówić o ich narodzie, o ich kraju, o rządzie swym i prawach, gdyż pełni miłości własnej, gardzą tem wszystkim, co nie zgadza się z ich zwyczajami. Aby być dobrze przez nich widzianym, należy schlebiać, chwalić ich, a wówczas otrzymać można wszystko, czego się tylko zażąda.

Podróżuje się tam niewygodnie, gdyż mało jest zajazdów, chyba tylko po większych miastach. Należy zabezpieczyć się i mieć z sobą środki żywności; ale prawdą jest, że w wielu miejscowościach znaleźć można szlachtę, a nawet mieszczan, którzy, widząc cudzoziemca, jeżeli wydaje im się z dobrej rodziny, zmuszają go, aby do nich szedł w gościnę, gdzie dają mu mieszkanie i życie tak wykwintne, jak na to pozwa-

lają warunki i pora roku. Sądzę, że dzięki tej wspaniałomyślności, ich ziomkowie, znajdując się w podobnej potrzebie w krajach zagranicznych również dobrze są traktowani.

Szlachta polska utrzymuje wiele służby, często więcej, niż na to pozwalają jej dochody. Większość tej służby obowiązaną jest tylko do tego, aby towarzyszyć szlachcie, nie usługując jej bynajmniej, stanowiąc coś w rodzaju dworzan, gdyż widzieć można idącego szlachcica, a za nim wielu ludzi, podobnie jak we Francji, za pułkownikiem idą oficerowie jego pułku. Przed panami i paniami, kiedy wychodzą na miasto, idą ich służący, a za nim pokojówki i służące. Nawet mieszcanki rzadko wychodzą, nie mając za sobą przynajmniej pary służących.

Posiadają oni wiele naczyń srebrnych, ale bardzo mało pięknych mebli. Domy ich pokryte są najczęściej słomą, budowane z drzewa i z gliny; nie dlatego najmniej, że nie mogą ich budować z drzewa lub cegły, również dobrze, jak Niemcy, ale ponieważ kraj ich nie posiada fortec i często wystawiony jest na napaść Turków, Tatarów i Moskali. Z chwilą, gdy szlachta dowie się o zbliżaniu się wroga, podpala swe domy bez wartości, zabrawszy z nich co najcenniejsze, i zbiera się w armie, aby stawić czoło napastnikom. Lubią oni piśmiennictwo; można pośród nich znaleźć uczonych.

W Polsce mało można znaleźć zegarów, chyba w dużych miastach i na zamkach wielkich panów.

Co się tyczy narodów na Rusi, uchodzą one za szlachetne, bardzo gorliwe w wykupowywaniu niewolników chrześcijan; lubią one pracę do tego stopnia, że pracują nawet w niedzielę i święta tak samo, jak w dzień powszedni i odpowiadają tym, co im mają za złe, że i w te dni również jeść trzeba. W tych



Prom na rzece Tybacy

to właśnie krajach mają ludzie włosy poplątane, pomieszane jedne z drugimi, podobnie jak włosie, które sprowadza się z Niemiec dla wypychania foteli. Nie można ich czesać bez narażenia życia. Mówią, że to nieszczęście pochodzi stąd, że są zmuszeni pić wodę z Dniestru, która została zatruta w roku 1279, kiedy Tatarzy, napadłszy na Polskę i spełniwszy wielką rzeź, powyrywali ser-

ca trupów, zatruli je i wrzucili do rzeki. Ta choroba nazywa się «plika», a sądzić należy, że pochodzi z brudu, gdyż cudzoziemcy, którzy tam bawią i piją tę wodę, nie dostają jej».

Trzy wieki minęły od tego czasu, jak cudzoziemiec kreślił powyższe słowa. Ale czy pozbyliśmy się do dziś wad, zarzuconych przez Włocha?

O BURSZTYNIE.

Kto przyjedzie do Połagi, miejscowości licznie odwiedzanej przez letników nad brzegiem Morza Bałtyckiego, ten zauważy gromadki dzieci, pilnie szukające czegoś na wybrzeżu. Dzieci te są bose i brodzą po wodzie, schylając się od czasu do czasu, to znów przysiadając nad wielkimi pękami roślin wodnych, wyrzucanych przez fale i zawzięcie grzebią w nich, przewracając na wszystkie strony. Co raz któryś z nich wydaje okrzyk radości i pokazuje zdobycz towarzyszom.

Zdobycz ta, to nieduży kamyczek żółty, wółprzejrzysty, zwany bursztynem. Działwa zatem szuka i zbiera drobne okruchy bursztynu, które morze wyrzuca na brzeg. Skoro się trafi kawałek większy, witają go okrzykiem radości.

Bursztyn znajdujemy w kawałkach różnej wielkości i rozmaitego kształtu. Jest żółty, ale w przeróżnych odmianach: raz jasny, przezroczysty lub mętny, to znów ciemny, brunatny, albo całkiem jasny, jakby zaszły białymi chmurkami. Jest on bardzo kruchy i łatwo daje się rozbić. Możemy go zapalić, a wówczas wypuszcza z siebie mnóstwo ciemnego, kopiącego dymu. Inaczej będzie, skoro rzucimy go na blachę rozgrzaną, wówczas bowiem nie pali się a topi, dając dużo białych dymów pachnących. Dlatego też używają go do kadzenia, zmieszawszy w kadzielnicy okruchy bursztynowe z innymi ciałami wonnymi. Wiemy wszyscy, jaki

to miły zapach idzie na cały kościół, gdy posługujący do mszy wstrząśnie kadzielnicą i jakie dymy wonne roznoszą się dokoła.

Ale bursztyn ma jeszcze jedną ciekawą własność. Oto, skoro go potrzebujemy szmatką wełnianą, wówczas przyciąga do siebie drobne skrawki papieru, piórka, puch, ba! widziałam sama, gdy taki potarty bursztyn zbliżony do pająka kosiara, śpiącego spokojnie na ścianie, chwycił go za jedną z jego długich, cienkich nóg i trzymał mocno, choć się nieborak szarpał i wyrywał!

Długo łamali sobie ludzie głowę nad tem, dlaczego tak się dzieje, aż wreszcie doszli do przekonania, że przez tarcie wełną dobywamy z bursztynu siłę, zwaną elektrycznością, która mu pozwala drobiazgi te przyciągać. Dawniej nazywano nawet bursztyn elektronem i na nim uczeni zapoznali się z elektrycznością.

Możecie to łatwo wypróbować sami: natrzyjcie mocno kawałkiem wełny pocierek bursztynowy, lub mundsztuk od fajeczki i zbliżcie do niego drobne skrawki papieru. Zobaczycie, jak same przyskoczą one do bursztynu i przyłgną do niego.

Bursztyn przedstawia inną jeszcze osobliwość. Oto, ku wielkiemu zdziwieniu swojemu, zbieracze znajdowali kawałki bursztynu, zawierające wewnątrz jakiś owad, np. muchę, komara, chrabąszcza, albo też pajęczka, ślimaka, a nawet jaszczurkę! Znajdowano również szczątki

sosen, jodek, tui, dębu, wrzosu, mchu. Czasem było tylko skrzydło muchy, tułów owadzi, noga pajaka, ale nie rzadko były to okazy całe, doskonale zachowane.

Zastanawiano się bardzo nad tem, skąd się mogły dostać do środka bursztynu różne te przedmioty. Jedno było wszakże tylko przypuszczenie możliwe, mianowicie, że bursztyn był kiedyś masą wólpłynną, która zalała owady, a potem skrzepła na kamień twardy i przejrzysty, w którym, jak w domku szklanym, pochowane zostały zwłoki tego owadu.

Otóż naprawdę tak było. Bursztyn jest skamieniałą żywicą sosnową. Niedługo brzegi Morza Bałtyckiego porosłe były olbrzymimi borami sosnowymi, a dziś jeszcze lasów takich jest dość, choćby w samej Połudzie. Ale największe takie puszcze były w Finlandji i Skandynawji. (Są to kraje leżące także nad morzem Bałtyckiem). Najbardziej zaś rozpowszechniony był wówczas gatunek sosny, zwanej sosną bursztynową, która była bardzo zasobna w żywicę.

Wszyscy wiemy, że sosny są drzewami żywicznymi, że dość naciąć korę, aby żywica wypłynęła obficie i zalepiła ranę tak, jakby kto opatrunek przyłożył.

W lasach sosnowych, przed wiekami, powstawało mnóstwo żywicy, która łatwo dostać się mogła do morza, zalewającego nieraz brzegi, a przytem strumyki tam ją niosły. Dostawszy się do wody, była ona prawdopodobnie toczona mułem, osadami morskimi, piaskiem, wodorostami — i powoli twardniała na kamień, aż wreszcie zmieniła się w bursztyn.

To też, zrozumieć teraz łatwo, że owady i okruchy roślin, znajduwane w bursztynie, pochodzą jeszcze z tych lasów odwiecznych: niegdyś przylgnęły nieopatrznie do żywicy, ta zaś nie wypuściła ich już ze swego lepkiego uścisku, lecz oblała szczelnie i przechowała na wieczną pamiątkę. Zatem bursztyn jest osobliwością Morza Bałtyckiego. Wyrzucano ono bezustannie na brzeg drobne jego okruchy, a gdy ruch wody jest gwałtowny, n. p. podczas burzy, to i wielki kawał znaleźć można na wybrzeżu.

Dzieci zbierają bursztyn wyrzucony przez fale na brzeg, a rybacy wylawiają go sieciami, albo przeszukują dno za pomocą odpowiednich przyrządów.

W niektórych okolicach trafia się bursztyn kopalny, to jest taki, co leży w ziemi, jak sól lub węgiel. U nas znaleźć go można pod Lwowem, Ostrołęką i Trzebiną w Galicji.

W Połudzie są fabryki wyrobów bursztynowych. Każdy robotnik ma przed sobą kosz pełen kawałków bursztynowych: tu widzimy same kawałki jasne, tam leżą gałki ciemne, tu kawałki są okrągłe, tam podłużne. Robotnicy obtaczają na małych warsztacikach tokarskich kawałki leżące w koszu. Ten toczy paciorki drobne, okrągłe, ten zaś wielkie, podłużne. Bo też najwięcej wyrabiają tam paciorków i różańców, a wszystek prawie towar wysyłają na wschód do Persji, Arabji, Turcji i Egiptu. W Niemczech są fabryki, które wysyłają swe wyroby do Chin i Japonji, nawet do Afryki. Tam bowiem bursztyn jest bardzo ceniony, tak jak to było u nas w czasach dawniejszych i za piękne naszyjniki płacą drogo. W Afryce zaś uważają bursztyn za amulet, to jest za kamień, chroniący od nieszczęścia, co naturalnie jest prostym zabobnem, gdyż bursztyn nie może posiadać takiej siły.

Z bursztynu wyrabiają także fajeczki, mundsztuki do cygarniczek i fajek, szpilki, broszki, pierścionki, medaliki i t. p.

Wartość bursztynu jest rozmaita, gdyż zależy od tego, czy dany kawałek ma piękny kolor, odpowiedni kształt i wielkość. Największą bryłę, ważącą funtów koło 17, znaleziono w Prusiech, a oceniają ją na talarów 10.000. Tam wydostają rocznie funtów koło 200.000 bursztynu, a samych fajeczek wyrabiają blisko za dwa miliony marek.

Zofja Rudnicka.

Kto w chmury się patrzy, plonu nie zdobędzie

Kto na wiatr czeka, nigdy siał nie będzie

Kto o lada fraszkę dąsa się, gniewa, ten się śmiesznym staje i przyjaciół nie ma.

SZCZURY I MYSZY.

Do największych szkodników w domowym i rolnem gospodarstwie należą szczury i myszy. Nietylko, że dają się we znaki, niszcząc rośliny i ziarna, oraz różne zapasy, zagryzając drób, kalecząc większe pożyteczne zwierzęta, ale roznoszą zarazki największych chorób. Dawniej w Europie znany był tylko szczur tak zwany śniady czyli domowy, z długim ogonem; dziś on jest niezmiernie rzadki. Długość jego wynosi 16 centymetrów. W wieku 18-tych przybył do Europy z Azji szczur tak zwany wędrowny i zupełnie prawie wytępił szczura domowego śniadego, zajmując jego miejsce w budynkach gospodarskich, na polach itp. Szczur ten większy, silniejszy, długości 24 centymetrów, z ogonem mniejszym, umiejąc pływać, stał się daleko uciążliwszym od pierwotnego, podobnego mieszkańca Europy, którego wytępił czyli od śniadego. Na okrętach przedostał się on do Ameryki i do innych krajów.

Od pewnego czasu w krajach z wysoką kulturą zwrócono uwagę na to, jak straszne szkody wyrządzają szczury, i poczęto je tępić energicznie. W Danii obliczono, że szczury, zamieszkałe tam, rocznie przyczyniają strat na dwa miliony dolarów w gospodarstwie rolnem, a oprócz tego roznoszą (przywożone na okrętach) zarazy dżumy, cholery i innych najgorszych chorób, roznoszą również zarodki soliterów i innych pasożytów, które zostawiają na podłodze, na murach itd., a które potem przedostają się na zwierzęta domowe i na człowieka. Podobne szkody wyrządzają i myszy, więc i je zaczęto usilnie tępić. Pozakładano stacje prywatne i rządowe, które wydają zarazki tak zwanego tyfusu mysiego i szczurzego. Tyfus ten, nieszkodzący ludziom ani zwierzętom domowym, działa na wspomnianych szkodników morderczo. Zarazki tyfusu tego (ale koniecznie świeże) umieszcza się na specjalnie rozrzuconem jedzeniu i wspomiane zwierzęta, zarażając się, giną szybko. Należy jednak zarazki te mieć zawsze świeże, inaczej nie działają.

Ciekawe spostrzeżenia nad szczurami i myszami poczynił jeden z kapitanów okrętu, przewożącego jedwabie do Europy. Zwierzęta te niszczyły mu jedwab, ale oczywiście musiały pożywiać się czemś innym i pić wodę słodką, znajdującą się na okrętach. Kazał więc kapitan wszelkie zapasy żywności niestrzeżone pozamykać szczelnie, jak również i wodę zdatną do picia, a wszelkie odpadki jada i wodę rozlaną skropić naftą. Drogę do jedwabiu, zachowawszy środki ostrożności, odgrodził specjalnymi zbiornikami naftowymi. Pomysł był szczęśliwy. Zauważono, że szczury wchłaniając i wdychając naftę, szybko ginęły. Zauważono przytem, że o ile nie ruszały naprzykład chieba, skropionego naftą, o tyle potrawy mięsne z naftą zjadały odrazu. Sprawdzono również, że podobny skutek wywiera naftalina. W gospodarstwie domowym sposób ten byłby niepraktyczny i niebezpieczny, ze względu na zapalność nafty i niezbyt wielką karność domowników. Przy stosowaniu go należałoby chyba zachować wielką ostrożność.

Nafty nie znosi i kret. Wiadomo, iż kret jest wogóle pożytecznym zwierzęciem, tępiącym robaki, ale skoro się zbyt rozmnoży, jest szkodliwy dla roślin. Otóż, ażeby go wypłoszyć, należy w jamę którą wykopał, wlać trochę nafty, a przynieść się gdzieindziej. Do tępienia szczurów i myszy używane bywają rozmaite pasty i ziarna, zaprawne trucizną. W wyborze ich jednak trzeba być ostrożnym, ponieważ pewne gatunki są nieszkodliwe dla ludzi i zwierząt domowych, ale niektóre zawierają silne trucizny, działając zabójczo na wszelkie organizmy i stąd łatwo o wypadek. Podobno szczury i myszy nie lubią również świeżej paproci i niektórych ziół, tak, jak mrówki zapachu pietruszki. Środki te jednak nie zawsze są skuteczne, choćby z tego względu, że szkodnik może je omijać i łatwiej działanie ich znosi.

W. Krzemien.

JAK PSZCZOŁY BUDUJĄ PLASTRY.

Właściwie gniazdo u pszczół w ulu składa się z kilku lub więcej plastrów woszczyny. Plastry te pszczoły budują z wosku. Wielu, niezających bliżej życia pszczół, sądzi, że wosk pszczoły też zbierają z roślin. Myślą np., że z kulek pyłku, jakie pszczoły przynoszą na tylnych nóżkach do uli, pszczoły woszczynę budują.

Tymczasem tak nie jest. Możemy, chcąc przekonać się o tem nazbierać takich kulek i smażyć je w jakim rądelku, zobaczymy jednak, że to rozsypie się na proszek, a topić się nie będzie. Wosk pszczoły wypacają pomiędzy brzuszными półpierścieniami, położonemi na odwłoku pszczoły. Pomiedzy tymi półpierścieniami są zagłębienia, jakby kieszenie płytke, wyścielone cieniutką błonką, i tu właśnie osadzają się cieniutkie płytki wosku. Są one tak cienkie, że trzeba złożyć ich 100 żeby z tego ugnieść kuleczkę wosku, wielkości ziarnka pszenicy. Te łuskiewki wosku pszczoły zbierają jedna z drugiej, mieszają je ze swoją śliną i z tego wylepiają kształtne śnieżno-białe plastry.

Wosk mogą pszczoły wypacać tylko przy większem cieple w ulu (do 40° ciepła R) i przy bardzo obfitem odżywianiu się miodem i pyłkiem. To też wypacają wosk i budują plastry tylko późniejszą wiosną i w lecie przez czerwiec i lipiec. Już przy końcu lipca, gdy nastają noce chłodne, dudowanie plastrów przychodzi im z trudnością.

W czasie większych zbiorów, kiedy pszczoły mają dużo młodych gąsieniczek na pszczoły i trutnie i dla wyżywienia ich wytwarzają dużo pokarmu, t. zw. mleczka, odżywiać się i tak część z nich musi bardzo obficie, to te pszczoły wypacają jednocześnie i wosk.

Pszczoły w każdym ulu mogą wypo-

cić wosku bez wysiłku na 4—5 plastrów corocznie. Jeżeli jednak zmuszone są budować więcej, to muszą umyślnie lepiej się odżywiać, aby więcej wosku wyprodukować.

Jest wyliczenie, że pszczoły na funt wosku muszą zjeść prócz pyłku 12 funtów miodu. Widzimy przeto, że pszczołom plastrów niszczyć nie należy. To też przy dzisiejszej gospodarce w ulach ramowych, miód, zebrany przez pszczoły, na przyrządzie, zwanym miodarka, wyrzucamy z plastrów, a same plastry nieuszkodzone przechowujemy z roku na rok. Przytem zaoszczędzamy pracy pszczołom. One, mając gotowe plastry, dane w czasie większego zbioru, w ciągu paru dni mogą nalać kilkadziesiąt funtów miodu. A taki pożytek nieraz bardzo krótko trwa.

Pszczoły, niemające gotowych plastrów, zmuszone je budować dopiero w tym czasie, nie mogą miodobrania wyzyskać. Zanim plastry (naczynia swe na miód) przygotowują, tymczasem miód w polu przepadnie. Widzimy przeto, że w prostych ulach nierozbieralnych, jak kłodykószki, gdzie corocznie wycina się znaczną część plastrów razem z miodem i pszczoły są zmuszone budować corocznie nowe plastry, tyle one nie dadzą, jak w ramowym ulu.

Pszczoły, chcąc więcej wosku wyprodukować, zachowują się tak, jak my postępujemy z pasionymi wieprzami lub gęsiami. Silnie najadłszy się pozostaje bez ruchu czas dłuższy, wtenczas wosk lepiej wypacają się. W tym celu czepiają się jedne drugich nóżkami i wiszą łańcuszkami u dołu pod budującymi się plastrami.

Pszczoły budują w plastrach komórki dwojakie, mniejsze, t. zw. pszczele, drugie

trutowe. W pierwszych wylęgają się pszczoły robocze, w drugich trutnie. Miód pszczoły składają tak w jedne, jak i drugie komórki. Pyłek jest składany tylko w komórki pszczele.

O ile pszczoły chcą budować mateczniki, budują jeszcze większe komórki, zwane miseczkami, w nie składa matka jajeczka na młode matki. Komórki są zawsze sześciokątne, tylko dla matki okrągłe.

W środku plastra znajduje się cienka ścianka z wosku; z obydwóch jej stron położone są komórki, nieco ukośnie ku górze, a to dlatego, żeby z nich miód nie wylewał się.

Plastry pszczoły budują zawsze z góry do dołu. Gniazdowe plastry mają zwykle całową grubość. W tyle gniazda i u góry gdzie są zapasy miodu, znajdujemy plastry grubsze, zwane magazynowymi. Między plastrami gniazdowymi przejście, t. zw. uliczka, zawsze na pół cala, w magazynie mniej.

Niezmiernie jest ciekawe, jak pszczoły zaczynają budowę plastrów w prostym ulu, gdzie im nie dano początków: rozmierzają same odstęp pomiędzy jednym, a drugim plastrem. W tym celu ustawia się trzy pszczoły, jedna przy drugiej, wzdłuż. W takim to odstępie budują środkowe ścianki plastrów. Im więc pszczoły są większe, tem i plastry są grubsze, komórki głębsze, bo uliczka zawsze będzie jednej szerokości.

Plastry świeżo zbudowane są białe jak śnieg, po kilku latach stają się ciemne, prawie czarne, a to z tego powodu, że każda wylęgająca się w komórce gąsieniczka pozostawia pochwę, t. zw. koszulkę, jaką była okryta. Z czasem tyle tych koszulek nagromadzi się, że plastry stają się ciemne, a komórki ciaśniejsze. Wylęgające się w takich komórkach pszczoły będą mniejsze. To przyczynia się może do wyradzania się pszczół. Pla-

stry więc gniazdowe powinny być co kilka (6—8) lat zmieniane.

O ile wypocony wosk pszczołom nie potrzebny, składają go one na ściankach uli w postaci różnokształtnych bryłek. Na wiosnę, zaczynając budowę, pszczoły zbierają to, i pierwsze plastry zrobione są zwykle ze starego zapasu i te są bronzowe. Nazywamy to „ponową”. Pszczoły, zostawione same sobie, budują raz plastry tak, że są skierowane wszystkie kaniem do wylotu (oczko), innym razem przeciwnie, idą plastry napłask do oczka. W pierwszym wypadku nazywamy, że gniazdo w ulu ma budowę zimną, w drugim ciepłą. Dawniejsze ule Lewickiego miały budowę ciepłą. Obecnie używane u nas ule warszawskie mają kaniem skierowane plastry do oczka, a więc budowę zimną. W takich ulach powietrze świeże łatwiej do uli wpada wylotem i lepiej się odświeża. Pszczoły za to mają zimniej i stąd ta nazwa.

Aby pszczołom ułatwić pracę budowania plastrów, wyrabiają obecnie t. zw. sztuczną woszczynę, a raczej węzę. Są to właściwie zaczątki komórek, ale pszczoły mają już pracę niezmiernie ułatwioną, a co najważniejsze budują już tylko plastry pszczele, co nam ułatwia gospodarke w pasiece.

St. Brzóska.

Dziwna rzecz.

Jeruzalem. Podczas burzy śnieżnej w tym mieście — trzy drzewa zwane «El Butini» w ogrodzie Getsemane z korzeniami przez burzę zostały z ziemi wydarte. Z tego powodu między ludnością mahometańską panuje przygnębienie. Gdyż podanie chodziło między ludźmi, że dopokąd te drzewa stoją dotychczas będzie istnieć państwo Otomańskie. Trzeba także wiedzieć, że drzewa «El Butini» były przywiązane żelaznymi szlabami, a jednak wiatr zdołał je obalić.

Cudy Azjatyckie a Polska.

Niedawno powrócił do Polski z dalekiego Wschodu dr. Stanisław Strzemecki, który podaje ciekawe wiadomości o rzeczach, które winne być przedmiotem bacznej uwagi. Polska z wielu względów musi z ludami Dalekiego Wschodu nawiązać najściślejsze i najwyższe stosunki.

Otwierają one przed nią rozległe polityczne i gospodarcze widnokręgi.

Rząd carski pracował nad tem gorliwie, aby w Azji, a szczególnie w Syberji Polacy nie byli nieznani tubylczej ludności. We wszystkich transportach zesłańców politycznych, Polacy stanowili najpoważniejszy odsetek. Ludność miejscowa nie mogła też do niedawna inaczej sobie wyobrazić Polaka, jak skazańca. Ale też pamiętać, jaką zostawili po sobie polscy «buntownicy», jest świetną. Przynosili oni wyższą kulturę i umiejętność pracy, którą dzielili się z Azjatami, a zapatrzeni w stronę Polski, mieli w sobie tę wysoką godność ludzką, którą daje tylko ukochanie ideału.

Zamożniejsze domy bankierskie w Ufie dziś jeszcze z wielką wdzięcznością wspominają nazwiska powstańców, którzy byli nauczycielami domowymi ich dzieci. Skoro tylko pojawiły się orły wojska polskiego na Syberji, baszkirzy prosili o polskich instruktorów wojskowych, proponowali wzajemne popieranie się, ofiarując produkta rolne i koncesje w swym bogatym kraju.

Burjaci, którzy mają duże znaczenie w irkuckiej gubernji i szybko się cywilizują, wygotowali projekt wydawania wspólnej z Polakami gazety demokratycznej.

Stosunek Tatarów i Kirgizów do Polaków był również bardzo przyjacielski.

Koreańczycy wysłali do Polskiego Komitetu Wojennego deputację z gratulacjami, że Polska odzyskała niepodległość. Znają oni dokładnie nasze dzieje i w nich czerpią otuchę w walce o swą wolność.

Japończycy uważają nas za «blizkich» sąsiadów i zbierają o nas skrzętnie informacje, a konsul japoński rzekł żartobliwie do dra. S. w Charbinie: «Pod Mukdenem i Cuszimą kładła Japonja podwaliny pod niepodległość Polski!»

W prasie ukazują się wcale częste notatki o Polsce, a ze strony polskiej informuje prasę japońską p. Pałkowski, urzędnik Polskiego Komitetu Wojennego, władający dobrze językiem japońskim i chińskim.

Co do Chińczyków, to ci jeszcze nie wiele wiedzą o Polakach, z którymi się stykają przedewszystkim w Mandżurji. Podobają się im tylko bardzo nasze orły, które oni uważają za rodzaj smoka, a stąd wojsko nasze nosi w ich językach nazwę wojska «żałobnego smoka» (jako, że kolor biały oznacza u nich żałobę).

Truciciele i Ludożercy Hayti.

Księża-zaklinacze w Hayti, tak zwani «papalois», posiadają gruntowną znajomość użytku roślin, za pomocą których mogą spowodować śmierć — powolną lub natychmiastową — szaleństwo, idiotyzm, jak również uczynić kogoś bogatym lub biednym — stosownie do ich kaprysu i woli.

Pewien lekarz amerykański, rodem z North Carolina, dawniejszy długoletni mieszkaniec w Hayti, opowiadał, że wegetacja wyspy tej jest nadzwyczaj bogata w rośliny lekarskie, i stąd tamtejsi księża-zaklinacze za pomocą swej znajomości zalet tych medycznych

roślin, są w stanie czynić rzeczy nadzwyczajne.

Zdarzyło się kilkakrotnie, że osoby, które udały się wieczorem na spoczynek w normalnym stanie zdrowia i w zupełności posiadaniu wszystkich zmysłów, na drugi dzień rano zbudziły się idiotami, i pomimo wszelkich starań lekarskich, zostawały w tym stanie przez dni kilka, poczem naraz odzyskały dawniejszą przytomność i jasność umysłu.

Jeden przypadek szczególnie zwrócił na się większą uwagę. Pewnej nocy na cmentarzu w Port au Prince usłyszano przeraźliwe krzyki. Na drugi dzień rano policja udała się na miejsce zakłócenia nocnej ciszy i spostrzegła poruszony grób a przy nim otwartą trumnę. Przy trumnie leżało ciało jednej damy, której zwłoki pogrzebade były dnia poprzedniego. W piersiach tkwił sztylet wbity głęboko, i ponieważ strumień krwi rozlany był na około zadanej rany, jasnym było, że dama pogrzebana była żywcem. Policja aresztowała wiele osób podejrzanych, lecz sprawa ta w krótkim czasie została przytłumiona.

Okazało się, że jedna niewiasta, do której mąż jej przed ożenieniem się zalecał żonie «mamalois» czyli usypiającej rośliny i gdy pozornie umarła żonę pogrzebano, zbrodniarka dla wykonania zemsty w zazdrości udała się w ciszy nocy na grób, trumnę żony wydobyla i sztyletem zamordowała pogrzebaną. Zanim wykonała śmiertelny cios, pozornie umarła odzyskała przytomność i widząc morderczy sztylet w ręku przyjaciółki, wydała kilka okrzyków zgrozy.

Przeraźliwe okrzyki zwróciły uwagę kilku jamajskich murzynów. Byli jednak tak przesądnymi i zabobonnymi, że nie śmieli się zbliżyć do miejsca, z którego okrzyki pochodziły i tym sposobem nie przybyli na pomoc ofierze. Ich kroki skierowane ku grobowcowi, sprawiły, że morderczyni pozostawwszy utkwiony sztylet w piersiach umarłej, czempredzej uszła. Na drugi dzień rano znaleziono ciało młodej żony obok trumny, sztywnem. Śmierć nastąpiła z upływu krwi.

O powyższem wspominał także Sir John Spencer w swym dziełku o Hayti

i wielu ludzi tutaj potwierdziło wiarygodność tego wydarzenia.

Pewna Węgierka w Brizoton powiedziała mi, że płuca i serce tej zasztyletowanej damy zostały wyrwane z ciała i usmarzone i zjedzone przez ich «papaloi».

Jeden z ministrów gabinetu Hayti opowiada mi co następuje: Pewna Francuzka, usłyszawszy o chorym haytiskim dziecku w pobliżu jej domu, z dobroczynności poszła je zobaczyć. Znalazła dziecko znajdujące się w stanie odurzonym na łonie matki. Francuzka począła podejrzewać, że nie jest to choroba naturalna i ostro zapytała się matki, co jest z dzieckiem. Jej odpowiedzi, lubo żalosne, były tak niezadawalniającymi, że dobroczynna dama francuzka postanowiła mieć matkę i dziecko na oku. Przybyła jeszcze raz tego samego dnia wieczorem, gdy jej powiedziano, że dziecko umarło. Oświadczyła, że koniecznie chce zobaczyć trupa, i przekonała się, że chociaż serce było spokojnem i pulsa nie były, dziecko jednakowoż nie było ani zimnem ani sztywnem. Swoje uwagi opowiedziała stojącym wokoło ciała dziecka, na co odrzekli: «tak jest umarłem». Potem przywołała matkę na stronę i wypowiedziała jej swą wątpliwość co do śmierci dziecka, że powróci na drugi dzień rano ze swym mężem i żeby przed tym czasem nie pozwoliła na pogrzeb.

Na drugi dzień rano wierna danemu przyrzeczeniu, dama francuzka przybyła z mężem. Matka dzieciaka powiedziała mu, że ulegając namowom sąsiadów, pozwoliła na pochowę i wskazała grób. Francuz, mąż dobroczynnej damy, przywołał ludzi i kazał odkopać grób, lecz trupa dziecięcia w nim nie było.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa ci sami sąsiedzi, którzy nakłaniali matkę do pochowania, grób odkopali i ciało dziecka wydobyli.

Pewna pani, wdowa po protestanckim misjonarzu na Bahama wyspach, która po śmierci męża spędziła kilka lat w głębi Hayti na północny wschód od Goniwes, opowiedziała kilka zdarzeń z jej naocznego doświadczenia.

Opowiadała, że w wielu wioskach

w głębi kraju, wzdłuż szosy prowadzącej do Cape Haytien, ciała ludzkie jest otwarcie sprzedawane w jatkach.

Pewien kupiec z Gonaives opowiadał mi, że kilka lat temu widział jak kilku żołnierzy znęcało się nad jednym człowiekiem, niosącym wielki kosz na ramieniu. Kupiec zapytał się sierżanta o przyczynę takiego niehumanitarnego traktowania owego człowieka, na co sierżant w odpowiedzi kazał mu podnieść wieko kosza i zobaczyć, co zawiera. Kupiec uczynił tak i zobaczył ciało dziecięcia pocięte w drobne sztuki.

Pewien pan, w towarzystwie żony, postanowił odbyć konno podróż z Cape Haytien do Gonaives, temu kilkadziesiąt lat. Gdy znajdowali się na końcu przedmieścia, niespodzianie nastąpiła burza i zmuszeni byli stanąć w pobliżu domu, aby nie zmoknąć do nitki. Gdy weszli do domu znaleźli w nim dwóch mężczyzn i jedną starą kobietę. Żona pana poprosiła o szklankę wody. Wkrótce po wyjściu poczęła skarżyć się na bóleści. Mąż dla ratowania żony pozostawił ją w domu, a sam skoczył na koń i czempredzej pojechał po lekarza. W godzinę później powrócił z lekarzem, lecz nie zastał już żony. Mieszkańcy domu powiedzieli mężowi, że jego żona poczęła się czuć niespokojną i wyszła za nim. Mąż udał, że wierzy, powrócił do Cape Haytien i zebrawszy kilku przyjaciół, napowrót pojechał z nimi do przydrożnego domu w przedmieściu. Gdy przybyli otoczyli dom tj. chatę i zmusili mieszkańców do powiedzenia prawdy. Przyznali się, że zabili damę, porabiali jej ciało i mieli je już nasolone w cębrze po za domem. Zrozpaczony mąż na miejscu zastrzelił wszystkich trzech zbrodniarzy i tej samej nocy uciekł za granicę do San Francisco.

Kapitan jednego ze statków przypływających do Gonaives powiadał, że w Jaemel, na wybrzeżu południowym, kilka lat temu jedna stara kobieta, akuszerka, znajdując się na łożu śmiertelnym, wśród bóleści i w zapasach ze śmiercią, powiedziała zgromadzonym sąsiadom: «Nie mogę umrzeć w spokoju. Odsuńcie łożko i kopcie ziemię».

Sąsiedzi uczynili, jak sobie umierająca akuszerka życzyła, i wykopali dwa

dzieńca sześć szkieletów, które, jak się stara jędza przyznała, były szczątkami po dzieciach, które pożarła. Po tem odkryciu stara baba umarła z «czystym» sumieniem.

Kilku kanibalów czyli ludożerców, którzy zostali aresztowani i zabrani do Port au Prince za czasów prezydentury Geffard'a, porobili straszne zeznania pod wpływem tortury wkręcania śruby w pązgnocie, gdyż bez tego środka nie było możebnem wydobyć choć jednego słowa. Pewien ksiądz francuski był tyle ciekawym, że poszedł ich zobaczyć.

Z początku nie chcieli ani słowa do niego przemówić, lecz gdy zaczął oburzać się na niehumanitarność torturowania ich, zaczęli mu się zwierzać. Jedna kobieta opowiedziała mu, że swoje własne dziecko oddała na ołtarz ofiary — tak jak uczynił Abraham i dodała, że następnie zjadła część ciała swojego dziecka, ofiarowanego jej przez «papaloi».

«I jak mogłaś tak uczynić?» zapytał się, zgrozą przejęty ksiądz.

«A czemu nie? Któż ma większe prawo do dziecka, jeżeli nie własna matka» odpowiedziała szkaradna baba spokojnie i chłodno.

Księża-zaklinacze czyli «papalois» jeśli nie dostaną dobrowolnie dzieci na zjedzenie, zatrudniają tak zwanych «loup-garous» dla kradzenia dzieci na ofiarę.

Te dziecko-lapy kręcą się przy końcach miast lub przedmieściach miast i miasteczek i porywają małe dziewczynki, jakie tylko nawiną się pod rękę.

Nie ma wątpliwości, że ci «loup-garous» nie tylko porywają dzieci na ofiarę, dla swych księży-zaklinaczy, lecz również dla zaspokojenia wstrętnego apetytu ludożerców w głębi kraju na rozmaite dni uroczyste.

Zdarzyło mi się dowiedzieć o jednym przykrym wypadku porwania dziecka cudzoziemca. Pewien kupiec francuski w małej miejscinie nazwiskiem Juanamendez miał małą 3-letnią córeczkę, którą jednego wieczoru wydarł silny negier z rąk piastunki. Negier usiłował ukryć się z dzieckiem w krzakach, lecz ojciec dziecka na krzyk piastunki wskoczył na koń i tak szybko popędził za dziecio-lapem, że go dogonił i celnym wystrzałem z rewolweru rozbił czaszkę i swoje dziecko ocalił.

Wydobywanie diamentów z rzeki Tibagy



Wydobywanie diamentów z rzeki Tibagy

MÓJ BRAT!

Dziś w nocy, z lancą w ręku,
w husarskim srebrnym stroju,
przez okno brat umarły
zaglądał do pokoju.

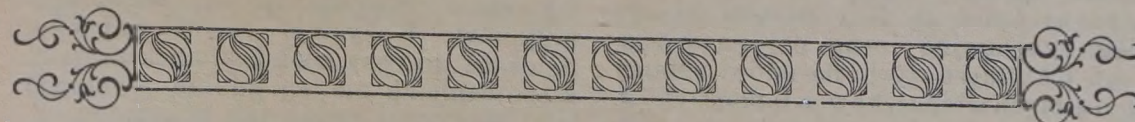
Miał księżyc na pancerzu
i w oczach blask zielony —
mój brat w moskiewskiej turmie¹⁾
przed laty zamęczony.

10 grudnia 1916.

Koń jego pod jaworem
bił niespokojnie nogą,
huf²⁾ jego towarzyszy
od lasu ciągnął drogą...

A on, swą srebrną ręką,
zgarbiając księżyc z czoła,
z za okna mówił do mnie:
— Wstań, bracie, Polska woła! —

Jerzykowi — ojciec.



CO TO JEST SANSKRYT?

Sanskryt jest językiem literackim Hindusów, zamieszkujących część Azji. Przeszło dwa tysiące lat był podtrzymywany sztucznie przez literatów i kapłanów, gramatyków i słownikarzy. Już na 2.000 lat przed Chrystusem przestał być językiem żywotnym t. j. używanym przez naród, a już wtedy posiadał bogatą literaturę, poezję i liczne dzieła naukowe. Od niego pochodzą prawie wszystkie języki europejskie, nazwane dla tego indoeuropejskimi, choć Niemcy nazywają je niesłusznie indo-germańskimi. W języku polskim pochodzi z niego wiele wyrazów np. boję się, bhjami, bajać, ba, babrać bahru, ryć, ri, owca, avis, barszcz, barsztis t. j. ówika, bary bhra t. j. nosić, baśń bhasa t. j. opowiadać; bawić gdzie bhavana t. j. mieszkać, matka ma t. j. rodzić; bieda bhada t. j. nieszczęście;biegnąć bhoug t. j. uciekać; blady palita; cztery czatur; dmuchać dhma; dar darta; dom domas; droga dhraga t. j. wędrować; dwa dva dwi; dwoje dvaja; dym dhumas; gryźć girma itd.

Naturalnie, że przy przechodzeniu wyrazu z jednego języka do drugiego zachodziły w nim pewne zmiany.

Bogactwa Europy.

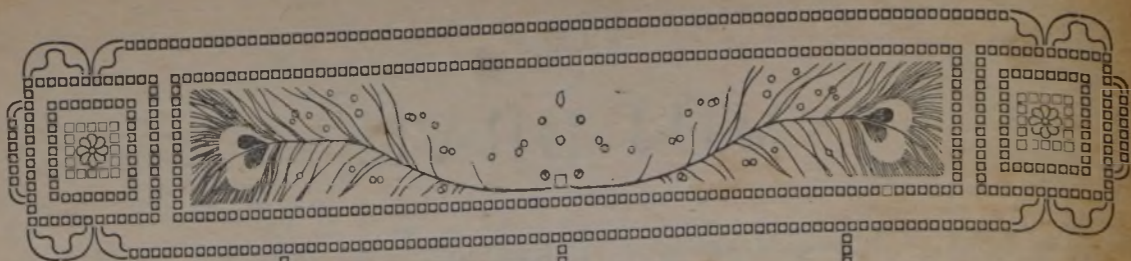
W Paryżu wyszła ciekawa książeczka traktująca o bogactwach Europy.

Cały majątek ruchomy i nieruchomy naszej części świata wynosi 1175 miliardów koron (miliard — 1 tysiąc milionów).

Bogactwo to rozkłada się na poszczególne państwa w ten sposób: najbogatsza jest Anglja (mowa tylko o wyspach Brytańskich bez kolonji), w której majątek wynosi 295 miliardów koron, następnie idzie Francja: 257 i pół miliardów, Niemcy 200, Rosja 160, Austro-Węgry 100, Włochy 80, Belgja 15, Holandja 22 i pół miliardów koron.

Gdyby podzielili wszystkie bogactwa Europy między jej mieszkańców, to majątek każdego Anglika wynosiłby 7400 koron, Francuza 5600 koron, Holendra 4610 koron, Austriaka i Włocha 2500 koron, Rosjanina 1500 koron.

¹⁾ Turma — więzienie. ²⁾ Huf — drużyna, oddział.



CHINY I JAPONJA.

Na dalekim wschodzie azjatyckim żyją dwa stare narody, których typy i nazwanie znane są przeciętnemu mieszkańcowi Ameryki, lecz obcemi są dla niego zwyczajne jasne pojęcia o rozwoju i kulturze tych narodów. Mamy tu na myśli Chińczyków i japończyków. Obydwa te narody należą do rasy żółtej, obydwaj posiadają bardzo dużo wspólnych cech językowych, religijnych i obyczajowych, żyją w niedalekim sąsiedztwie, a jednak są między nimi ogromne różnice, zwłaszcza pod względem społecznym, politycznym, jako też i pod względem poglądu na świat i życie. Chińczycy są narodem kontynentalnym, Japończycy są narodem wyspiarskim.

Przed wojną światową mało, na ogół biorąc, zajmowano się sprawą japońską, a jeszcze mniej chińską, tak w Europie jak i w Ameryce. Dopiero pod czas wojny, a jeszcze więcej po wojnie zaczęto zwracać ogólnie baczniejszą uwagę na chytre spojrzenia kosookich synów Niponu, na dalekim wschodzie i na krzątanie wylęknionych, dawnych poddanych «Syna słońca» o czarnych warkoczach, którzy niedawno, bo w r. 1911, przestali wierzyć w nadziemskie przywileje koronowanych władców na tronie i stali się wolnymi republikanami.

Od czasu wojny światowej uczeni, historycy i dyplomaci zaczynają wglądać coraz głębiej w życie wspomnianych dwóch narodów i zastanawiać się poważnie, czy też światu nie grozi czasem niebezpieczeństwo z dalekiego wschodu,

czy rasie białej (kaukazkiej) nie zagraża wojna większa, niż wszystkie inne, dotychczas znane, ze strony rasy żółtej, która przedstawia siłę siedmiuset milionów. Wszystkie razem państwa, należące do rasy białej alianckie wraz z centralnymi, nie są zdolne wystawić tak olbrzymiej armii, jak połączona rasa żółta pod przypuszczalnem przewodnictwem Mikada.

Bardzo zajmujące i wyczerpujące studjum o rozwoju, kulturze i przyszłości Chin i Japonii podaje słynny profesor i jurysta Najwyższego Sądu (Supreme Court), Welsey O. Howart, którego sympatje są po stronie Chińczyków, jako narodu spokojnego, pracowitego, usposobionego demokratycznie i posiadającego o dużo starszą cywilizację, niż narody Europy lub Ameryki.

Religia Chińczyków.

Reformatorem i twórcą religii Chińczyków jest Kung Fuztse, z łacińska Confucius. Urodził się w roku 551 przed Chrystusem, umarł, mając lat 72. Pochodził z rodziny książęcej, o której spotyka się wzmianki jeszcze w roku 2697 przed Chrystusem. Ojciec jego był komendantem w Tsan i miał sławę dzielnego żołnierza. W roku 501 został Confucjusz zamianowany gubernatorem miasta Chungstu, w prowincji Lu. Na tym stanowisku okazał się nie tylko zdolnym administratorem, ale i znakomitym nauczycielem etyki i praktycznej mądrości życia. W jego gubernacji zakwitł dobrobyt, zadowolenie i moralność wśród obywateli, pomimo, że Confucius był gubernatorem nadzwyczaj łagodnym i

wyrozumiiał. To też wkrótce potem powołany został na urząd ministra Pracy, a następnie na urząd ministra Sprawiedliwości. Confucius był z urodzenia Chińczykiem. Grób jego znajduje się w Shan-tung, o który właśnie w Waszyngtonie toczą się spory, aby go nie wydać w ręce Japończyków.

Confucius był człowiekiem prostodusznym i prawdomównym i nie myślał nigdy o założeniu nowej religii, lecz pragnął udoskonalić etycznie swoich ziomków tylko na podstawie zdrowego, ludzkiego rozsądku i praktycznego rozumu. Był on wzrostu niepokąźnego a na szczycie głowy miał dużą narośl. Już za życia miał Confucius tysiące zwolenników i wielbicieli. Po jego śmierci uczniowie spisali jego naukę, która stała się urzędową religią Chińczyków. Z biegiem czasu Confucjusz dla Chińczyków i wogóle dla milionów rasy mongolskiej, stał się tem, czem czem Chrystus dla Chrześcijan. Jako charakterystykę Confuciusa podają następujące, wybitne szczegóły: «Od czterech rzeczy Confucius był wolny: 1. Od uprzedzeń, 2. Od stronniczości w osądzaniu, 3. Od uporu, 4. Od samolubstwa. Nie lubił rozprawiać o rzeczach nadzwyczajnych, o dziełach ludzkiej siły, o rewolucjach i zapalach. Natomiast lubował się w listach, w etyce, w prawdomówności i w prawdzie.

Rzadko kiedy rozmawiał o korzyściach materialnych, o przeznaczeniu człowieka po śmierci i o niebie, jako też o enotach doskonałych.

W trzech rzeczach radził zachowywać wielką ostrożność, a mianowicie: w postach, w wypowiedaniu wojny i w leczeniu chorób. Małą wartość przykładał do modlitw i do obrzędów religijnych. Główną **zasadą jego etyki** jest jego przysłowie:

„*Nie czyni drugiemu, co tobie nie-miło*“

„*Odplacaj się dobrem za dobre, a za krzywdę sprawiedliwością*“.

Nauka Confuciusa uznana została przez państwo za urzędową i poleconą całej ludności chińskiej. Czy, i o ile korzystną była dla państwa nauka Confuciusa, pokazały skutki, jakie wywarła na dalszy rozwój Chińczyków. Nauka Con-

fuciusa nie podnieca ambicji narodowych, nie zaleca zdobywania świata w drodze wojny, ale zaleca życie spokojne i pracowite na własnej ziemi.

Zabytki kultury chińskiej.

W chwili przyjscia na świat Confuciusa byli już Chińczycy narodem wysoko ucywilizowanym. Cywilizacja chińska sięga do 2.000 lat przed Chrystusem. Gdy Mojżesz wyprowadzał bezładną i ciemną tłuszcę żydowską z Egiptu, Chińczycy byli już państwem doskonale zorganizowanym. Gdy Chińczycy korzystali w całej pełni z dobrodziejstw cywilizacji, w Ameryce zjadali się nawzajem dzicy Indianie, a w Europie biała rasa (kaukazka) prowadziła żywot półdziki, półnagi, zdobywając oszczepem w lasach i siecią w rzekach i jeziorach środki do życia. W Chinach wykryto pierwaj obieg krwi, niż w Europie (odkrył go Anglik W. Harwey 1578—1657). Na tysiąc lat pierwaj znano w Chinach niż w Europie szczepienie ospy, wynalezione w Anglii przez dra E. Jenera (1748—1823). Znano również od dawna proch strzelniczy i studnie artezyjskie. (Bardzo głębokie, tak nazwane od prowincji Artois, we Francji). Sztukę drukarską, odkrytą w Europie w r. 1438, znaleźli Chińczycy już 500 lat przed tem i wydawali drukowane książki, które licznie kursowały w obiegu. Znali dawno porcelanę, papier, jedwab, wyrób okularów i t. p.

«Egzamina kwalifikacyjne na cywilne stanowiska urzędowe, którym to egzaminom tak niechętnie poddają się ludzie w Stanach Zjednoczonych» — jak mówi dowcipnie Sędzia Howard — «zainaugurowali Chińczycy jeszcze przed narodziem Chrystusa i z czasem cały system służby cywilnej tak udoskonaili, że państwo może na nim polegać. „*Kwalifikacja, nie protekcja jest w Chinach kluczem otwierającym dostęp na stanowisko*“.

Do najsławniejszych zabytków starodawnych Chin należy Wielki kanał, mający około 1.200 mil długości, sięgający od Hang-Chow aż w poblizę stolicy Chin, Peking. Szerokość kanału, którego brzegi są mocno wymurowane,

dosięga w niektórych miejscach 300 stóp szerokości. Nad kanałem wznoszą się wspaniałe mosty, a na brzegach jego wyniosłe pagody (świątynie). Ta to wspaniała droga handlowa, wodna, sięga 486 roku przed narodzeniem Chrystusa.

Cały kraj pokrywa gęsta sieć kanałów nawodniających kraj tam, gdzie jest brak wód naturalnych.

Drugim słynnym zabytkiem jest "Chiński mur," zbudowany na przestrzeni 1.240 mil. Jest to odległość od końca do końca tak wielka, jak droga z Boston, Mass. do St. Paul, Minn. Mur ten zbudowany przeważnie z kamienia ciosowego. Grubość muru przy fundamencie wynosi 25 stóp, zaś wysokość od 20 do 30 stóp. Co 600 stóp wznosiły się wieże 40 stóp wysokie. Mur ten ciągnie się nieprzerwanie przez równiny, góry, bagna, rzeki i potoki. Wybudowali go Chińczycy, aby swój bogaty i cywilizowany kraj zabezpieczyć przed napadami barbarzyńskich hord z północno-zachodniej strony.

Chińczycy są znakomitymi rolnikami.

Sędzia W. O. Howard wykazuje w swojej rozprawie, że niema chyba narodu tak pracowitego i tak umiejącego wyzyskać płodność gleby jak Chińczycy. Nie zmarnuje się tam żaden odpadek przydatny na nawóz. Dzięki tej zapobiegliwości i oszczędności, której brak zarzuca autor swoim ziomkom w Ameryce, państwo chińskie daje sobie radę z nadzwyczajnym przeludnieniem. Państwo chińskie, w obszernym znaczeniu, pod względem przestrzeni, jest prawie tak wielkie jak Europa. Obejmuje 180.000 mil kwadratowych, na których mieszka 370 milionów ludzi.

Stare to bardzo państwo, unikało wojen, wyniszczających ludność orężem, niewolą i chorobami powojennymi więc nie dziwnego, że liczba narodu z biegiem wieków ogromnie się wzmożła. Gleba w Chinach nie wszędzie jest urodzajna. Większa część to żółta glina od której koloru, kolor żółty stał się w Chinach kolorem narodowym. Mimo to Chińczycy zdołali uprawę roli doprowadzić do szczytu doskonałości. Rolnic-

two jest w wielkiej czci u Chińczyków i cieszy się nadzwyczajną opieką publiczną i prywatną.

Rzut oka na polityczną karierę Chin.

Wspomnieliśmy poprzednio że chwili, gdy Confucius rozpoczął swoją działalność nauczycielską, państwo chińskie było już w pełnym rozwoju cywilizacji, było doskonale zorganizowane. W tym czasie występuje w Wielkiej Grecji (tak zwano południową Italię) słynny matematyk i filozof, Pytagoras, w Rzymie panuje ostatni król, Tarkwiniusz Pyszny, a w Persyi Cyrus.

Wszystkie te państwa, sławne jak na owe czasy, o dużo przewyższali swą kulturą Chińczycy. Po upadku państwa rzymskiego (w roku 476) pogrążyła się Europa w średniowiecznych ciemnościach, podczas gdy Chiny w tym czasie postąpiły daleko naprzód. W roku 627 zasiadł na tronie chińskim T'aitung, przybrawszy tytuł cesarza. Nazwał on się zarazem bratem słońca i synem księżycy dla dodania większego oroku swej władzy cesarskiej. Odpowiada to chrześcijańskiemu "pomazaniec pański". Następca T'ai-tsunga był niedołągą, lecz za to dzielną i mądrą kobietą była jego żona, cesarzowa, Wu How, która rządziła Chinami pod imieniem męża przez lat 33, a następnie, po jego śmierci, samodzielnie przez lat 22. Za panowania tej cesarzowej były Chiny największem, najbogatszem, najpotężniejszym i najbardziej postępowem państwem na całym świecie.

W roku 1911 nastąpiła zmiana formy rządów, Chiny stały się demokratyczną republiką a w czasie wojny światowej opowiedziały się po stronie republiki francuskiej i amerykańskiej i wypowiedziały wojnę Niemcom.

Chińczycy, na ogół, są narodem spokojnym, cierpliwym, przestającym na małym, szanującym prawa, pracowitym i nadzwyczaj tolerancyjnym pod względem religijnym. Nigdzie wyznania religijne nie cieszą się taką swobodą, jak w Chinach. Religia Confuciusa jest religią urzędową i ma miliony wyznawców. Obok niej jednak panuje zupełnie

równorzędnie Buddyzm, Taoizm, Mahometanizm i inne religie. Chrystyanizm robi tam słabe postępy — zwykle za pieniądze — bo Chińczycy są narodem nawskroś materyalistycznym, oddanym rozważaniu nad zdobywaniem dóbr tego świata i nad oswobodzeniem ciała od cierpień, a nie chcą i nie lubią myśleć o dobrach w przyszłym życiu, w królestwie niebieskim ani o zbawieniu duszy przez poddawanie się cierpieniom i nędzy. Ze względu na starą kulturę i ogromną liczbę zaludnienia, Chińczycy mogliby się stać dla świata bardzo niebezpiecznymi, gdyby porzucili religię Confuciusa, religię umiarkowania i spokoju, a przyjęli niemiecką religię boga wojny, którą, jak wieść niesie pojechał głosić Chińczykom były niemiecki generał Mackensen wraz z kilku tysiącami apostołów militarizmu.

Japończycy.

Na wschód od Chin ciągnie się archipelag wysp wulkanicznych, na których mieszkają wstawieni w wojnie z Rosją Japończycy. Początek tego narodu, jak i wielu innych, ginie w pomroku dziejowej mitologii. Podanie wywodzi ród Japończyków od ludzi pomieszanych krwią z niedźwiedziami. Legenda japońska głosi, że jakiś król azyatycki, nazwiskiem Kumui, dopuścił się kazirodztwa z jedną ze swoich córek. Oburzona tą zniewagą królewna, porzuciła dom ojcowski i w towarzystwie wiernego psa udała się na dobrowolne wygnanie. Na opuszczonej łódce przybyła na wyspę samotną i skalistą, gdzie w jaskini powiła bliźnięta, syna i córkę. Bliźnięta te, dorósłszy pożyły się z sobą. Dalsze zaś potomstwo łączyło się z sobą lub z niedźwiedziami.

Potomstwo ludzi pomieszanych z niedźwiedziami wydało rasę ludzi silnych i odważnych zwaną Ainos, którzy mają być protoplastami Japończyków. Tak głosi legenda. W rzeczywistości jednak są Japończycy mieszaniną chińsko-negrycko-koreańsko-mongolską. Japończycy byli narodem żyjącym przez długie wieki w zupełnym odosobnieniu od reszty świata. Do niedawna jeszcze rugowali od siebie cudzoziemców. Forma

rządów była i jest u nich monarchiczną. Władca japoński (Mikado) wywodzi swój ród od bogów. Pierwszym Mikadem był książę Jimmu, w roku 660 przed Chrystusem. Jimmu był wnukiem bogini i uchodzi za protoplastę dynastii panującej obecnie w Japonii. Władający dziś w Japonii Yoshihito jest 124 z rządu Mikadem. Pierwotną religią Japończyków był Shintoizm, nie mający dokładnie określonych dogmatów. Jedną z głównych jego cech jest kult przodków, a przede wszystkim bohaterów narodowych. W szóstym wieku po Chrystusie Buddyzm i obecnie wyznaje go większa część Japończyków. Chrześcijaństwo nie ma tam powodzenia.

Ruch postępowy.

Z wiekowej drzemki ocknęli się nagle Japończycy przed 50 laty (w r. 1868). Jakiś gwałtowny ruch rewolucyjny ogarnął wyspy archipelagu, dotychczas niedostępnego dla obcej cywilizacji. Japonia zaczęła nagle i gwałtownie szukać wzorów po całym świecie cywilizowanym, zapraszać do siebie z całego świata uczonych, kapitalistów, prawników, pedagogów, doktorów, inżynierów, kolejarzy, wojskowych i t. d. i dokazała rzeczy nadzwyczajnych. W przeciągu 50 lat przyswoili sobie Japończycy na wszystkich polach zdobycze cywilizacji, na które świat ciężko pracował przez dwa tysiące lat.

W roku 1904 mizerna i lekceważona przez świat wyspiarska Japonia odważyła się wystąpić de walki z takim olbrzymem światowej sławy jak Rosja. Uważano to za szaleństwo ze strony Japonii, na którą spoglądał groźnie z przeciwnego brzegu «niezdobyty» Port Artur, za którego plecami stały miliony wyćwiczonej armii, która zdobyła sobie już historyczną sławę, która złamała potęgę takiego geniusza wojennego, jak Napoleon. «Niedźwiedź północny» uchodził za postrach w oczach świata. A jednak zręczna i chytra Japonia wykonała swój skok tak niespodzianie, że «Niedźwiedź» został śmiertelnie poszarpany pod Mukdenem i nigdy nie mógł już przyjść potem do zupełnego zdro-

wia, aż wreszcie i zdechl sromotnie podczas wojny światowej. Odtąd Japonia pozyskała sobie światową sławę i odtąd zaczęli się z nią liczyć europejscy dyplomaci.

Japonia w wojnie światowej.

Po wybuchu wojny światowej stanęła Japonia po stronie aliantów zaraz w pierwszym roku wojny i obległa fortecę niemiecką na chińskim terytorjum w Kiao-Chau. Skoro jednak tę fortecę zdobyła (6 listopada 1914) i zabrała dla siebie, usunęła się zupełnie od dalszego czynnego udziału w wojnie. Pozostała nominalnie stroną wojującą po stronie aliantów, ale żadnej a żadnej pomocy aliantom w wojnie nie dawała i tylko przypatrywała się wojnie i robiła ogromne bogactwa na dostawach wojennych dla Rosyi i na różne inne sposoby.

Skoro jednak przyszło do zawierania pokoju, zasiadła Japonia w «piątce» wielkich mocarstw decydujących o przyszłych losach świata. Przyznano jej zdobyty na Niemczech Kiao-Chau, przyznano mandat w Szantungu, jednym słowem oddano pośrednio pod opiekę Japonii Chiny, które Japonia i tak już podczas wojny (w r. 1915), bez żadnej usprawiedliwionej przyczyny, zmusiła brutalnie do przyjęcia ultimatum, oddającego pod kontrolę Japonii chińskie koleje, sądy, szkoły, przystanie i t. d.

ODMŁODNIENIE STARCÓW.

Od najdawniejszych czasów problem przedłużenia życia ludzkiego i przywrócenia młodości pociągał ludzi uczonych i alchemicy usiłowali speparować cudowny eliksir wiecznej młodości. W nowożytnej epoce profesor Brown Siquard twierdził, że wynaleźli taki eliksir i że wstrzykiwał go swoim pacjentom. Niedawno zmarły dr. Doyen próbował również rozwiązać ów problem, ale śmierć zaskoczyła go, zanim zdołał dokończyć prac, podjętych w tym kierunku.

Niedawno dr. Sergiusz Woroncowa, dyrektor laboratorium fizjologicznego w College de France, na kongresie chirurgów wygłosił nie-

Niektórzy Amerykanie, do których właśnie należy autor wspomnianej poprzednio rozprawy, profesor sędzia W. O. Howard, oburzają się na decyzję Kongresu pokojowego, który spokojną, demokratyczną republikę chińską, pokładającą swe nadzieje w demokratycznych republikach, francuskiej i amerykańskiej, wydał jak gdyby wroga na łup imperialistycznej Japonii. W. O. Howard przestrzega rasę białą, aby nie żałowała za późno swojego lekceważenia rasy żółtej, gdy ta zjednoczona pod berłem japońskiego Mikada, wyruszy nagle i niespodzianie na bój straszny, bo rasy żółta mścić się będzie z całą zawziętością na rasie białej za wiekowe jej lekceważenie. Japończyków, którzy w tej walce mają odegrać główną rolę, przyrównywa Howard do układnych tygrysów gotujących się do skoku na upatrzoną ofiarę w najstosowniejszej dla nich chwili. Howard wzywa do baczności przed Japonią i nie może pojąć, dlaczego Kongres paryski, który miał zaprowadzić pokój i familijne życie narodów, mógł w ten sposób obejść się z prawdziwie spokojnymi wyznawcami religii Confuciusa, a poparł wzrost potęgi tak ambitnego i groźnego dla spokoju świata imperyalizmu japońskiego. Według rozumowania Howarda wnioskowaćby należało, że Kongres paryski nie zapobiegł nowej katastrofie, ani jej nie oddalił, ale mimowolnie przyspieszył jej nadejście z chwilą wojny między rasą białą a rasą żółtą.

słuchanie interesujący referat o wynikach swoich badań, które otwierają przed starcami krainę uroczych nadziei. Dr. Woroncowa dokonał w swym laboratorium całego szeregu eksperymentów, których rezultaty pozwalają mniemać, że nareszcie niezwykła dotychczas starość, została pokonana. Zmęczone, stare zwierzęta, przez transplantację gruczołów odzyskiwały siły żywotne i młodość.

Dr. Woroncowa twierdzi, że gruczoł tarczycowy małpy, przeszczepiony zgrzybiałemu starcowi przywróci mu utracone siły i młodość. Podobno kilka takich doświadczeń udało się.

○ Ludożerstwo u murzynów w Afryce. ○

Uczony Dr. Torday zbadał stan rzeczy. - Kronon lekarstwem przeciw kanibalizmowi.

Historja rozwoju rodzaju ludzkiego wskazuje wyraźnie na to, że w czasach pierwotnych kanibalizm, ludożerstwo, było ogólnie przyjętem a mięso ludzkie stanowiło przysmak nie lada. — Dziwić się naturalnie wypada, jakim cudem sprośny ten apetyt, dotychczas się jeszcze podobał poniekąd utrzymać.

Znany badacz antropolog, Dr. Torday, stwierdza, że dotychczas jeszcze niektóre szczepy afrykańskie z ponad rzeki Kongo, rozkoszują się ludzkim mięsem, pieczonem, smażonem, lub i w potrawce. Kobiętom dyeta takowa jest zabronioną, chociaż i one oblizują się na myśl o ludzkiej pieczeni. Powodem «ujęcia tej rozkoszy» kobietom, jest samolubstwo mężczyzn, którzy dla siebie smakołyki owe zachować pragną — a kobietom tylko rzadko udaje się dorwać do kawałeczka palca, lub choćby ucha, zresztą delektują się tylko niedogryzkami, które skrycie konsumują w zaroślach i jarach. Takież zwyczaje panują i na wyspach Marquesas. I tam męski kanibal zazdrości «płci pięknej» kawałka pieczeni z marynarza zbłąkanego, lub bogobojnego misjonarza. Powodem zaś utrzymania gustu ludożerczego, to nie brak żywności wogóle, ale niemal namiętny pociąg smakoszy. Mieszkańcy środkowej Afryki mają aż nadto wiele żywności, ale ludzkie mięso to dla nich delikatny specjał. Jedzą oni pewne części «lepsze» pieczone; inne w potrawce, z maniokową mąką, a także i siekane, mają być specjałem nie lada, choćby z wychudłego misjonarza.

Bogatsi mogą sobie częściej na ten przysmak pozwolić i im więcej tych delikatatów zajadają, tym większym cieszą

się mirem w tem czarnem swem społeczeństwie.

Z apetytem swym nikt się tam nie kryje, chyba że przybędzie pomiędzy ludożerców tych wybitna jaka europejska osobistość i to z imponującą zbrojną asystą, bo i z niej, ewentualnie, byłby smaczny gulasz.

Kanibale ci zjadają poległych we walce nieprzyjaciół i skazanych na śmierć zbrodniarzy i czarnoksiężników, których po zadaniu im trucizny, żywcem grzebią, gwoli lepszemu smaku.

Przy wymiarze sprawiedliwości, zadają skazanym gromułki trujące, sporządzone z tartej kory drzewa «Erytophlaem», zmieszanej z mąką. Trucizna działa szybko i to w przeciągu 15 minut. Jeżeli skazany womituje, uważają to za dowód jego niewinności. W przeciwnym razie «wolno» winnemu wykopać sobie grób, położyć się weń, a wykonawcy wyroku żywcem go zakopują, uraczywszy poprzednio ofiarę obficie pieczoną kurą i winem palmowem. Gdy straceniec oskarżony jest o uprawianie czarów, wywołują i zaklinają wielkiego ducha Moloki, aby z ostatnim tchem ofiary zły duch z niej nie uszedł. Ciało uśmierconego spoczywa w grobie przez 48 godzin, a gdy już «skruszeje» tedy się je wydobywa, gotuje i ze smakiem spożywa. Często też spożywa się, kogo stać, niewolników, choć w okolicach nad rzeką Kongo, niewolnik jest zbyt pożyteczny i cenny, aby go zajadać. Wobec jednak wielkich uroczystości, robi się inwentarz niewolników i tego co się «nadaje», ubijają i zjadają, w gronie godnych uczestników. Ofiarę albo ubijają pałkami po głowie, albo mu głowę ucinają, wśród odpowiednich uroczystych ceremonii. Cia-

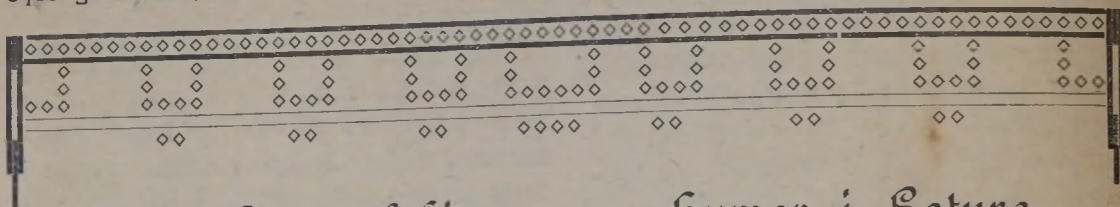
to grzebie się, gwoli skruszenia, na dwie doby, przez które nieustannie ognisko płonie nad grobem. Sama uczta odbywa się przy zajadaniu, bez szczególnych obrzędów, ale cały szczerp zazdrości uczestnikom. Kobietom tylko rzadko udaje się "zwędzić" potajemnie marniejszy kawałek. Szczególnym przysmakiem jest u smakoszy pieczone serce, wątroba i uda, gdy młode i tłuste.

Kości starannie się ogryza, oskrobuje i suszy i z nich robią różne pożyteczne przedmioty i nawet instrumenta muzyczne.

Badając objawy kanibalizmu, — pisze doktor Torday. — nie napotkałem nigdy na jakiegokolwiek obrzędy oparte na zaborzonych lub religijno-magicznych praktykach. Naczynia, w których ludzkie mięso było gotowane, zawsze się niszczy aby

ich do celów innych nie użyto. Kobietom spożywanie mięsa ludzkiego jak i koźlego jest zabronionem tak z powodu samolubstwa mężczyzn, jak i z rzekomej obawy przed wpływami magicznymi. — Straszno tego obyczaju, przez ustanowienie praw odnośnych znieść nie można, natomiast odkryłem jeden skuteczny sposób. Obawiają się oto dzicy szczególnie, europejskich lekarstw przeczyszczających.

I gdy chłopak z danego szczerpu raz spożył skradzioną puszkę sardynek i dostał z innego zapewne powodu choleryny — nikt by się w szczerpie już więcej sardynek nie dotknął. Gdyby tedy, jakoś to się udało do ludzkich "potraw" zastosować i to w silniejszych dozach — pewnie by krotonowy olejek należycie poskutkował.



Zdania Staropolskie.

Kiedy hojno, to w złocie,
Gdy pracować, to już w pocie,
Kiedy zbrojono, to już z szablą
Kiedy z miną, to już z dyabłą,
Gdy pomagać, to sowicie,
Kiedy bić, to należycie.
Kiedy pościć, to na sucho,
Kiedy palnąć, to już w ucho.
Gdy kto w biedzie, to poradzić,
Gdy dać słowo, to nie zdradzić.
Kiedy wspierać to rodaka,
Kiedy tańczyć, krakowiaka,
Sasiadować, to spokojnie,
Gdy obdarzyć, to już hojnie.
Gdy malować, to swobodę,
Gdy wyśmiewać, to już modę,
Kiedy hulać to z drugimi,
Gdy umierać, to w swej ziemi.
Kiedy order, to za bliźnę,
A jak kochać, to Ojczyznę.

Humor i Satyra

W SĄDZIE.

—Pan może zaświadczyć, że podsądny nazwał skarżącego bedlęciem?

—Tego nie słyszałem. Lecz, że skarżący rzeczywiście jest bydłęciem, to mogę stwierdzić.

GŁOWA DOMU.

Sędzia: — Oskarżoną jesteście, Jakóbowo, żeście podrapali waszego męża! Cóż to, nie wiecie, że mąż to głowa domu!

Jakóbowo; A toć, wielmożny sędzio, w głowę przecież podrapoć się wolno?!

W RESTAURACYI.

Gość: —Cóż to ma znaczyć? Z rachunku wypada 13\$, a wy naliczyliście 14\$.

Kelner: —Pan wybaczy — sądziłem, iż pan jest przesądny i nie życzy sobie w rachunku fatalnej trzynastki.

BEZCZELNY.

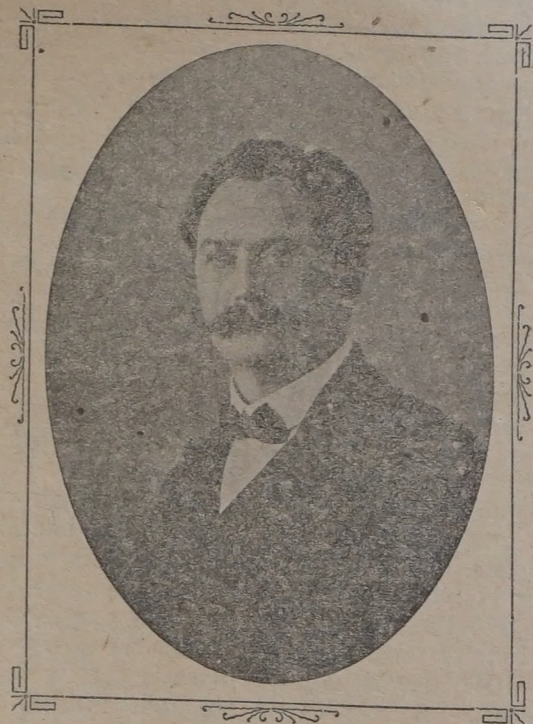
—Kupiec, który poszukuje współnika, do zgłaszającego się:

—Przystąpmy odrazu do rzeczy. Szukam rozsądnego, inteligentnego mężczyzny.

Zgłaszający się: —Tego nie potrzebujesz mi pan mówić, zauważyłem to odrazu! (po cichu: że jesteś głupi).

Profesor muzyki i śpiewu

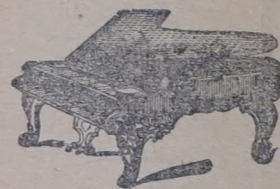
Dyplomowany w warszawskim konserwatoryum muzyki



Daje lekcje muzyki na
wszystkich instrumentach.
Organizuje chóry i orkiestry.



Stroi fortepiany



Adres: Karol Skibiński

Rua Assunguy N. 41 — CURITYBA

Polacy w Stanie Sta. Catharina.



Gdy lud polski, coraz większego doznawać począł prześladowania na swojej ojczystej ziemi w Królestwie Polskiem po powstaniu z 1863 roku i pod prusakiem po wojnie francusko-niemieckiej, po 1871 roku, a w Galicji cierpiał coraz większy niedostatek, rzucał się, niemal każdego roku, wielką falą emigracyjną do Ameryki północnej i południowej, zwłaszcza do Brazylii. Tu osiadł w większej liczbie w trzech południowych Stanach: w Paranie, St. Catharinie i Rio Grande do Sul. Ilu nas jest obecnie Polaków na ziemi brazylijskiej, dokładnie oznaczyć nie możemy. Wielki przecież popełniają błąd, wielkich dopuszczają się przesad ci, którzy obliczają nas na 150,000 głów. Po dokładnem i mozolnem obliczaniu wszystkich kolonji polskich w Południowej Brazylii, doszliśmy do następnych wniosków: ludu polskiego znajduje się w Paranie około 60,000, w Sta. Catharina niespełna 10,000, w Rio Grande do Sul do 30,000 a w Stanie São Paulo i w Rio de Janeiro do 4,000; byłoby więc w połudn. Brazylii około 104,000 a najwyżej do 110 000 głów polskich.



WIDOK JOINVILLE.

Zamierzamy podać kilka ważniejszych szczegółów z sąsiedniego Stanu Sta. Catharina, gdzie nasz lud rozproszony między obcą a zwłaszcza między niemiecką ludnością, narażony jest na wynarodowienie a cokolwiek na zniżenie.

I. Jaka jest kolonizacja w Stanie Sta. Catharina?

Po ustaleniu granic między Paraną a Sta. Cathariną przez sąd polubowny w 1917 roku, posiada obecnie ta ostatnia około 600,000 ludności rozrzuconej na 93,500 km. powierzchni. Przewagę stanowią Niemcy, których liczba wynosi część trzecią, to jest do 200,000 mieszkańców; Włochów też jest wielki procent a Polaków — jak już wspomnieliśmy — jest około 10,000.

Podobnie jak w Paranie i tu rząd tworzył kolonie i osadzał osadników. Owszem początek imigracji polskiej do Brazylii datuje się właśnie w tym Stanie. W roku 1868 przybyło 16 polskich rodzin ze Śląska do Sta. Catharina i osiadło w okolicy miasteczka Brusque, położonego w pasie nadmorskim. Gorący, skwarny klimat w porze letniej, zniechęcił ich tak, że za pośrednictwem Edmunda Saporskiego, udali się wśród licznych trudności przez gąszcza dziewiczych lasów do Parany, gdzie pod Kurytybą, małą wówczas miejsciną, wydzielono im działki ziemi w kolonji Pilarsinho.

Prócz kolonizacji rządowej istnieje w północnej części Stanu Sta. Catharina dotychczas kolonizacja prywatna, niemiecka. Podjęto się jej wielkie niemieckie towarzystwo hamburskie, założone w 1849 roku

■ w trzydzieści lat później (1879) objęło tę akcję silniejsze jeszcze «Towarzystwo Hanzyatyckie», z kapitałem 1,000,000 marek. Rząd brazylijski odstąpił mu 650,000 ha. ziemi, (po 50 centymów za 1 i pół mili). Wspomniane towarzystwo kolonizowało ziemię brazylijską przedewszystkiem pomiędzy lud niemiecki, a dopiero w braku tej ludności sprzedawano i polakom, zwłaszcza z zaboru pruskiego, mówiącym po niemiecku, tych bowiem można wśród Niemców w łatwy sposób «zniemczyć». Postępowano więc w tej okolicy (a więcej może jeszcze zamierzano) tak, jak nęgodziwy prusak robił z naszym ludem na ojczystej ziemi, w Polsce: wynarodowić, zniemczyć wszystkich Polaków!... Stąd też w miastach i miasteczkach jak Joinville, Blumenau, Brusque, São Bento i ich okolicach używa lud niemal wyłącznie języka niemieckiego w domu, w szkołach, na zebraniach; nadaje nawet niektórym miastom i ulicom nazwy niemieckie np. Humbolt zamiast Hanza (stacja kolejowa), Bochelbrun zamiast Rio Vermelho (także stacja kolejowa), nie wspomniawszy już o różnych «strasach» jak Weststrasse, Humboltstrasse, nawet Bismarckstrasse!... Razi to bardzo ucho każdego patrioty polaka, który się chwilowo w tę okolicę zabłąka. Gazety brazylijskie wspominają i ostrzegają raz po raz publicznie, zwłaszcza przed wojną europejską, o niebezpieczeń-

stwie niemieckiem «do perigo allemão». Każda taka wzmianka wprawia w wściekłość szowinistyczne, niemieckie pisma w Stanie Sta. Catharina; odnosi się także wrażenie, jakby kto włożył kij w gniazdo ós. Obecnie rząd stanowy ma ich więcej na oku; pozamykał liczne szkoły niemieckie, w których nie uczono języka portugalskiego, zwłaszcza w okolicy miasta Blumenau.

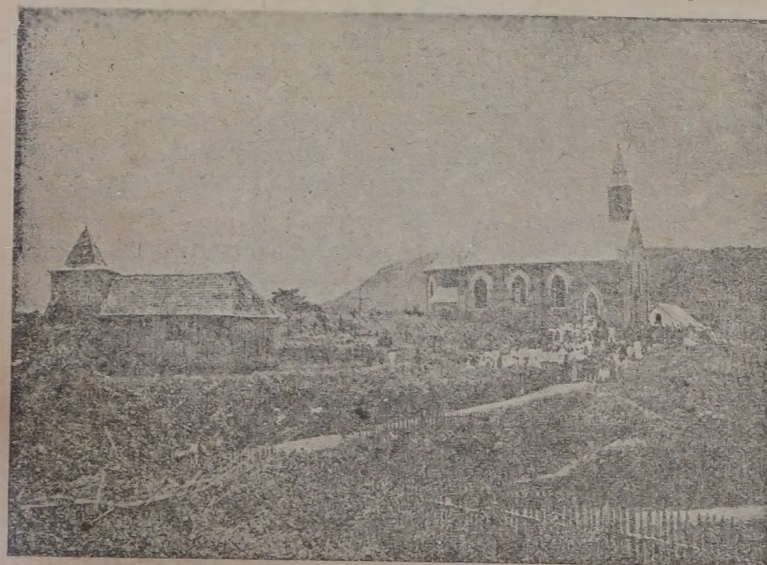
II. Polskie parafje.

Znaczniejsza część ludu polskiego osiedliła się w południowej stronie Stanu i tworzy parafię polską w Lucenie i dwie małe parafijki w Rio Vermelho i Massarandubie; na południu znajduje się polsko-włoska parafijka w Cocal, koło Tubarão. O każdej z tych miejscowości podamy kilka uwag a następnie wspomniemy o Polakach rozrzuconych w obcych, niemieckich parafjach a zostających zwykle bez opieki duchownej w ojczystym języku.

I. LUCENA — parafja św. Stanisława, biskupa męcz.

Do roku 1917 należała rozległa parafja polska Luceny wraz z licznymi linjami do Stanu Parany, dopiero przez ostateczne rostrzygnięcie sporu granicznego przyłączono ją do Stanu Sta. Catharina. W ten sposób wzrosła od razu liczba Polaków w tym Stanie niemal o połowę (wraz z Polakami koło Canoinhas i Porto União) do 5,000 mieszkańców.

Rozległa ta kolonja polska została założona w 1891 roku w tak zwanej «gorączce» emigracyjnej. Nim lud dostał się na wymierzone loty przeżywał bolesne chwile w barakach rządowych koło Rio Negro. Dłuższy czas przepędzać musiał w ciasnocie, wśród niewygody i poniewierki. W dodatku rzeka, Rio Negro, wskutek częstych deszczów wezbrała i wystąpiła z brzegów; z powodu wilgoci pojawiły



Nowy kościół na Itayopolis.

się między imigrantami różne choroby, nawet fymus. To też niemal każdego dnia wynoszono kilka zmarłych na cmentarz, zwłaszcza dzieci, między którymi śmierć zabierała najwięcej ofiar. Starsi koloniści dotąd pamiętają i ze smutkiem opowiadają swój pobyt i poniewierkę w barakach koło Rio Negro.

W roku 1896, po napływie nowej fali imigracyjnej rozszerzono znacznie niektóre linje tej wielkiej kolonii.

Na 1400 lotach osiedliło się około 500 rodzin polskich, resztę zajmują rusini i Niemcy. O wielkości tak zwanych linii (dróg) wnioskować można z ich długości np, Moema jest 44 km. długą, Iracema, São Pedro około 30 km. Wszystkich linii jest przeszło 20.

W centrum tej rozległej parafji istnieje stary drewniany kościół pod wezwaniem św. Stanisława bisk. m. Tuż obok niego buduje się staraniem gorliwego proboszcza, ks. Jana Kominka, nowy, wspaniały kościół gotycki; obecnie jest już pod dachem. Obok kościoła zbudował ks. proboszcz przed kilku laty wielką, wygodną szkołę murowaną, do której uczęszcza 100 dzieci rocznie. W obrębie parafji na bocznych liniach jest kilka szkółek polskich, dla braku jednak nauczycieli nie wszystkie są zawsze czynne.

Na przeciw kościoła istnieje piękna plebania z drzewa zbudowana, w której się znajduje czytelnia ludowa i wypożyczalnia książek. Wiele parafjan z niej gorliwie korzysta.

Przy drodze prowadzącej do Rio Negro, znajduje się brazylijskie miasteczko Itayopolis, w którym również stawiają brazylijanie gustowny kościółek. W starej kapliczce odprawia im nabożeństwo w każdej niedzielę i święto jeden z księży dojeżdżający z Luceny, odległej 7 kilometrów.

Na Moemie mają polacy kapliczkę, w której odprawia się nabożeństwo niemal każdego miesiąca.

Lud polski w tej parafji luceńskiej ma się dobrze, zwłaszcza, że wielu gospodarzy posiada herwale maty, która w ostatnich czasach bardzo popłaca. Wyznać też należy z pochwałą, że jest ofiarnym

i hojnym na cele narodowe. Lubo, że równocześnie stawia się dwa nowe kościoły w obrębie tej parafji, przecież polacy z Luceny największe składali ofiary z wszystkich polskich kolonji w Brazylii *Dar narodowy*. Kto nie wierzy, niech spojrzy do „Polaka w Br.” a przekona się o tem. Nie wspominamy już wcale o innych, prywatnych ofiarach. Cześć im za to!

2. RIO VERMELHO. — Parafja Najśw. Marji Panny.

Miasteczko leży w pobliżu kolei prowadzącej z São Francisco do Rio Negro; liczy obecnie małą, wspomniana parafja, do 120 rodzin polskich wraz ze swemi trzema linjami. Kolonje tamtejsze założono w 1891 roku. Sprzedają ziemi zajmują się dotąd Towarzystwo Hanzjatyckie, o którym wspomnieliśmy powyżej.

Zaledwo jeszcze kilka rodzin znajdowało się w barakach oczekując na pomiar ziemi a już marzyli i radzili między sobą o zbudowaniu kaplicy polskiej. W rzeczy samej, zamysły swoje wykonali budując z drzewa kapliczkę, którą później powiększono a nawet dobudowano wieżyczkę. Staraniem obecnego ks. proboszcza, Józefa Górala, zbudowano w 1914 roku kościół murowany, który wewnątrz gustownie wymalowany; posiada już ołtarze, ambonę, ławki, całkowite (wewnętrzne) urządzenia bez żadnego długu.

W Rio Vermelho jest szkoła polska, do której uczęszcza rocznie około 50 dzieci. Oddają do tej szkoły swe dzieci, choć na kilka miesięcy, polacy mieszkający w niemieckich odległych kolonjach, aby je tu uczono bodaj czytać i pisać po polsku i przygotowano na przyjęcie świętych sakramentów.

Na linii Humbolta zbudowano na 17 km. przed kilku laty murowaną szkołę, do której uczęszcza rocznie około 40 dzieci. Dla braku jednakże nauczyciela i dostatecznego funduszu na utrzymanie nie zawsze jest czynną.

Pocziwy i ofiarny lud polski, pochodzący przeważnie z byłego zaboru pruskiego, nie skąpił pomocy i ofiary na budowę kościoła i szkoły, jako też na plebanję, owszem, na zachętę ks. proboszcza raz po raz składał się na pol-

skie wdowy i sieroty cierpiące nędzę w Ojczyźnie.

Parafję tę założono w 1903 roku oddzielając ją od wielkiej niemieckiej parafji w São Bento. Przez dwa lata (1902—4) mieszkał w Rio Vermelho ks. Cezary Wyszyński; przez kilka lat dojeżdżali z nabożeństwem polscy księża z Luceny, obecnie, od 1911 roku, obsługuje lud polski dwóch księży Misjonarzy z Krakowa. Mają oni również w swej pieczy powierzonych polaków w sąsiednich niemieckich parafjach; nawiedzają ich z nabożeństwem kilka razy w roku i przygotowują polską dziatwę do sakramentów świętych.

Pod ich opiekę duchowną udawają się również polacy z Bateas, gdzie posiadają kapliczkę i szkołę polską i z Avenquina, gdzie także znajduje się nowa murowana kapliczka i szkoła polska, która, dla braku nauczyciela, jest już od dłuższego czasu zamknięta.

3. MASSARANDUBA. — Parafja Najśw. Serca Jezusowego.

Wielka kolonja niemiecko-polska, leżąca w pasie nadmorskim, między miastami Jaragua a Joinville (3 godziny drogi od stacji kolejowej Bananal) założona została również w czasie masowej imigracji polskiej do Brazylii (1891). Okropne cierpienia przechodzili tamtejsi koloniści w barakach rządowych i w pierwszych latach, nim się jakoś zagospodarzyli, zwłaszcza w czasie skwarnej, nieznośnej pory letniej. Upały gorącego lata stają się i obecnie bardzo dla zdrowia szkodliwymi. Wielu choruje na febrę malatere, zwłaszcza dzieci; innym tworzą się z powodu licznych potów wyrzuty skórne, świerzby.

Lud polski w Massarandubie i jej liniach, pochodzi niemal wyłącznie z Królestwa Polskiego, znajduje się w znacznej mniejszości wśród niemieckich protestantów. Liczy obecnie około 160 rodzin; inni tamtejsi polacy wyjechali by w innych okolicach Brazylii szczęścia szukać.

Tamtejszy lud polski odznacza się patriotyzmem, czego najlepszym dowodem jest to, że chociaż przez 20 lat zostawał pod duchowną władzą niemieckich OO. Franciszkanów w Blumenau, z którymi

nigdy nie mógł się jakoś pogodzić (ogień z wodą!) rok rocznie obchodził uroczystość narodową, pamiątkę konstytucji 3-go Maja. Przez wiele lat starał się również bezskutecznie o przysłanie polskich księży. Uwzględniono wreszcie ich prośbę; utworzono w 1911 roku z okręgu Massaranduby polsko-brazylijską parafję, w której zamieszkało dwóch księży z Krakowa. Po kilku latach przenieśli swą stałą siedzibę dla względów praktycznych z Massaranduby do Rio Vermelho, skąd ich stale, regularnie z nabożeństwem nawiedzają i każdego miesiąca dwa tygodnie wśród nich bawią.

Do tej parafji należą 4 polskie kaplice i jedna brazylijska, które księża stale z nabożeństwem odwiedzają. Ponieważ lud tamtejszy jest uboższym niż w innych kolonjach polskich, dotychczas nie zdobył się na budowę kościoła parafjalnego; od kilku lat zbiera ks. proboszcz fundusze potrzebne. Szkółek polskich znajduje się w obrębie Massaranduby pięć; obecnie wszystkie są czynne. Ponieważ o fachowym nauczycielu rodziny polskie ani marzyć nie mogą, uczą przeto w tych szkołkach za małym wynagrodzeniem umiejętniejsi ku ogólnemu zadowoleniu.

Na wdowy i sieroty polskie w Ojczyźnie nawet dziatwa szkolna swe wentyny składała. Piękny to przykład dla drugich!..

4. COCAL — miasteczko brazylijsko-włoskie znajduje się w południowej części Stanu Sta. Catharina, w pobliżu miasta Laguna i jest siedzibą polskiego kapłana, ks. Franciszka Chylińskiego, proboszcza parafji o mieszanej ludności.

W 1911 roku wydzielono miasteczko Cocal i najbliższe jego okolice z wielkiej niemiecko-brazylijskiej parafji Tubarão, gdzie ks. Chyliński był coadjutorem a powierzono mu nowo utworzoną mieszaną parafję Cocal. Pod jego opieką duchowną należy przeszło 100 rodzin polskich, które posiadają w miasteczku kościółek drewniany pod wezwaniem św. Jadwigi. Mają także dwie szkoły, jedną w miasteczku a drugą na linii od 1915 roku.

W parafji Tubarão i w pobliskich okolicach znajduje się jakie drugie 100 rodzin polskich rozrzuconych między niem-

cami i włochoami, które nie mają ani własnej kaplicy, ani nawet szkółki. Młodsza generacja już się po części wynarodowiła...

III. Polacy w obcych parafjach.

1. FLORIANOPOLIS, stolica Stanu Sta. Catharina posiada do 30 rodzin polskich, które przecież na założenie polskiej szkoły zdobyć się nie mogą. Polacy pod względem materialnym mają się dobrze, niektórzy z nich są nawet zamożni; kilku posiada sklepy a jeden czy dwóch, wspinała restaurację. Są bardzo gościnni dla swych rodaków, skoro ich odwiedzi, u-
przejmi, grzeczni i dla obcych.

Od kilkunastu lat mają towarzystwo «Konstytucji 3-go Maja»; obchodzili uroczyste poświęcenie sztandaru w lipcu 1911 roku, na które zaprosili przedstawicieli władz stanowych i wojskowych.

NOVA TRENTO, miasteczko włoskie, położone na północny zachód od Florianopolisu, tworzy z okolicą rozległą włosko-brazylijską parafją, zostającą pod opieką włoskich OO. Jezuitów. Do tej parafji należy kilka mniejszych osad polskich, położonych w górach, odległych na 30-40 km. od wspomnianego miasteczka.

VALSUNGANA liczy około 15 rodzin polskich, resztę stanowią włosi i brazylijanie.

PINHEIRAL posiada do 30 rodzin polskich, pochodzących z Królestwa. Na miejsce starej kapliczki drewnianej, zbudowali piękny murowany kościółek (1915 roku), Posiadają także własne towarzystwo oświatowe z małą biblioteczką. W ostatnich latach zdobyli się nawet na założenie szkółki.

NOVA GALICIA, kolonia odległa od poprzedniej 4 km., posiada około 20 rodzin polskich pochodzenia rusińskiego z Galicji wschodniej. Mają tu polacy małą kapliczkę a niedawno zdobyli się na założenie szkółki.

3. BRUSQUE — miasto i parafja niemiecka, w której jest około 10 rodzin polskich na wpół już wynarodowionych, zniemczonych.

4. BLUMENAU — miasto okręgowe, siedziba główna, centrum niemczyzny w

Stanie Sta. Catharina. Niemcy OO. Franciszkanie mają tu nowicjat, szkoły i różne warsztaty. Oni również obsługują polaków rozproszonych w pobliskich koloniach.

SANDWEG — osada, w której mieszka około 40 polskich rodzin; posiadają murowaną kaplicę i szkołę, do jednej uczęszcza rocznie do 30 dzieci.

WARNÓW, INDAYAL — dwie kolonie, w których jest kilkanaście nawpół zniemczonych rodzin polskich (20). Początkowo była tu spora liczba polaków, lecz posprzedawali swoje ziemie Niemcom a sami poszli w lasy szukać szczęścia, gdzie go zapewne nie znajdują.

5. RODEIO — miasteczko włosko-brazylijskie, w którym OO. Franciszkanie mają klasztor.

PINHEIROS — kolonia, w której mieszka do 30 rodzin polskich, należy pod opiekę duchowną OO. Franciszkanów. Polacy mają tu murowany kościółek i własną szkołę.

6. LUIZ ALVES — miasteczko z parafją włosko-brazylijską, w której kilkanaście rodzin polskich mieszka, mianowicie w kolonji *São Joaquim* (20 rodzin) i w *São Miguel* (8 rodzin).

7. JARAGUA — miasto niemieckie leżące nad koleją prowadzącą z São Francisco do Mafry, ma w obrębie swej parafji kilkanaście rozrzuconych rodzin polskich.

W pobliżu miasta mieszka około 10 rodzin polskich.

W RIBEIRÃO CAVALLO między włochoami mieszka 15 rodzin ludu polskiego.

W HANZIE, niemieckim miasteczku i w okolicy (col. Isabella) mieszka około 20 rodzin polskich.

8. SÃO BENTO — miasteczko niemieckie, ma w obrębie swej parafji, na pół zniemczonych, do 30 rodzin polskich a zwłaszcza na linii *Banhado* i bugierskiej, którzy się za polaków jeszcze uważają przychodzą bodaj kilka razy w roku na nabożeństwa polskie do sąsiedniego Rio Vermelho. Ale jest ich bardzo mało, coraz mniej, co sobie taką zadają fatygę.

9. MAFRA — miasteczko utworzone

(1917) z części Rio Negro, należące do Stanu Sta. Catharina. W samym miasteczku jako i w kolonji *Passo-Tres* jest kilkanaście rodzin polskich (15), w *São Lourenço* jest ich znacznie więcej (do 30), posiadają nawet własną szkołę polską, lubo dla braku nauczyciela nie zawsze jest czynną.

10. CANOINHAS — miasteczko leżące na dawnym terytorjum spornem, tworzy wielką parafję, którą zarządzają niemieccy OO. Franciszkanie. Koło Canoinhas kolonizacja dopiero się rozwija — po przeprowadzonej w 1917 roku ugodzie w sprawie granicy; — ściąga tu lud różnej narodowości, między nim osiedliło się już wiele rodzin polskich; jednakże obecnie i w przybliżeniu liczby ich podać nie można.

Do Canoinhas zaliczają kolonję Papanduwę, w której zamieszkuje wielu polaków, znaczny ich procent przybył z pobliskiej Luceny.

TRES-BARRAS należy również do Canoinhas. W miasteczku jest zaledwo kilka rodzin polskich, natomiast w tartaku amerykańskiej spółki «Lumber» niemal połowa robotników należy do polskiej narodowości. Pod względem narodowym są gorliwymi patriotami: założyli towarzystwo oświatowe «Biblioteka Polska»; mają obecnie i polską szkołę i uzupełniającą wieczorną; na cele narodowe nie żałują grosza, jak o tem świadczą liczne ich składki.

11. PORTO UNIÃO — również należy pod względem opieki duchownej do niemieckich OO. Franciszkanów. W mieście nie wiele znajduje się polskich rodzin, więcej ich jest rozrzuconych i w napół wynarodowionych bliższych i dalszych kolonjach jak np. w Jangada, gdzie nie mają ani szkoły polskiej, ani kapliczki najskromniejszej.

12. NAD LINJĄ KOLEJOWĄ prowadzącą z Porto União do Stanu Rio Grande do Sul powstają w ostatnich latach nowe kolonie, wśród których nie brak naturalnie i ludu polskiego.

Według naszych obliczeń znajduje się w Stanie Sta. Catharina, w polskich parafjach około 800 rodzin polskich a dru-

gie tyle w rozproszeniu w obcych, przeważnie niemieckich parafjach. Jeżeli zaś liczyć będziemy na rodzinę po 6 osób, to otrzymamy 9,600 (czyli $800 \times 6 = 9,600$), przyjmujemy okrągłe 10,000 osób.

Lud polski rozproszony w obcych parafjach, przeważnie niemieckich, nie ma zazwyczaj ani polskiej szkoły ani kaplicy, w którejby słyszał słowo boże w ojczystym języku, to też narażony jest na prędkie wynarodowienie. Zdarza się, zwłaszcza w miastach, że ojcowie radzą i rozprawiają o Polsce a ich dzieci rozmawiają w pobliżu między sobą po portugalsku, owszem i paciorek odmawiają w tym języku!..

Tak bywa w drugim pokoleniu, a cóż będzie z trzecim i z czwartem?..

Jak temu zaradzić? Jakich użyć środków?

Środkiem najlepszym byłoby zebrać i skupić polaków w takim miejscu, gdzie są polscy księża, gdzie istnieje kościółek i szkoła polska. Jest to przecież sposób prawie niemożliwy do przeprowadzenia, zwłaszcza dla prywatnych osób, gdyż lud podejrzliwy, nie wierzy ich przedstawieniom i namowom np. nauczycieli a nawet księży polskich. Możeby lepiej przeprowadzić mogło tę myśl jakieś towarzystwo, specjalnie w tym celu założone, któreby w razie potrzeby, zajęło się sprzedażą ziemi na dawnym a kupna na nowym miejscu, robiło różne ułatwienia w przeprowadzaniu sprzętów domowych i gospodarczych, a uboższym rodzinom udzielało zapomogi lub pożyczki bez procentowe na czas oznaczony.

Dwa główne źródła oświaty ludu naszego na brazylijskiej ziemi, to polska szkoła i kościół, przy którym mieszka lud, bodaj częściej dojeżdża polski kapłan patrijota. Bez nich już w drugim pokoleniu dzieci nasze będą nawpół wynarodowione i odpowiedzą — co się nam zdarzyło — na polską mowę: «entendo em polaco, mas não fallo»... W trzecim zaś pokoleniu, czyli nasze wnuki, powiedzą nam: «sou nascido brasileiro, não entendo nem fallo polaco».

Są to smutne, lecz prawdziwe uwagi. Oby temu można zawczasu zapobiedz!..

Collegio Iguassú

Polska szkoła

średnia i przygotowawcza.

Przyjmuje wychowanków na stancję lub też
li tylko na naukę.

Przedmioty wszystkie są wykładane przez nauczy-
cieli posiadających rządowe patenta.

W końcu roku uczniowie składają egzamina w gim-
nazjum rządowym. Egzamina te upoważniają tych któ-
rzy je złożyli do uczęszczania na wszystkie unwersy-
tety Rzeczypospolitej Brazylijskiej.

Kurs rozpoczyna się 1-go lutego 1921 roku. Wpisy
zaczynają się 8-go stycznia 1921 roku i trwają do
pierwszego lutego tegoż roku. Godziny przyjęć od 10-
ej do 12-jej rano i popołudniu od 3-jej do 6-jej z wy-
jątkiem świąt i niedziel.

Niezależnie w tejże szkole udziela się osobno nauki
języków i innych przedmiotów dla dorosłych i dzieci.

Geny nauki bez internatu:

Klasy przygotowawcze: 20\$000 miesięcznie

Klasy gimnazjalne: 40\$000 miesięcznie.

Geny internatu bez nauki 80\$000 miesięcznie.

Geny pojedynczych przedmiotów stosownie do umowy.

Bliższych wyjaśnień udziela Dyrektor Jan Cho-
rośnicki - Collegio Iguassú. - Rua Visconde de Nacar, 16
Kurytyba.

PRAKTYCZNE RADY.

PRZECHOWYWANIE JAJ.

Rozpuszcza się w wodzie sól, o ile się
da najwięcej, kładzie się jaja i czeka do-
póki nie opadną do dna, następnie się
wyjmuje, obciera do sucha i przechowuje.
Najtańszy i najczystszy sposób.

butelkę octu. Do każdego słoja dolewa
się jeszcze jedną łyżkę od zupy spiry-
tusu. Słój dobrze ma być zakorkowany
i lakiem lub woskiem zapieczętowany.
W ten sposób przyrządzone konserwy
utrzymują się do 2 lat.

JAK MASŁO ZEPSUTE NAPRAWIĆ.

Do każdego funta masła daje się pół
luta bikarbonatu dobrze wymieszawszy,
pozostawia się 24 godzin, poczem myje
się masło 3 do 4 razy w zimnej wodzie.

ŚRODEK PRZECIWIW PIJAŃSTWU.

Do 13 gramów spiritusu dodaje się 1½
grama amoniaku płynnego i daje się pi-
janemu do wypicia.

KONSERWY Z WARZYW.

Ogórki drobne, cebula, pieprz, kalafior
i t. d. które się ma konserwować, kładzie
się na godzinę do gorącej wody, poczem
obwija się w płótno i pozostawia się do
zupełnego ochłodzenia, następnie kładzie
się do słoja nie napełniając zupełnie.

Nalewa się octem winnym nie bardzo
silnym, w którym rozpuszcza się 4 łyty
soli kuchennej w stosunku 1-go luta na

Środek na nieprzyjemny zapach z ust
pochodzący z niezdrowych zębów.

Rozpuszcza się w wodzie trochę ałunu,
którą się płucze usta kilka razy na dzień.

SPOSÓB CZYSZCZENIA WOSKU.

Do czystego worka kładzie się wosk
i gotuje się w odpowiednim naczyniu.
Rozpuszczony wosk cedzi się przez wo-
rek i następnie zbiera go się z powie-
rzchni wody czysty.

Pharmacia "Minerva"

W ŚRODKU MIASTA.

PLAC TIRADENTES Nr. 57

KURYTYBA

Pierwszorzędny, międzynarodowy zakład prepa-
ratów chemicznych i lekarstw.

☞ Sprzedaż hurtowna i detaliczna. ☞

FILJA: JOINVILLE

R. 9 de Março 52.

CO SIĘ ROBI W ŚWIECIE?

Większości ludzi zawsze źle się żyło. Nieszczęścia spływały na całe państwa z powodu ciasnoty, głodu, zarazy morowej i w znacznej mierze od samych ludzi. Napadały jedne narody na drugie i nieraz wytepiały je w pień.

Tak na przykład w 13 wieku banda krzyżaków wytepiła doszczętnie Borusów, szczerpu litewskiego, aby spokojnie żyć na ich ziemi ojczystej (obecnie Prusy Wschodnie). W Azji środkowej znajdują obecnie ruiny wielkich miast narodów, zaginionych we wojnie bez śladu, bez świadków tych dramatów walk narodo-bratobójczych.

Ani filozofowie-moralisci, ani twórcy wielkich religii, niestety, nie potrafili zrobić z człowieka-zwierza, człowieka-aniola. Bardzo niewiele drobnych sekt uznaje szczerze chrześcijańskie braterstwo ludzi, jak na przykład angielscy i amerykańscy duchoborzy, uważający wojnę za grzech śmiertelny i nie pełniący służby wojskowej. Zapominają jednak, ci naiwni sekciarze, że miłość ku najbliższym naszym bliźnim nie wolno jest wyrażać pokorą i nieprzeciwieniem się złemu, gdy na rodzinę naszą albo na nasz naród napadają Mongoły, Turcy, bolszewicy. Obrona naszych dzieci i naszych rodaków od śmierci, hańby, rabunku i niewoli politycznej wchodzi w zakres miłości bliźniego. Ztąd wnioskujemy, że wrogowie naszej ojczyzny lub całej ludzkości, jakimi są Żydzi i bolszewicy, nie są naszymi bliźnimi, — o ile są rycerzami anarchii, doktryny zbójckiej szkodliwej dla ludzi, przeciwnej idealnym zasadom Chrystusa o harmonicznym braterskim ustroju życia społecznego.

Zaborcami i złoczyńcami są nie jedni tylko barbarzyńcy: są nimi też i narody najczęściej cywilizowane — Włosi, Francuzi, Niemcy i Anglicy. Czy proletariuszom Rzymu, Paryża, Berlina i Londynu przybędzie szczęścia od zagarnięcia i po-

zbawienia wolności kilka milionowego narodu na wschodzie? — bynajmniej! Zwiększy się tylko ich rządza.

Komuż więc potrzebne są wojny, губiące miliony życia ludzkiego i przynoszące epidemie, głód i biedę żyjącym milionom?

Wojny są pożądane dla kapitalistów. W przywłaszczonych prowincjach zabierają oni obszary ziemi, kopalnie, lasy; wywożą surowce, sprzedają drogo swoje najlichsze towary bez współzawodnictwa; budują fabryki, korzystają z tanich roboczych rąk miejscowego proletariatu i ciągną milionowe zyski. Ludność robocza nie ma udziału w zysku na tych ziemiach nowo-podbitych, — o ile nie imigruje tam aby z bogacać swoją pracą tychże kapitalistów, na równi z ludnością tubylczą.

Obecnie, gdy ciemne masy wyzyskiwanej ludności we wszystkich państwach zrozumiały, że z wojen ciągnie korzyści wyłącznie klasa handlarzy i przedsiębiorców — rozpoczęła się niechęć do wojen i nienawiść do swych własnych rządów, dbających przedewszystkiem o interesy klasy możnej. Ztąd często powstają niezrozumiałe i niedorzeczne zjawiska w dziedzinie zewnętrznej i wewnętrznej polityki państwa i narodów.

Partja Francuskich socjalistów dążyła do zakończenia wojny za wszelką cenę, nie zdając sobie sprawy z możebnych ciężkich następstw niekorzystnego pokoju. Zupełnie tak samo stosowała się do wojny nasza Partja Socjalistyczna (P. P. S.) z wyjątkiem jej szefa, Piłsudskiego, który zrozumiał lepiej od swoich partyzantów, że tylko Polska potężna, o zabezpieczonych granicach, może spokojnie rozpoczynać u siebie reformy ekonomiczne. Polska prowadzi wojnę, ponieważ wiekowa niewola polityczna nauczyła jej naród cenić wartość wolnej ojczyzny.

Nie tak się dzieje w innych krajach,

odwiecznie niezależnych. Większość narodów czyli klasa pracowników wyzyskiwana przez kapitalistów, właścicieli fabryk, warsztatów i ziemi, całą swoją energię używa na zwiększenie zarobków, zmniejszanie pracy i uspołecznienie przedsiębiorstw prywatnych, to jest zabranie fabryk i ziemi do rządu. Walczą też klasy pracowników przeciw wojnom zaborczym bezcelowym dla niej i zgubnym.

To stanowisko narodów względem własnych rządów często daje następstwa niepożądane, szkodzące sprawie reform ekonomicznych. Najwięcej zgubną jest obecnie ciemnota szefów proletariatu, fanatycznie wierzących w komunizm i anarchję, demoralizujące ludność i prowadzące kraje do ruiny ekonomicznej.

Anarchiści państw aljanckich obronili Niemców od doszczętnego zniszczenia ich siły wojskowej, co miało smutne następstwa nieskończonych pertraktacji i wzmocnienie bolszewizmu w Rosji, wspieranego i zasilanego przez Niemców. Anarchiści zabronili Aljantom zniszczyć te gniazda zbójckie. Oniż to uniemożliwili pomoc Aljantom dla Polski we wojnie z bolszewikami.

Ruch reform ekonomicznych we wszystkich państwach tak jest obecnie potężnym, że daje się odczuwać we wszystkich stosunkach międzynarodowych. W jednych krajach przeważa kierunek ewolucji czyli spokojnego przejścia od kapitalizmu do kolektywizmu (szwecja), w innych zaś widzimy nieokiełzany pęd do przewrotu komunistycznego (Niemcy i Włochy), na modłę rosyjską.

W Anglii ruch narodowo-wyzwoleńczy, we wszystkich kolonjach — od Irlandji do Indji i Kanady idzie w parze z socjalistyczno-rewolucyjnym. W samej metropolji, szczególnie w Londynie, robotnicy są prawie wszechmocni. Użycie przeciw nim wojska, złożonego z tejsze, przeważnie, biednej ludności, może podać hasło do powszechnego powstania, które całą monarchję rozwali w gruzy. Ruina i kompletny rozkład Wielkiej Brytanji będzie zjawiskiem pożądanym dla większości całego świata. Na gruzach jej powstaną wolne państwa: Anglja, Irlandja, Stany Południowo-Afrykańskie, Kanada, Australia, kilka państw indyjskich, Egipt i Me-

zopotamja (od Turków zagarnięta). Jeżeli ta archaiczna monarchja nie umrze śmiercią naturalną przez powstanie narodów uciemiężonych, to zginie we wojnie ze Stanami Zjednoczonymi, swym groźnym rywalem na oceanach. Ucisk barbarzyński Irlandczyków może popchnąć amerykańców do zatargu z Anglją, dając początek nowej wojnie powszechnej.

Niewątpliwem jest jednak, że Niemcy zechcą wykorzystać ten wypadek dla odebrania swoich nadreńskich i nadwiślańskich prowincji — z pomocą bolszewików w zatargu z Polską i Włochów zawsze gotowych odebrać od francuzów swoje prastare posiadłości — Niceę, Sabaudję i Korsykę.

Jedna tylko Rosja, uwolniona od bandy Trockiego, mogłaby być postrachem dla Niemiec. — Wobec tych możebnych wypadków, Polacy, dla własnego bezpieczeństwa i powszechnego pokoju, powinni postarać się zgnieźić hydrę bolszewicką — z pomocą wszystkich sąsiadów, dbających o swoją przyszłość. Pomoc wojenna Węgrów i Rumunów byłaby drogocenną. Dla czego nie przyszli polakom do pomocy ani Rumuni, ani 100 tysięcy obiecanych żołnierzy — to tajemnica. Prawdopodobnie z powodu niedoświadczenia dyplomacji naszej. Smutno!

Zamiast za wszelką cenę kupić sąsiadów, niezbędnych w walce z ogromną armją Czerwonych, kokietałiśmy z przewrotnymi Włochami, naturalnymi sprzymierzeńcami Niemców, wrogami całej słowiańszczyzny, potrzebnej nam dla stworzenia potężnego związku obronnego przeciw Teutonom — o ile nie chcemy ryzykować całością swojej ojczyzny, a może i wolnością polityczną.

Wyżej podane rozumowania i możebne wypadki mogą nastąpić tylko przy obecnym społecznym ustroju. Po obaleniu kapitalizmu trudno przewidywać następstwa.

Kilkamiesięczne panowanie Żydów z Belakunem na czele w Węgrzech nie mogło być trwałe, ponieważ było uzurpacją gości rewolucjonistów nad masą narodu węgierskich wieśniaków im nieprzychylnych, jak tego dowodem były późniejsze rzezie Żydów. Anarchizm w Rosji, po

wypróbowaniu go w życiu stracił swój urok i utrzymuje się tylko krwawym terorem.

Daleko głębszy rozkład społeczny rozpoczął się we Włoszech, gdzie nie tylko wielka ilość socjalistycznych deputowanych pracuje szczerze w Izbie posłów nad obaleniem ustroju społecznego, ale ogromne masy robotników miejskich i włościan dokonuje tego rozkładu w życiu.

W okolicach Rzymu, w Kampanji i w Sycylii wieśniacy tłumnie wyganają obywateli z ich posiadłości i spokojnie dokonywują zasiewów i zbierania zboża, zasianego przez właścicieli. Kolarze samowolnie zabierają z portów surowce, odsyłając je nie wedle adresu, a do fabryk będących we władzy faktycznej robotnicarzy. A ci ostatni powstają po całym kraju przeciw gospodarzom i, nie strajkując, spokojnie pracują, wysyłając i sprzedając towary od siebie. Obecnie jest w reku robotniczym około 400 fabryk. Rząd nie waży się już stawiać w obronie kapitalistów, ograniczając się tylko konstataowaniem spełnionych faktów i obroną napadniętych właścicieli i administracji.

Rząd nie może wojska używać obecnie w tym przekonaniu, że to mogłoby dać hasło do powszechnego powstania i przejścia żołnierzy na stronę ludu. Rząd opublikował, że bierze na siebie rolę pośrednika w zatargu 2.000.000 robotników z kapitalistami kraju, właścicielami kapitału — w rozmaitych przedsiębiorstwach oszacowanych na 12.000.000.000 lir (franków).

Jednocześnie z tem kółkowaniem w życiu społecznym, Włochy zostały nawiedzone przez straszne, niebywale trzęsienie ziemi. Ucierpiały 62 miasta, leżące obecnie w gruzach; tysiące ludzi bez dachu; około 1400 zginęło w gruzach. Kapitaliści widzą w tem palec Boży karzący robotnicarzy za ich grzechy, a tamci dowodzą, że trzęsienie właśnie jest karą Boską za długie praktykowanie systemu kapitalistycznego, niezgodnego z nauką Chrystusa o braterstwie ludzi. Komu wierzyć? — Plagi rozmaitego rodzaju grasują też i w innych zakątkach świata.

Nie rachując biednej Rosji, gdzie podobno od głodu, chorób i nędzy wymarło 20 milionów ludności — tam głównymi

sprawcami tej biedy są bolszewicy — ale i w Chinach zginęło tyleż od głodu skutkiem posuchy. Wielu z głodujących biedaków dokonywało masami samobójstwa dla uniknięcia męczarni świerci głodowej.

Wogóle w całej Europie odczuwa się dotkliwie brak żywności i rozmaitych surowców dla fabrykacji niezbędnych przedmiotów do życia. Są to skutki wyniszczenia roboczych sił wiejskiej ludności, zwierząt domowych, zniszczeniu krajów i rozleniwienia, obraz wykołajania ludzi z torów życiowych.

Najmniej ucierpiała od wojny Ameryka Północna, kapitalizm też rozwinął się niezmiernie. Miljonerzy doszli do arcy miljonerów. Złoto z całego świata spłynęło do Stanów Zjednoczonych; wielu z robotnicarzy weszło do grona kapitalistów. Jednocześnie rosyjscy żydki bolszewicy posieli tam anarchizm, dający już plon. Policja odkrywa od czasu do czasu potężne zbiorki rewolucyjne, dążące do społecznego przewrotu: W ostatnich czasach stwierdzono, że do spisku rewolucjonistów należy tam kilka milionów murzynów. Druga plaga Stanów Zjednoczonych jest, żółte niebezpieczeństwo czyli chińczycy i japończycy napływający do kraju przeważnie do S. Francisco. Przeludniona Japonja musi wywozić do Ameryki nadmiar swojego przyrostu, a rząd amerykański zabronił im emigrację. Stosunki dyplomatyczne są naciągnięte. Może dojść do wojny. Japonja zawiera sojusz z Anglikami dla wspólnej walki z narodem amerykańskim w przyszłości. Korejczycy, uciskani przez japończyków, kołają o współczucie i pomoc w Waszyngtonie, również jak i chińczycy. Amerykanie podtrzymują moralnie i potajemnie wspierają jednych i drugich, ażeby nie dać rozpanoszyć się niebezpiecznym japończykom. Tymczasem bolszewizm już się szerzy jak pożar w Japonji i Chinach. W Persji, dzięki rosyjskim bolszewikom, tron został obalony, ogłoszona republika, a za nią postępuje czerwony sztandar komunizmu.

W Meksyku jeszcze raz rewolucja, w Hiszpanji i Portugalji strajki, spiski, bomby... W Szwajcarji, na 3-cim zjeździe międzynarodówki ogłoszono pospolite ruszenie proletariatu przeciwko kapitalizmo-

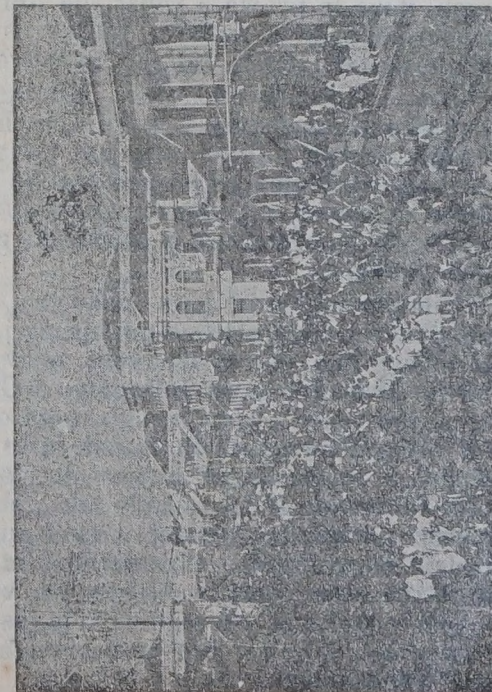
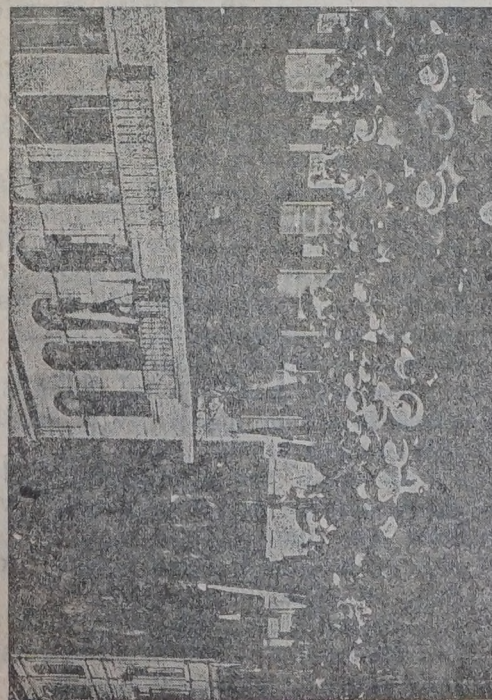
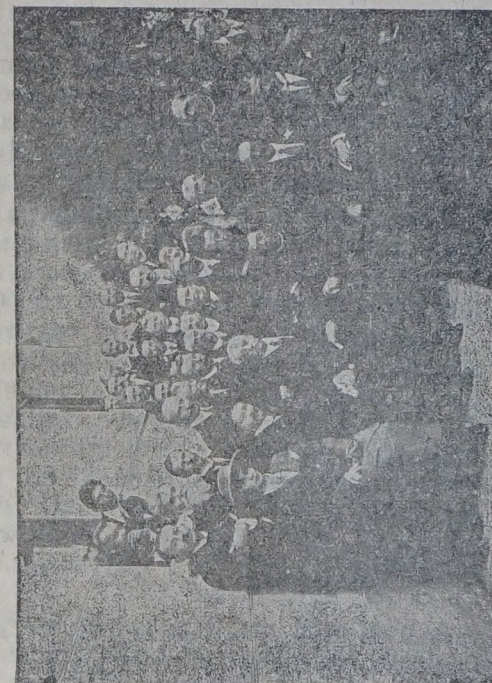
wi i patriotyzmowi. Na wstępie [mają być obalone wszystkie słupy graniczne państw i narodów.

Ludzkość cała ma się spodlić do stopnia pstrokałego stada pod patynkiem jedne-

go parchatego pastucha — Trockiego — o ile szubienica go minie — co nie daj Boże.

Franciszek Dergint.

PRZYJAZD POSŁA Hr. KS. ORŁOWSKIEGO DO KURYTYBY W LIPCU 1920 roku.



HASŁO NASZEJ EPOKI.

Ludzkość przeżywa obecnie znamieną epokę przewrotu ustroju społecznego, ustalonego od początku założenia państw cywilizowanych, to jest od czasów niepamiętnych, przedhistorycznych.

Gruntowną zasadą wszystkich państw była siła zbrojnej organizowanej mniejszości obywateli nad bezbroną większością.

Większość—królowie, książęta, wogóle magnaci, a nieraz i duchowieństwo żyjąc z pracy rąk uciemnionej mniejszości—niewolników wszelkiego rodzaju z podbitych narodów i swoich braci rodaków, zmuszonych przemocą do pańszczyzny i podatków, wszędzie pisali prawa, czyli reguły regulowania wzajemnych stosunków obywateli, i kary za ich naruszenie.

A ponieważ pisali te prawa nie jacyś mądrzy i moralisci niezależni, a możni ciemiężcy, żyjący z krzywdy swych bliźnich, więc te prawa a właściwie uprawnione bezprawia, bywały nieraz uswięcone nawet przez religję państwową.

Bramini, kasta duchowna Hindusów, jednego z najstarszych kulturalnych narodów ułożyli nibyto religijne podanie, że bóg ich Brama wyjął pierwszego bramina ze swoich ust, pierwszego wojownika—z ręki a Sudrasa, pierwszego chłopca—z nogi.

Niedola milionów klas niższych, pochodząca z bandytyzmu mniejszości, była uswięcona przez tradycję, prawo, a nawet przez fałszywych bogów. A Chrystus, posłaniec prawdziwego Boga ogłosił równość wszystkich ludzi—nikt nie chciał w to uwierzyć, nawet chrześcijanie. Idea niewolnictwa była tak głęboko zakorzeniona, że Apostoł Paweł musiał radzić niewolnikom chrześcijańskim pokorę dla swych panów, bo ideowa walka z tym potężnym przesądem była jeszcze zawczesna, a powstanie—przeciwnem religii Chrystusa.

Jeszcze w 16 wieku, gdy chłopstwo niemieckie nad Renem powstało przeciwko swym ciemiężcom—baronom, Luter wygłosił: „wytępijcie chłopstwo jak wściekłych psów“,—i bunt został we krwi utopiony. Dopiero w 1789 r. Francuzi wygłosili w Paryżu: „Wolność, Równość, Braterstwo!“

Od tej chwili rozpoczęła się i trwa aż do dziś dnia krwawa walka jednostek i narodów o wolność i równość, które są już zdobyte w większości państw świata. Braterstwo zaś było i pozostanie pustym dźwiękiem, bez treści. Nigdy nikomu nie było zabronionem wykonanie czynów miłości braterskiej względem bliźniego; ale zmusić ludzi do braterstwa—niepodobieństwo.

Rewolucja francuska, całkowicie ateistyczna, słowem „Braterstwo“ przyznaje się do uwielbienia najwyższego przykazania Chrystusa: „miłuj bliźniego twego, jak siebie samego“. My chrześcijanie głosimy tę zasadę 19 wieków, islamici też samo, choć w innych wyrazach, głoszą 13 wieków, a Budyści 24 wieki, bez żadnych namacalnych skutków, bez nadziei na moralny postęp ludzkości.

Braterstwo nie zostanie nigdy gruntowną zasadą ludzkości, ponieważ przeciwny człowiek jest przyrodzonym egoistą, obojętnym a nawet złowrogim do reszty świata. Jeżeli zaś społeczeństwo zmusi wszystkich obywateli do wspólnej opieki nad biedakami, prywatna miłość bliźniego będzie zbyteczną.

„Wolność“ i „Równość“ polityczna nie uleczyła społeczeństw, które zdobyły je nieraz ceną krwi.

„Równość“ nie nakarmiła proletariatu, pozostałych bez pracy i wieśniaków po nieurodzaju, a z „Wolności“ skorzystali najpodlejsi mądrze obdzierając skromnych i głupich.

Cała ludzkość zbankrutowała w osobie francuzów z ich formułą troistą, mającą ratować świat od nędzy.

Na tym gruncie stworzył się socjalizm czyli nauka o lepszym ustroju społecznym.

Pierwszy taki projekt podał jeszcze Platon, wielki filozof grecki w V. w. prz. Chrystusem. Po nim pisało wielu. Najznakomitsi z nich: Morus, Owen i Fourier. Zdaniem ich zło pochodzi z braku dobrego wychowania dzieci i zepsutego otoczenia dorosłych.

W doskonałym komunistycznym ustroju, gdzie wszystko będzie wspólne i dostateczne dla wszystkich, ludzie będą pracować wspólnie, wedle dobrej chęci i używać, wedle potrzeby.

Owen w Ameryce Północnej zbudował całe miasto komunistyczne „Nowa Harmonia“. Zjechali się tam pasożyci i szubrawcy z całego świata, żarli, pili, próżnowali. Sumienni pracownicy rozbiegli się, nie chcąc pracować na darmożjadów, a leniwi pouciekali z głodu. Niefortunne doświadczenie kosztowało 13 milionów franków.

W Połowie zeszłego wieku Rosjanin Krapotkin, ganiąc wszelki ustrój z prywatnej inicjatywy, proponuje Anarchizm, t.j. przewrót społeczny we wszystkich państwach świata. Nie daje on żadnego planu nowego ustroju, a tylko dąży do powszechnego przewrotu świata, na ruinach którego ma powstać, sam przez się, najlepszy porządek polityczny i ekonomiczny.

Żydzi z Trockim na czele, dokonali tego przewrotu w Rosji, a gdy zrozumieli niemożebność komuno-anarchji, zaczynają powracać do porządku starego.

W ten sposób przekonujemy się, że komunizm jest zupełnie fałszywym rodzajem socjalizmu, prowadzącym ludzi do ruiny; a inicjatorowie komunizmu są zbrodniarzami ludzkości, godni prześladowania i kary.

Ale jest drugi rodzaj socjalizmu—Kolektywizm czyli Unitaryzm. Jest to naukowa organizacja pracy tych samych ludzi egoistów jakimi oni są, nie wymagając od nich ani polepszenia moralnego, ani spodlenia w nieograniczonym używaniu wspólnych owoców ich pracy, jak tego wymagają komuniści.

Ażeby zrozumieć gruntowne zasady Unitaryzmu, powinniśmy najprzód wy-

jaśnić sobie skąd pochodzi zło obecnych stosunków ekonomicznych i co mianowicie potrzebnem jest dla kompletnego materialnego zadowolenia ludzi.

Najprzód zgódźmy się z tą nieuniknioną koniecznością, że poszukiwany przez nas ustrój społeczny powinien zadowolić tylko większość, albowiem wszystkim dogodzić nigdy nie można. A ponieważ obecnie ustrój zadowala tylko znikomą mniejszość szczęśliwców i szubrawców, więc dogadzając większości idziemy najprzód drogą prawdy.

Uczeni: Adam Smit, Rikardo a przeważnie Marks ściśle dowiedli światu, że wszelkie bogactwo ekonomiczne jest owocem tylko pracy ludzkiej; a nadmierne bogactwa prywatne mniejszości równie jak i skrajowa nędza większości ludzi jest skutkiem dobrowolnego spółpracownictwa i niesprawiedliwego podziału produktów tej wspólnej pracy.

Inaczej mówiąc, przyczyna powszechnej, sporów, zatargów jednostek i powstań, oraz niezliczone wojny są skutkiem nieprawidłowego powstawania prywatnej własności bez kontroli doskonałych praw państwa, niedbającego o procent dochodów fabrykanta, kupca, bankiera.

Z tych procentów powstają miljaridy prywatnej własności—fabryk, kolei, okrętów i ogromne zapasy towarów, obiegających rynki. Z drugiej strony, setki milionów biednej wiejskiej ludności i miastowego proletariatu, cierpiącego nędzę.

A więc do niezbędnych praw politycznych: wolności i równości powinniśmy dodać prawo własności.

Ponieważ: jeżeli fabrykant ograbia codzień swojego robotnika, nie dopłacając mu jego zarobku; jeżeli kupiec obdziera go (i wogóle wszystkich) zdzierając ustalone przez siebie procenta dochodu, to własność prywatna biedniejszej większości ludzi nie jest gwarantowaną.

Państwo, a nie prywatny obywatel, powinno być fabrykantem i kupcem. Otóż pierwsza zasada Unitaryzmu jest uspołecznienie wszystkich narzędzi pracy, również jak i ziemi będącej narzędziem pracy rolnika w wytwarzaniu zboża.

Państwa przemysłowe Europy, dumnie nazywane cywilizowanymi, właściwie jest nazwać państwami nędzy. Dzieci każdego średniego wieśniaka, żyjącego z roli muszą, z wyjątkiem jednego, szukać zarobku w mieście albo emigrować, bo odziedziczona ojcowizna, po jej podziale, nikogo nie wykarmi. Taki początek proletariatu miastowego. A na gruncie taniego rynku „rąk roboczych“ stworzył się kapitalizm fabryczny.

Przemysł jest synem nędzy.

Fabryka upaństwowiona, również jak i ziemie gospodarstw przemysłowych, są niczyją czyli wspólną, kolektywną własnością. Jak rolnik tak i pracownik fabryczny są spólnymi właścicielami budynków, warsztatów i ziemskich obszarów, gdzie pracowali ich ojcowie i dziady. Wogóle, każdy obywatel jest spólnym właścicielem całego bogactwa materialnego jego ojczyzny i ma prawo korzystania ze wspólnych narzędzi pracy, niezbędnych mu dla nabycia środków do życia i wogóle własności nieprzemysłowej lecz tylko spożywczej (jedzenie, mieszkanie i rozmaite przedmioty zabawy, sztuki, oświaty, nauki.)

Z tąd wypływa 4-te prawo człowieka na pracę, którą społeczeństwo dać mu powinno, dając określone wynagrodzenie z wyjątkiem ściśle określonego podatku na cele społeczne.

Każdy obywatel, mając zapewnioną pracę, wychowanie i kształcenie dzieci, oraz daremne utrzymanie podczas choroby i starości, może spokojnie pracować i oszczędzać dla zubożenia się. Zdrowego, leniwego pasożyta nikt nie musi do pracy, ale też i nie da mu jeść.

Spółczesność będzie miała prawo wynagradzać wszystkie rodzaje pracy jed-

nakowo, wedle ilości roboczych godzin, albo kwalifikować rodzaje pracy, to jest płacić za każdy rodzaj więcej lub mniej za godzinę wedle wypracowanej taksy.

Oszczędność, pracowitość i wyższa kwalifikowana praca, dobrze opłacona, pomogą niektórym obywatelom dojść do pewnego bogactwa, co jednak nie grozi niebezpieczeństwem dla społeczeństwa z powodów następujących:

1. Prywatny przemysł i handel są wzbronione. 2. Pieniądze są wykluczone, ponieważ wszystko kupuje się na książkę roboczą w magazynach państwowych.

Przejsie od obecnego ustroju kapitalistycznego do Unitaryzmu nie konieczne wymaga ograbienia teraźniejszych kapitalistów.

Spółczesność może konfiskować na korzyść państwa tylko pewny nadmiar własności, a za resztę zapłacić; może nawet zapłacić bez najmniejszej krzywdy wszystko, to będzie zależało od zapatrywania i sumienia, władzę mających w danym miejscu i czasie.

Wypłata za majątności uspołecznione, naturalnie nastąpi w ciągu mniej więcej dłuższego czasu—ratami.

Do takiej reformy powinniśmy dążyć i postarać się jak najprędzej wprowadzić ją w życie. Państwo, chcące, za wszelką cenę, utrzymać stary porządek życia, ulegnie niszczącej ognisto-kwawej fali żydowskiego bolszewizmu, grasującego obecnie nad biednym rosyjskim narodem jak dzuma.

Zgrzybiały nasz ustrój społeczny może się odnowić tylko pod sztandarem o nowym hasle: *Wolność, równość, praca i własność.*

Franciszek Dergint.

Laboratorjum anatomiczne

— dla —

Analiz chemicznych, histologicznych, mikroskopijnych i bakterjologicznych.

PHARMACIA INTERNACIONAL

- Badanie krwi systemu Wassermann -

Dr. Mario de Fiori lekarz

Dr. Gerolamo Goretti lekarz

Dr. Laerzio Lanzotti chemik

CURITYBA —:— RUA 15 DE NOVEMBRO N. 66. — Telefon 199 i 44 —:— PARANA'

A CULTURA DA TERRA

Drukarnia i księgarnia „A Livraria Mundial” w Kurytybie wydała i jest już do nabycia pożyteczna i niezbędna książka pod powyższym tytułem, poświęcona drobnym gospodarstwom rolnym w Paranie, zawierająca treściwie praktyczne rady i najkorzystniejszego wyzyskania małej przestrzeni ziemi, sposobu uprawiania roślin jakie na tutejszym gruncie można sadzić i ich użytek, wiele wskazówek dla gospodyń, przy hodowli zwierząt domowych i drobiu.

Treść:

Urządzenie gospodarstwa.

Rozdział I. Uprawa ziemi. — Niszczenie mrówek.

„ II. Warzywnictwo.

„ III. Sadownictwo.

„ IV. Podział ziemi, kukurydza, fasola, ziemniaki, dżnia, inhoma, taiá, cará, mangarito, ziemniaki bataty, ryż, pszenica, trzcina cukrowa, kawa. Zmiana uprawy.

Rozdział V. Przemysł domowy. — Fubá, faryna z kukurydzy, kanżika, maizena, mąka mandjokowa, krochmal, tapioca, chleb, gorapa, melado, rapadura, cukier, wódka, wino, ocet, pomidorowe, gojabada, marmelada, pecegada, bananada, mydło, olej rycynowy.

Rozdział VI. Hodowla. — Krowy mleczne. Kozy, świnie, kury, etc.

Dr. Mirosław Szeligowski

Były asystent Klinik Europejskich

Lekarz i Operator

Kurytyba — Rua São Francisco N. 25

Leczy według najnowszych sposobów

Wykonuje wszelkie operacje chirurgiczne

Chorych zamiejscowych przyjmuje na leczenie i pobyt w klinice. Dokonuje badań i leczy promieniami Roentgena.

Posiada własne laboratorium do badań chemicznych i mikroskopowych oraz do badań krwi na choroby ukryte.

*Specjalność: leczenie raka i guzów złośliwych
za pomocą radium i promieni "ultra".*

Zamiejscowym udziela informacji listownie.

"Album do Paraná"

Największy i najpoczytniejszy miesięcznik ilustrowany, wychodzący w Paranie nakładem p. José Pedro de Trindade i drukiem Księgarni Polskiej w Kurytybie. Pismo poświęcone propagandzie ekonomicznej, handlu i przemysłu parańskiego, z działem literackim, sztuki, wiedzy i kwestji społecznych.

Redakcja mieści się przy ul. 15 de Novembro, 48 (sobrado)

Curityba — Caixa postal n. 288 — Adres teleg.: "Trindade"

Prenumerata rocznie wynosi	30\$000
„ półrocznie „	18\$000
Numer pojedynczy	3\$000

CHAPELARIA JACOB

Kapelusze, obówie, krawaty, kołnierzyki, bielizna, parasole dla mężczyzn.

Jedyny dom importowy znanych włoskich kapeluszy "Borsalino"

Jacob Woiski

Caixa postal n. 306
Rua 15 de Novembro, 41
Curityba — Paraná

CASA GOUDARD

Rua M. Floriano n. 1 — Praça Tiradentes n. 40
Telefon n. 222

Curityba - Paraná - Brasil

Pianina z najlepszych fabryk
Nuty wydania krajowego i zagranicznego.

Instrumenty smyczkowe i pojedyncze części.
Struny najlepszego wyrobu do wszystkich instrumentów.

IMPORT BEZPOŚREDNI

BANCO NACIONAL DO COMMERCIO

Kapitał zakładowy . . . 25,000:000\$000
Kapitał rezerwowy . . . 12,532:709\$150

Centrum: PORTO ALEGRE - Rio Gr. do Sul

FILJE we wszystkich większych miastach Stanów: Rio Grande do Sul, Santa Catharina i Matto Grosso.

W Stanie Paraná: w Kurytybie, Paranaguá i Rio Negro.

WYDAJE WEKSLE I CZEKI NA EUROPE,
AMERYKĘ PÓŁNOCNĄ I POŁUDNIOWĄ.

Dyskontuje weksle i **Notas Promissorias** i załatwia wszelkie transakcje bankowe.

Przyjmuje depozyty pieniężne na rachunek bieżący lub na termin stały, płacąc od pięciu do siedmiu procent rocznie.

Adres Telegraficzny:

„BANMERCIO“

Filja w Kurytybie

ul. 15 de Novembro Nr. 55

Dr. Affonso de Camargo e Rebello J.^{or}

Advogados

Escritorio: Rua 15 de Novembro Nr. 26.

Curityba - Paraná.

Kuźnia "Flor dos Campos"

JÓZEFA JAKUBA BÜHRERA

KOWAL I KOŁODZIEJ

Ul. Comendador Miró Nr. 56 i 58

Adres Telegraf. JACOB BUHRER

Skrzynka p. 108 - Telefon 56

PONTA GROSSA - PARANA'

Fabrykuje wozy, plugi, piece żelazne, zmiany, siekiery, fojsy, noże, wędzidła i t. d.

Toczy osie, hamulce, prasy do wyrobu wina, mąki mandjokowej, smalcu i t. d.

LISBOA & Cia.

CURITYBA - PARANA'

Rua Barão do Rio Branco, 116 - 118

Adres Telegr. „LISBOA“ - Caixa postal 109

Dom importowy tkanin galanterji, trunków i konserw.

- SPRZEDAŻ HURTOWNA -

Tartaki w Canoinhas i w Lagoa
Stan Sta. Catharina.

UNIÃO COMMERCIAL

MORGENSTERN, KOERBEL & Cia.

Dom importowy i eksportowy.

Sprzedaż hurtowna i detaliczna

Porcelany, fajanse, wyroby żelazne, żelazo w sztabach, cement, narzędzia rolnicze, farby, oleje, szkło, etc., etc.

Młyny własne do mielenia soli i cukru
Refinerja soli i fabryka miotel.

FILJA W JOINVILLE

Stan. Sta. Catharina

Adres:

Praça Coronel Eneas N. 12

(antigo Largo da Ordem).

TELEFON N. 323 - CAIXA POSTAL N. 79

Telegraficzny „UNIÃO“

CURITYBA - PARANA' - BRAZIL

WEISER & IRMÃO

Tkaniny, mody, galanterje, wyroby żelazne, szkło, farby, oleje i t. d.

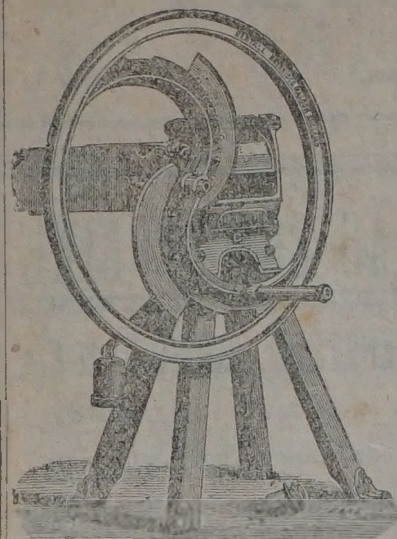
- Nasiona warzyw, zawsze świeże -

RUA JOSÉ BONIFACIO N. 12

Curityba - Paraná.

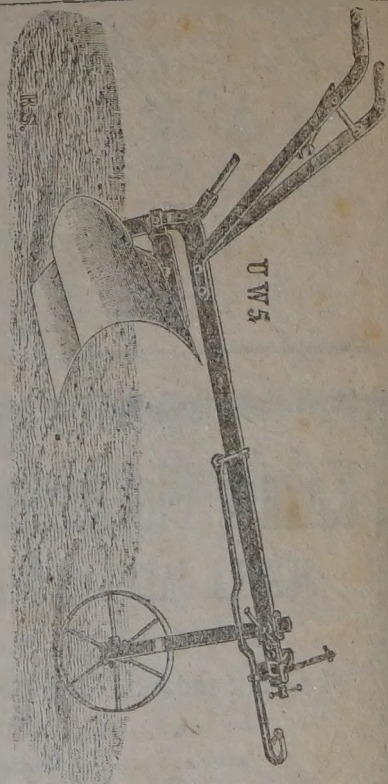
“CASA PORCELLANA”

Schmidlin & Tamm



Porcelany, fajanse,
wyroby szklanne i
żelazne, broń pal-
na i ładunki, ma-
szyny do szycia,
farby lakiery, i t. d.
Stal żelazo w szta-
bach i płytach, płu-
gi, drut kolczasty
i t. d., i t. d.

Caixa Postal 191
Adr. Tel. Porcellana - Telef. 103
Rua do Riachuelo 55 i 57
CURITYBA-PARANÁ



LIVRARIA ECONOMICA
DE PASCHOAL SIMONE & CIA.

Przy ul. 15 de Novembro n. 53 — Caixa postal n. 130 — Adres telegr.: “Simone”
CURITYBA — BRAZIL

Dom założony w roku 1894

Największy i najstarszy dom tego rodzaju w Paranie. — Papiernia. — Arty-
kuły na karnawał i do biór. — Pisma ilustrowane i dzienniki. — Pierwszo-
rzędna drukarnia. — Wielka fabryka książek handlowych.

Filja we Florianopolis — Santa Catharina



OPTICA
AMERICANA

Jedyny zakład w Paranie ze starannie urządzonym gabinetem ba-
dania ócz i zastosowania odpowiednich okularów różnych gatun-
ków, według najnowszych sposobów optometriji i ophtalmometriji.

Rua 15 de Novembro n. 65 — CURITYBA-Paraná

FRANCISZEK SELNER

Marechal Mallet — Paraná

Dom Handlowy

Ma zawsze na składzie w wielkich ilościach następu-
jące przedmioty: Towary metrowe, kapelusze, parasole,
obuwie, sól, cukier, kawę, mąkę, naftę, i t. d.

Naczynia porcelanowe, żelazne, emaljowane i szkla-
ne. Lampy, maszyny do szycia.

Wielki wybór narzędzi ciesielskich, rolniczych i żelaza do budowy.
— Szkło do okien. Farby i oleje. —

Sprzedaż hurtowna i detaliczna.

A CASA DO POVO

DE

OTTO EGGER

São Matheus - Paraná

Dom handlowy sprzedający po najniższych cenach.

Posiada zawsze wielki wybór tkanin gróbych i cienkich, kapeluszy, obó-
wia i t. d. Dla kolonistów, wielki skład mąki pszennej, soli, ryżu, nafty,
wyrobów żelaznych i t. d. Kupuję i sprzedaję herwa matę, воск, i t. d.

Własna fabryka smalcu, wędlin, kiełbas, szynki świeżych i smacznych.

Ceny smalcu i słoniny bez kompetencji i zawsze na składzie.

*** Zobaczyc aby uwierzyć! ***

CASA CRYSTAL

WENDLER & Cia.

Rua 15 de Novembro n. 88 — Caixa postal n. 100 — Telefon n. 203 — adres telegr.: "Crystal"

Curityba — Paraná

Import bezpośredni, porcelany fajansów, szkła, kryształów, wyrobów żelaznych, farb oleju i lakierów, drutu kolczastego i gładkiego, broni palnej i amunicji, dynamitu, maszyn do szycia, i wyluskiwania kukurydzy, pługów różnych gatunków, narzędzia zwyczajne i dla rzemieślników, żelastwo dla konstrukcji i szyby do okien i t. d., i t. d.

Jedyny skład znanej powszechnie i najlepszej »Formisydy« «Zumby»
najwięcej w naszym stanie używanej.

SPRZEDAŻ HURTOWNA I DROBNA

Casa Carioca

— de —

Antonio Velente & Cia.

Rua Dr. Manoel Pedro
São Matheus — Paraná

Tkaniny, mody, wyroby galanteryjne, perfumerye i t. d.

Wybór towarów spożywczych i napoju

Sprzedaż drobna i hurtowna

Kupujemy herwa matte

Nasz dom jest w możności swoim Sz. odbiorcom dać najlepsze warunki, nie tylko w cenach kupna i sprzedaży, jako też co do jakości artykułów.

Walenty Samsonowski

São Matheus — Paraná

Poleca tanio, wszelkie towary łokciowe mając w sklepie wielki wybór jako to: obuwie, szkła, kapy, kołdry, palta, parasole, parasolki, kapelusze, biżuterie, żelastwo, zegarki, pierścionki, broszki, dywizki, budziki, ubrania, trunki i wszystko co się tyczy sklepu spożywczego.

Kupuję herwa matte, zboże i wszelki artykuły spożywcze.



Casa Pratt.

Do p. p. kupców!

Nie życzyłby sobie Pan mieć co dzień zestawienie wydrukowane

i szczegółowe, z przychodu i rozchodu z każdego dnia?

Cyfry drukowane przedstawiają sprawdzenie dokładne, ponieważ zawsze są czytelne i nie mogą być sfalszowane.

Kasa registracyjna "NATIONAL" oprócz innych funkcji drukuje na wstążce papierowej atramentem nie do wytarcia, cały obrót dzienny z dokładnością. Ta maszyna pisze o wiele prędzej od ołówka i pewniej, zapobiegając stratom pieniężnym. Napisz Pan do nas, z zadowoleniem udzielamy wszelkich informacji, bez żadnego zobowiązania z Pańskiej strony.

Remington



Maszyna do pisania którą najczęściej się sprzedaje. Z paru tysięcy maszyn do pisania, które rok rocznie sprzedane są w Brazylii, większa połowa jest "REMINGTONA". Wypada z tego, że jest w użyciu więcej maszyn "REMINGTONA" jak wszystkich innych razem. Zbyteczne są inne komentarze wobec faktu tego rodzaju. Kupując "REMINGTONA" zamiast innej maszyny, potwierdzi Pan tylko ogólne uznanie jakim się cieszy i przekona się o prawdziwości tych słów.

Napisz Pan jeszcze dzisiaj a przyślemy katalog lub żądane informacje. Sprzedaż na spłaty. Po uiszczeniu pierwszej raty doręczamy maszynę.

S. A. "CASA PRATT" — Rua do Ouvidor n° 125. — Rio de Janeiro.

Filja w Kurytybie — Caixa p. 241.

Casa Metal

José Hauer Junior

Adres Telegr. : METAL * CURITYBA * Caixa postal 140

44 — Rua 15 de Novembro — 44

Dom Importowy

Wielki wybór żelaza w sztabach, płyty żelazne, stal i inne metale.

Wyroby żelazne i narzędzia różnych gatunków dla wszystkich rzemieślników

Olej lniany, farby i lakiery, pędzle i terpentyna.

Oleje i smarowidło "Patente". Pakuły do czyszczenia i uściślenia połączeń maszyn, rury żelazne i gliniane.

Artykuły do użytku domowego: szkła, fajance i porcelany.

Serwisy stołowe z Solingen, broń palna i ładunki — Maszyny do szycia.

Maszyny i narzędzia rolnicze

Cement, drut kolczasty i gładki, plecionki i siatki druciane.

Piły tartakowe, pilniki, pasy i łożyska do maszyn. Materiał do wodociągów.

CASA METAL